



***JAMES LUCENO***



***MASKA ZORRO***

## *Przed laty w Kalifornii*

Burzowe chmury, które gromadziły się przez całe popołudnie, przydawały dodatkowego cienia i tak już ponuremu dniowi. Jednak ani rozbudowujące się cumulusy, ani groźba ulewy nie zdołały powstrzymać mieszkańców pueblo El Nuestra Señora de Reina de Los Angeles przed zebraniem się na rynku. Przybyli tam, żeby wyrazić swe oburzenie z powodu mającej wkrótce nastąpić egzekucji trzech ich współziomków.

Przecierpiawszy wiele lat rządów hiszpańskiego komendanta Los Angeles, ludność przywykła już do jego okrutnej niesprawiedliwości, jednak sprowadzając śmierć do pueblo w przeddzień swojego odjazdu, komendant Rafael Montero nie tylko zadawał mieszkańcom ból, ale i wymierzał im policzek.

Zaciśnięte pięści wznosiły się nad tłumem w przepelnionym kurzem powietrzu, a gwar gniewnych protestów odbijał się echem od otaczających rynek okazałych budowli. Nie mając w rękach nic oprócz kijów i rzemieślniczych narzędzi, najśmielsi mieszkańcy pueblo dzielnie stawili czoło oddziałowi żołnierzy, których ostre bagnety połyskiwały w blednącym świetle dnia

„Wolność, równość, niepodległość” - skandował tłum, podchwytyjąc hasła niepodległego Meksyku. Obecne terytorium Meksyku, wyzwolonego spod hiszpańskiej dominacji i pragnącego potwierdzić swe panowanie nad wielkimi terytoriami na północy, sięgało od teksańskiej granicy ze Stanami Zjednoczonymi po Ocean Spokojny, obejmując terytoria Starej i Nowej Kalifornii.

Alejandro i Joaquin Murieta, chociaż mieli dopiero zaledwie osiem i dziesięć lat, już zdążyli zaznać niesprawiedliwości brutalnych rządów Montero. Teraz obydwaj chłopcy kryli się w mroku pokrytego płócienną plandeką wozu, który stał w jednym z rogów placu. Mieli niepokorny wygląd wilczych

szczeniąt dawno oddzielonych od stada - byli bosy i nie domyci, ale z ich błyszczących oczu przebijał jednocześnie przymilny i psotliwy wyraz.

- Szybciej, Alejandro, tnij - ponaglił Joaquin młodszego brata. - Przetnij to, zanim będzie za późno, żeby coś zobaczyć.

Młodszy, ale silniejszy z braci, Alejandro, przebił nożem pokrycie wozu i kiedy wyciął w płótnie poszarpaną dziurę, gniewny gwar tłumu wzrósł, zlewając się w jedno, jakby był głosem nie wielu ludzi, ale jednej osoby.

- Wolność, równość, niepodległość!

Alejandro przyłożył lewe oko do wyciętej przez siebie dziury i wyjrzał na plac, gdzie żołnierze przesuwali się w kierunku tłumu, dzierżąc przed sobą opatrzone bagnietami strzelby ze skałkowymi zamkami. Północna strona placu była ograniczona przez budynek cuartel general, gdzie stacjonowali żołnierze miejscowego garnizonu, a po jego drugiej stronie wznosiła się prywatna rezydencja comandante Montero, która wyróżniała się przeszklonymi oknami i balkonami zdobionymi przez kunsztownie kute balustrady.

- Szybciej, *hermano*\* - powtórzył Joaquin. - Wytnij jeszcze jedną dziurę.

\* *Hermano* - brat.

Nagła zmiana władców Nowej Kalifornii nie miała większego znaczenia dla braci Murieta, którzy wychowywali się w pobliskiej misji San Gabriel wśród przechrztów indiańskich ze szczepu Yang Na. Chłopcy byli mieszanego pochodzenia i nigdy nie myśleli o sobie jako członkach takiego czy innego narodu. Choć mówiono teraz, że są mieszkańcami Meksyku, a nie Nowej Hiszpanii, to i tak byli tymi samymi sierotami bez nawet jednego srebrnego reala przy duszy i z takim tylko wykształceniem, jakiego zdobycie ojciec Felipe i inni padre uznali dla nich za stosowne.

Skończywszy wycinanie drugiego otworu, Alejandro znowu przyłożył twarz do szorstkiej tkaniny i od razu poczuł się tak, jakby pokrycie wozu stało się maską osłaniającą jego twarz.

- Moja kolej - oznajmił Joaquin, odsuwając go, żeby samemu wyjrzeć na zewnątrz.

Przyjrząwszy się temu, co się dzieje na placu, przesunął się nieco, żeby Alejandro mógł wyglądać przez jedną dziurę, kiedy on sam przyłożył oko do drugiej.

Zobaczyli, jak Pepe, starszy od nich chłopiec, wyrywa się z tłumu i zaczyna się wspinać po stojącym na placu maszcie flagowym, u którego szczytu łopotała na wietrze hiszpańska flaga. Otyły kapral wystąpił przed front oddziału, żeby go powstrzymać, ale został zmuszony do odwrotu przez napierający tłum ludzi nie bojących się jego bagnatów. Po chwili Pepe zerwał flagę z masztu i zrzucił na bruk, a wiatr poniosł ją dalej.

- Weźcie ją do mycia podłogi w koszarach! - zawołał ktoś z tłumu pod adresem żołnierzy.

Kiedy ktoś inny podbiegł do masztu i wciągnął na niego zielono-biało-czerwoną flagę Meksyku, zebrani przywitali ją entuzjastycznymi okrzykami.

Alejandro wątpił, by owe okrzyki były jakąś pociechą dla trzech skazańców, którzy z przepaskami na oczach stali przywiązani do słupków na drewnianej platformie wzniesionej przy frontowej ścianie cuartelu. Jego zwątpienie było zupełnie uzasadnione, gdyż w tej samej chwili rozległo się ponure bicie pojedynczego werbla i w jego rytm sześćoosobowy pluton egzekucyjny ruszył od bramy koszar, aby zająć pozycję na wprost skazańców. Wysokie kapelusze i obszywane galonami uniformy żołnierzy odcinały się od sombrer, opończy i wytartych ubiorów mieszkańców miasta. Odslonięte ramiona płaczących kobiet wzniosły się błagalnie ku ponurym twarzom żołnierzy trzymających ba-

gnety na sztorc.

- Litości! - zawołała młoda kobieta. - Litości!

Alejandro spojrział zmartwiony na swojego brata.

- Och, żeby tylko zaraz przyjechał, bo jak nie...

- *Caramba!* A was co napadło! - przerwał mu ochryply głos. - Powycinaliście mi dziury w plandece!

Obejrzawszy się, chłopcy ujrzeli w rozświetlonym przez padające z zewnątrz światło łukowatym wejściu do wozu sylwetkę señora Lopeza, miejscowego przedsiębiorcy pogrzebowego. Stał jak sama śmierć, potrząsając palcem niczym kosą w kierunku zniszczeń, które spowodował nóż Alejandro.

- To jest miejsce ponurych obowiązków - dodał, wskazując ręką na puste trumny - a nie zabawy!

- Przepraszamy bardzo, señor - odparł pośpiesznie Joaquin, cofając się razem z bratem ku tyłowi wozu. - My tylko chcieliśmy zobaczyć Zorro.

Lopez zgarbił się jeszcze bardziej, słysząc imię śmiałego buntownika, który wykorzystywał każdą okazję do walki z Rafaelem Montero. Rozejrzał się ukradkiem na boki, zanim znowu spojrział na braci.

- Uważaj, co mówisz, *chico\**, szczególnie tutaj, pod samym okiem *co-mandante*.

\* *Chico* - malec.

- Ale on przyjedzie, prawda?! - zapytał gorączkowym szeptem Alejandro.  
- Lis ich uratuje, prawda?!

Wychudła twarz Lopeza znieruchomiła.

- Ktoś najwyraźniej myśli, że on spróbuje - odparł i wskazał na trumny, które wydzielały intensywny zapach świeżo obrobionego sosnowego drewna. -

Nie nauczyliście się jeszcze liczyć?!

Alejandro przyjrzał się trumnom, licząc je po cichu.

- Cztery! To znaczy...

Lopez szarpnął za tkaninę okrywającą jedną z trumien i odsłonił wyrytą w miękkim drewnie i pomalowaną na czarno wielką literę Z. Przez chwilę chłopcy w milczeniu wpatrywali się w znak Zorro, legendarnego bohatera słynącego na całym terytorium od Santa Barbara do San Diego. Alejandro poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach, kiedy wyobraził sobie Zorro martwego w trumnie.

- Robiłem trumny dla waszej matki i waszego ojca. Bardzo bym nie chciał być zmuszony do zrobienia trumien także dla was - powiedział Lopez, kiedy chłopcy już wychodzili przez otwartą klapę wozu. - Biegnijcie z powrotem do misji. Nie macie tu niczego do oglądania.

Rafael Montero uznał, iż nadszedł odpowiedni moment, żeby osobiście pokazać się zebranym. Oczywiście nie miał zamiaru pojawić się na placu, na którym podburzony widokiem meksykańskiej flagi motłoch rozzuchwalił się do tego stopnia, że zaczął obrzucać jego żołnierzy zgniłymi owocami i niewielkimi kamykami, ale postanowił pojawić się na balkonie swojego casa mayor, gdzie przynajmniej był celem trudniejszym do trafienia.

Wokół niego trwała intensywna krzątanina. Służący oraz indiańscy niewolnicy zwijali gobeliny i kobierce i pakowali ostatnie elementy wyposażenia domu do wielkich kufrów i skrzyń. Brygantyna, którą miał przepłynąć Montero wokół przylądka Horn i dalej do Hiszpanii, stawiała żagle następnego ranka, jeszcze zostało kilka wozów jego osobistych sprzętów, które musiały być dostarczone na plażę w San Pedro.

- Ostrożnie z zapasami z piwnicy! - przestrzegł jednego z Indian. - Każdą straconą butelkę wina odbiję sobie dziesięciokrotnie na waszej skórze.

Indianin odpowiedział niezdarnym pokłonem. Jego twarz o ciemnej skórze i wydatnych kościach policzkowych miała nieodgadniony wyraz. Mimo że pozostawał w służbie już od pięciu lat, nadal wyglądał niezręcznie w europejskim stroju.

Montero obciągnął poły swej eleganckiej kamizelki i podszedł do balkonu. Był szczupłym, ale barczystym mężczyzną. Liczył sobie niespełna czterdzieści lat i nosił się z elegancją, która przychodzi z tytułem szlacheckim, oraz arogancją, która przychodzi z władzą. Poza pogardą nie żywił żadnych uczuć w stosunku do tubylców z Nowego Świata, którzy jego zdaniem zabierali się do pracy jedynie pod przymusem i których krew skaziła krew zdobywców całego terytorium od Meksyku po Peru. Dlatego uważał, że aby zachęcić Metyków do większej przedsiębiorczości, musi traktować ich równie surowo jak Indian, nakładając na nich podatki i, w razie potrzeby, wymierzając im odpowiednie kary.

Wyszedł na balkon, pokazując się zgromadzonemu na dole tłumowi. Ciepły i wilgotny wiatr, wiejący z południowego wschodu, niósł w sobie zapachy dzikiego kwiecica i kwiatów pomarańczy. Przez ponad piętnaście lat życia w Kalifornii Montero polubił te zapachy i wiedział, że będzie za nimi tęsknił tak samo jak za winnicami i chłodnymi wieczornymi bryzami. Nawet oczyma wyobraźni nie potrafił dostrzec miejsca bardziej przypominającego raj niż Los Angeles, zamknięte pomiędzy okrytymi śniegiem górami a wzburzonym oceanem. Jednak były tu też rzeczy, które pragnął pozostawić po sobie.

- Śmierć Montero! - zawołał ktoś z tłumu, zobaczywszy go na balkonie. - Śmierć Montero!

Przegniłe owoce zaczęły rozpryskiwać się o okiennice po obydwu jego stronach, ale Montero nawet nie drgnął, by nie dać satysfakcji rzucającym.

Rok wcześniej, w sierpniu 1821 roku, Hiszpania niechętnie zdjęła swe

jarzmo z szyi Meksyku, ale wieść o tym dopiero niedawno dotarła do Kalifornii. Teraz raczkująca republika rządzona była przez „El Libertadora” Augustina de Iturbide'a do spółki z nowobogackim arystokratą o nazwisku Antonio Lopez de Santa Anna. Było mało prawdopodobne, że Hiszpania uzna niepodległość Meksyku, a skarb de Iturbide'a świecił pustkami, jednak nawet Nowa Kalifornia, niemal równie daleko położona od Mexico City jak i od Madrytu, stała się niewygodnym miejscem dla tych, którzy pozostali lojalni koronie. Odnosiło się to zwłaszcza do Montero, którego kadencja jako comandante niemal od początku wypełniona była wyczynami ubranego na czarno przestępcy, dosiadającego szybkiego jak wiatr wierzchowca i wycinającego szpadą swój znak na tak wielu ścianach i ciałach żołnierzy.

Jakby czytając w jego myślach, mieszkańcy miasta napaarli z wściekłością na kordon próbujących ich utrzymać na dystans żołnierzy i kolejne kawałki owoców przeleciały obok głowy i ramion Montero.

- Wasze umiejętności celowania są równie beznadziejne jak wasza przyszłość - mruknął Montero. - Kiedy Iturbide zostawi was, żebyście tu gnili jak nie zebrane owoce winogron, będziecie się modlić o to, żebym był nadal komendantem, i nawet nie pomyślicie o podatkach.

\* \* \*

Słowa przedsiębiorcy pogrzebowego nadal rozbrzmiewały w uszach Alejandro, kiedy razem z bratem przeciskał się przez tłum, żeby zobaczyć z bliska trzech przywiązanych do słupków mężczyzn.

„Robiłem trumny dla waszej matki i waszego ojca...”

Wysoko nad płytą placu comandante Montero stał nieruchomo pośrodku balkonu jak tarcza na strzelnicy, kiedy przejrzałe pomarańcze, cytryny i pomidory znaczyły kolorami białe ściany za jego plecami.

Zbliżając się do obrzeża tłumy, gdzie protesty były najbardziej ożywione,



chłopcy spostrzegli, że na ich drodze staje nie kto inny, jak tylko sam ojciec Felipe, który właśnie podążał, żeby udzielić ostatniego błogosławieństwa skazanym. Ojciec Felipe, przysadzisty mężczyzna mający więcej włosów na brwiach niż na głowie, nacierał na nich jak rozjuszony byk.

- Wracajcie do misji, wy urwipołcie - nakazał im. - To nie jest miejsce dla dzieci.

- Ale... - zaczął Alejandro, lecz jego brat przerwał mu kuksańcem w bok.

- Ale co? - zapytał ojciec Felipe, biorąc się pod boki swymi spracowanymi rękami.

Alejandro przełknął ślinę, usiłując odzyskać głos.

- Ale my właśnie wracamy do misji, ojczy - zatoczył ręką wokół siebie. - Ojciec dobrze mówi, że w taki dzień to nie jest miejsce dla dzieci.

Ojciec Felipe zmrużył oczy, patrząc na nich nieufnie.

- Właśnie wracaliście, he? To może ja was odprowadzę.

Wyciągnął ręce, chcąc ich obu schwycić za kołnierze, ale chłopcy byli szybsi od niego i w mgnieniu oka wplątali się w tłum, gubiąc się mu pomiędzy ludźmi. Kiedy po kilku chwilach przebili się na drugą stronę tłumy, zobaczyli Hectora, Ramona i jeszcze kilkoro dzieci spośród miejscowej biedoty, odgrywających swoją własną wersję wydarzeń za pomocą kukiełek pracownice wykonanych z drewna i *papier mâché*, a ubranych w stroje zrobione ze skrawków materiału.

Komendant Montero stał akurat na środku sceny twarzą w twarz ze swym wrogiem, Zorro, który był przybrany w maskę, kapelusz o płaskim denku i pelerynę zrobioną z płótna farbowanego sokiem z jagód, chociaż wszystkim było wiadomo, że prawdziwy Zorro ma pelerynę z jedwabiu.

- Myślisz, że boję się twojej szpady i głupiej maski? - mówił Hector, starając się wydobyć ze swojej zapadłej piersi jak najgłębszy ton głosu. - Ja je-

stem comandante Montero. Wszyscy muszą przestrzegać stanowionych przeze mnie praw i moich rozkazów, bo dowodzę wieloma żołnierzami.

Ramon, który dostarczał głosu kukielce przedstawiającej Zorro, zaprotestował.

- Nie będę cię słuchał, comandante Montero. Dlatego że ty jesteś... głupi i tępy.

- Czekaj, czekaj! - zawołał Alejandro, przepychając się przez publiczność, składającą się z dzieci starszych i większych od niego. - Głupi i tępy to słowa, których my używamy w kłótniach. Poza tym one znaczą to samo. Zorro powiedziałby... - stanął, wypinając pierś. - Pluję ci w twarz, Montero! Śmierć Hiszpanom! Tam, gdzie ja wytnę mój znak, ludzie wiedzą, że...

Reszta słów Alejandro utonęła w grzmocie zbliżających się kopyt końskich. Obrócił się w ostatniej chwili, by zobaczyć trzech jeźdźców, którzy wpadli na plac, nie zważając ani na zebrany tłum, ani na żołnierzy. Kukielki Hectora rozprysły się, zmiażdżone kopytami koni, a dzieci rzuciły się na boki, by uniknąć podobnego losu.

Alejandro rozpoznał w jednym z jeźdźców dona Luiza Ortiza, właściciela najbogatszego rancza w całym Los Angeles. Razem z nim przybył jego zarządca i jeszcze jeden vaquero. Trzej jeźdźcy zatrzymali konie przed rezydencją Montero tuż pod balkonem, na którym stał najwyraźniej rozbawiony comandante. Don Luiz położył ręce na srebrnym łęku bogato przyozdobionego siodła swego wierzchowca, zeskoczył pośpiesznie na ziemię i podążył do rezydencji comandante.

- Zniszczone - stwierdził Hector, nachylając się nad swymi kukielkami. - Nawet Zorro.

## *Znak Zorro*

Montero spojrział przez ramię na idącego śpiesznie ku niemu przez salon don Luiza. Przybysz miał czerwoną twarz i pośpiesznie chwycił oddech.

- Wasza ekscelencjo, właśnie dowiedziałem się o tych egzekucjach - powiedział. - Nie ma pan na to czasu. Żołnierze Santa Anny podążają na północ z San Diego...

Montero obrócił się ku niemu i uniół do góry dłonie, nie poruszony przez te wieści bardziej niż przez dobiegające z placu okrzyki peonów.

- Niech się pan uspokoi, don Luiz. Proszę oddychać głęboko - powiedział i zamilkł, żeby pokazać, jak się głęboko oddycha. Wciągając powietrze, unosił do góry dłonie. - Proszę sobie wyobrazić ciche jezioro porośnięte liliami wodnymi...

Don Luiz zamrugał w konfuzji oczami i wreszcie wyrzucił z siebie.

- Tak, tak, ale pan musi odjechać już teraz!

Montero jeszcze raz spojrział na plac. Oczywiście - powiedział sobie w duchu. Jeszcze tylko ostatni obowiązek, który muszę spełnić dla dobra korony, a także dla samego siebie.

Don Luiz wyszedł na balkon.

- Bądź rozsądny, Rafaelu. Po co masz zajmować się paroma oszustami podatkowymi, kiedy powinienes już być bezpieczny na pokładzie statku, który cię oczekuje.

- Oszustami podatkowymi?! - powtórzył Montero, spoglądając na Luiza.

- Nie słyszałeś o tym, że tych trzech to buntownicy?! Zostali osądzeni i uznani za winnych spiskowania przeciwko koronie.

- Ale obydwie Kalifornie są teraz pod rządami Meksyku.

- Być może. Jednak Los Angeles pozostaje pod moją władzą dopóty, do-

póki stąd nie odjadę. A ja nie zamierzam tolerować buntu.

Stojący na placu podporucznik rzucał ostre rozkazy dowodzonym przez siebie żołnierzom plutonu egzekucyjnego. Zawodzenie żon i córek skazańców natężyło się, kiedy franciszkanin, ojciec Felipe, zaczął się modlić i czynić nad skazanymi prawą ręką znak krzyża.

- Meksyk może kiedyś zakwitnąć i bez Hiszpanii - zauważył don Luiz. - Ale Nowa Kalifornia nigdy nie będzie taka sama bez ciebie.

Montero uśmiechnął się przelotnie.

- To przejściowy stan, mój przyjacielu. Mam tu coś dla ciebie.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni kamizelki kartkę opieczetowanego pergaminu i wręczył ją Luizowi.

- To w uznaniu za lata twojej ofiarnej służby.

Don Luiz spojrział na pergamin z wyraźnym zaskoczeniem.

- Nadanie ziemi. Nie rozumiem. Te obszary są własnością korony...

- Tak. A jutro będą własnością rządu meksykańskiego, chyba że przekażę je tobie. - Montero przerwał na chwilę. - Znam de Iturbide'a. On sądzi, że donowie będą posłusznymi podatnikami, i będzie respektował wasze prawa. - Wskazał na stół w salonie, na którym leżał stosik podobnych nadań. - Pozostała część terytorium została podzielona równo pomiędzy innych donów. Dopilnujesz, żeby otrzymali te nadania. Zgoda?!

Luiz podszedł do stołu, żeby przyjrzeć się dokumentom i po chwili podniósł wzrok na Montero.

- O co chodzi, Luiz?!

- Tylko o to... O tę ziemię, którą mi dałeś. To jest prawie sama pustynia. A jednak innym nadajesz bogatą, orną...

- Pewnego dnia zrozumiesz, że ciebie wyniosłem ponad wszystkich. - Montero uśmiechnął się tajemniczo. - Musisz tylko współpracować z nowym

komendantem i rajcami, których wybierze miasto.

- Ale żyć pod rządami chłopów...

- Chłopów z karabinami i armatami, Luizie - przerwał mu Montero, patrząc twardym wzrokiem. - Chłopów, którzy będą tu utrzymywać pokój do mojego powrotu. - Położył dłonie na ramionach Luiza. - Czyż ta kraina nie otrzymała nazwy od wyobrażonej przez de Montalvo wyspy skarbów? Żyj spokojnie, mój przyjacielu. Kalifornia jest bogatsza, niż ktokolwiek sobie wyobraża. Pokażę ci, jak jest bogata, kiedy wrócę. Nie pozwolimy, żeby de Iturbide czy Santa Anna przeszkodzili nam w spełnieniu naszego przeznaczenia. Masz na to moje słowo.

Z placu dobiegł przenikliwy gwizd. Montero obrócił się i podszedł do żelaznej balustrady.

- Usunąć dzieci z placu! - zawołał do żołnierzy. - Potem przystąpić do egzekucji! - Obejrzał się na dona Luiza i dodał: - Dzieci nie powinny być świadkami tego, co robimy, niezależnie od tego, jak są zepsute.

Alejandro toczył beznadziejną walkę z ojcem Felipe, który wypychał go z placu. Joaquin, Hector i Ramon natomiast zostali pochwyceni przez żołnierzy i teraz równie głośno jak Alejandro protestowali przeciwko ostremu traktowaniu. Inni płakali, bojąc się tego, co może ich spotkać ze strony żołnierzy.

- Ale ktoś musi przeszkodzić egzekucji, ojciec - powiedział Alejandro, szarpiąc się w potężnym uścisku franciszkanina.

- Nie martw się, dziecko - odparł ojciec Felipe. - Ktoś to zrobi.

Alejandro opuścił oczy, zaniechawszy oporu, i w tejże chwili zobaczył, że zakonnik nie ma na nogach swoich normalnych sandałów, ale czarne skórzane buty z błyszczącymi od polerowania srebrnymi kółkami ostróg. Co więcej, w miejscu, gdzie czarne jedwabne spodnie znikały w lewym bucie, spod habitu wystawała końcówka pochwy szpady.

Alejandro uniósł wzrok, żeby spojrzeć na zakonnika, i zobaczył, że jego okryta kapturem twarz jest przesłonięta czarną maską, spod której widać szeroko rozstawione oczy i orli nos.

Serce Alejandro zabiło żywiej w piersiach.

- Przecież ty jesteś...

- To będzie nasz sekret, dobrze? - uciszył go Zorro.

Alejandro przełknął głośno ślinę. Zobaczyć Zorro to jedno, ale rozmawiać z nim... Próbował coś powiedzieć, ale język go zawiódł. Zdołał tylko pokiwac głową.

- To dobrze - powiedział Zorro.

Poklepał go po ramieniu, odwrócił się i zniknął w tłumie. Serce Alejandro nadal biło jak oszalałe. Chciał pójść za Zorro, ale wiedział, że Joaquin nigdy by mu tego nie wybaczył. Pobiegł więc z powrotem na miejsce, gdzie ostatnio widział brata, i zaczął rozglądać się dookoła, aż wpadł na niego nie dalej niż piętnaście metrów od skraju placu. Wyrzucając pośpiesznie słowa, opowiedział mu, co przed chwilą zobaczył, więc Joaquin od razu zaproponował, żeby się wspięli na dach *cabildo*, czyli budynku magistratu, skąd na pewno będą mieli najlepszy widok na plac.

Zanim dotarli do frontowej krawędzi dachu, dowódca plutonu egzekucyjnego podnosił już w górę nagą szpadę.

- *Preparen!*\* - rozkazał oficer.

Sześciu żołnierzy odciągnęło kurki karabinów, a trzech więźniowie wyprostowali się przy słupkach, zdecydowani stawić czoło śmierci z honorem i godnością. Alejandro i Joaquin rozejrzeli się po placu, usiłując wypatrzeć Zorro.

- *Apunten!*\*

Żołnierze unieśli broń do ramion i wycelowali, kładąc palce wskazujące na spusty. Rodziny skazanych podniosły lament, a tłum zakołysał się, miotany

gniewem i nienawiścią. Ramię dowódcy plutonu egzekucyjnego opadło jak ścięte drzewo.

- *Fuego!*\*

\* *Preparen* - przygotować się, *apunten* - wycelować, *fuego* - ognia.

Z głośnym trzaśnięciem, które wielu obecnych wzięło za wystrzał, koniec czarnego skórzanego bicia zawinął się wokół jednej ze strzelb. Człowiek trzymający bicz szarpnął lufę strzelby, która uderzyła w lufę broni żołnierza stojącego obok. Rozległ się szcęk uderzających o siebie kolejno strzelb i w końcu wszystkie sześć luf skierowało się nie w nieszczęsnych więźniów, ale w dowódcę plutonu egzekucyjnego. Oficer otworzył szeroko oczy w przerażeniu i ułamek sekundy później dosięgły go kule.

- Zorro! - zawołał z dachu Alejandro, kiedy ostry zapach spalonego prochu przeniknął powietrze.

- El Zorro! - powtórzył ktoś w tłumie. - Wiwat El Zorro!

Zwinąwszy bicz, Zorro wskoczył na platformę z gotową do wymierzenia sprawiedliwości nagą szpadą. Okrzyki ulgi wydobyły się z tłumy, kiedy zamaskowany mściciel Kalifornii podbiegł do więźniów, uwalniając ich z więzów szybkimi cięciami szpady, a potem obrócił się, by stawić czoło tym z żołnierzy, którzy akurat nie nasypywali czarnego prochu do strzelb, żeby oddać kolejny strzał.

Stal uderzyła o stal, kiedy Zorro zaczął odbijać razy bagnetem wymierzone w jego kierunku ze wszystkich stron. Zwinny jak lis, od którego wziął swe imię, kontrował każde uderzenie i oddawał ciosy, więc od razu dwóch żołnierzy wycofało się, przyciskając ręce do krwawiących ran ciętych i kłutych. Kiedy trzeci żołnierz okazał się wystarczająco głupi, by także wydobyć szablę,

Zorro natarł na niego i wytrącił mu broń z ręki.

Bracia Murieta, którzy obserwowali w zachwycie tę scenę z dachu, zostali wytrąceni ze swego nastroju przez ostry dzwonek. Obróciwszy się do źródła tego dźwięku, zobaczyli, że Montero stoi nadal na balkonie i trzyma w dłoni taśmę prowadzącą do dużego, osadzonego na ścianie dzwonka z żelaza. Na ten sygnał kilku żołnierzy wysunęło się na balkon położonej blisko chłopców wieżyczki, aby zająć pozycje strzeleckie wychodzące na plac.

- Pułapka! - powiedział Joaquin. Alejandro skinął głową.

- Czwarta trumna! Chcą zabić Zorro!

Joaquin rozejrzał się i wskazał na róg dachu, na którym stał kamienny posąg anioła.

- Może udałoby się nam to zepchnąć!

Szybko przesunęli się po terakotowych dachówkach i zaparli o posąg, usiłując oderwać mosiężne uchwyty przytrzymujące jego podstawę. Po chwili uchwyty ustąpiły i posąg runął z dachu, obalając żołnierzy, zanim zdążyli dać ognia.

Zdekoncentrowany przez huk upadającego posągu Zorro nie zdołał sparować kolejnego ciosu i ostrze bagnetu wbiło się w jego ramię. Krzywiąc się z bólu, oderwał się od przeciwników i zniknął we wnętrzu budynku, a żołnierze z wściekłością rzucili się za nim w pościg.

Leżąc na brzuchach na skraju dachu, Alejandro i Joaquin czekali na kolejne pojawienie się Zorro, gdy nagle ubrane w czarne rękawice dłonie spadły na ich ramiona. Usiłując wyrwać się z uścisku, chłopcy obejrzel się, by spojrzeć na samego Lisa.

- Winien wam jestem podziękowanie, *compañeros*\* - powiedział, uśmie-



chając się pod maską.

*\* Compañeros - przyjaciele.*

Następnie zdjął zawieszony na szyi medalion i podał go Joaquinowi. Nie mogąc wymówić ani słowa, Joaquin podniósł medalion, by pokazać go bratu. Alejandro ujrzał krążek pokryty skomplikowanym grawerowanym wzorem koncentrycznych kręgów, które poprzecinane były krzyżującymi się liniami.

- *Pura plata!* - wyszeptał z przejęciem Alejandro.

Zorro skinął głową z gracją.

- Srebro i jeszcze wiele więcej.

Znowu położył ręce na ich ramionach, ale w tej chwili wyglądało to tak, jakby chciał ich pobłogosławić.

- Teraz, o ile mi pozwolicie, muszę wracać, bo jestem już spóźniony na swój bal.

Powiedziawszy to, obrócił się i spokojnie zeskoczył z dachu.

- Powinieneś był przewidzieć, że Zorro w tym przeszkodzi - rzekł don Luiz, kiedy Montero poradził mu, aby wycofał się w bezpieczne miejsce w salonie. - On pozostanie cierniem w twoim boku do samego końca.

Jest nim już od dwunastu lat - pomyślał Montero. Było tak od czasu, gdy zakwestionował kompetencje miejskich rajców i ogłosił siebie jedyną władzą w sprawach wojskowych i cywilnych, podobnie jak uczynił to trzy lata wcześniej gubernator Monterey po spustoszeniu miasta przez francuskich piratów. Montero wykonał lekceważący ruch ręką.

- Nie doceniasz mnie, Luizie. Miałem nadzieję, że on się pokaże. Jaka jest lepsza metoda na to, żeby wywołać lisa z jego jamy, niż zagrozić zabiciem paru członków jego rodu? Teraz, mój przyjacielu, pozostań w środku, a moi

żołnierze raz na zawsze uwolnią mnie od tego ciernia.

Powróciwszy na balkon, Montero dojrzał kątem oka jakąś poruszającą się postać. Odwrócił się w tym kierunku w ostatniej chwili, by zobaczyć, że jakiś czarny cień przebiega po dachu, opuszcza się zwinnie na gzyms i wyciągając w powietrzu szpadę, zeskakuje na balkon, na którym stoi on sam. Montero zeszywniał, kiedy czubek szpady Zorro nacisnął na jego gardło. Comendante ani się nie cofnął, ani też nie skrzywił twarzy.

- Niezależnie od tego, co myślą peoni - Montero zmusił się do mówienia - jesteś człowiekiem, a nie zjawą.

Zorro przechylił się ku niemu, dobywając kroplę krwi z jego szyi.

- Jesteś gotów zamordować trzech niewinnych ludzi tylko dlatego, żeby pochwycić mnie?!

Montero spojrział na ranną rękę Zorro.

- Z przyjemnością zamordowałbym nawet stu, żeby zobaczyć ciebie w kajdanach.

Zorro uśmiechnął się ironicznie.

- Na szczęście dla Kalifornii już nie masz takiej władzy.

Montero odwzajemnił się takim samym uśmiechem.

- Zabrzmiało to jak słowa prawdziwego szlachcica, ty bandyto!

Ostrze szpady Zorro zakreśliło błyskawiczny zygzakowaty ruch i Montero skrzywił się z bólu.

- Trzech ludzi, trzy cięcia - rzekł Zorro. - Mała pamiątka z Los Angeles, Rafaelu. Po to, abyś zapamiętał, że masz tu nigdy nie wracać.

Zamaskowany napastnik cofnął się, wsuwając szpadę do pochwy, i zagwizdał przenikliwym tonem, który poniósł się po całym placu. Na ten sygnał wspaniała czarna ogier ruszył przez dum w kierunku balkonu. Dotykając palcami szerokiego ronda kapelusza, Zorro zeskoczył z gzymsu na grzbiet ruma-

ka.

- Ruszaj, Tornado - usłyszał Montero jego słowa przebijające się przez okrzyki tłumu i pojedyncze wystrzały strzelb, których kule nie zdołały jednak dosięgnąć przybranego na czarno celu.

Zorro wjechał konno na szczyt biegnących na zewnątrz budynku schodów. Tornado wspiął się na zadnie nogi, przebierając przednimi nogami w powietrzu na tle zachodzącego słońca, gdy Zorro uniósł szpadę do góry w geście zwycięstwa.

Pokonując opór żołnierzy, mieszkańcy miasta zalali plac, wiwatując na cześć swojego obrońcy. Zaciskając zęby, Montero dobrnął do balustrady balkonu, by zobaczyć, jak czarny koń z jeźdźcem na grzbiecie zeskakuje na płaski dach przylegającego budynku i znika z widoku. Odsunąwszy dłoń od swej zranionej szyi, zobaczył na niej krwawy lustrzany obraz litery Z.

Montero zaklął i potrząsnął wzniesioną pięścią, przysięgając zemstę swojej Nemezis - człowiekowi w masce, przekleństwu swojego życia.

## *Zorro zdemaskowany*

Podniecony atmosferą walki Tornado pokonał pełnym galopem kilka mil dzielących Los Angeles od wybrzeża. Biorąc pod uwagę fakt, że nadciągały wojska Santa Anny, Zorro zakładał, że nie będzie ścigany, przedsięwziął jednak wszystkie stosowane zwykle środki ostrożności. Najpierw odczekał nieco w kępie wierzb w pobliżu mostu spinającego brzegi rzeki Rio de los Los Angeles de la Porciuncula, a potem zawrócił własnym śladem i przyjrzał się ciemnej przestrzeni z krawędzi trawiastego grzbietu, oddzielającego pobliskie rzeki od zimnych wód Oceanu Spokojnego. Wykonywał każdy manewr ze swą zwykłą ostrożnością, a jednak tej nocy w jego działaniu dawało się odczuć coś jeszcze oprócz samej czujności. Coś bliższego szarpiącego za serce poczucia straty niż tylko troska o swe własne bezpieczeństwo. Uświadomił sobie, że jego lata w roli „czarnego anioła Nowej Kalifornii”, „obrońcy sprawiedliwości” w końcu dobiegły kresu. Rafael Montero miał opuścić ten kraj z rannym przyływem i razem z nim miała odejść moc okrucieństw, które popełnił w imieniu hiszpańskiej korony. Terytorium obydwu Kalifornii należało teraz do Meksyku, kraju nie mającego wyrozumienia dla nieobecnych królów czy lokalnych kacyków. Lis miał przejść do historii, a raczej do legendy, gdzie tak naprawdę było jego właściwe miejsce, i Diego de la Vega mógł w końcu wrócić do swego własnego życia.

- Dzięki Bogu, że Montero wraca do Hiszpanii - powiedział, poklepując muskularny kark Tornado. - Obydwaj robimy się trochę za starzy do takich bohaterских wyczynów.

Tornado, ochłoniwszy podczas galopu z podniecenia, ostrożnie wybierał drogę, schodząc z ostatniego stoku przed plażą. Parskał z zadowoleniem i po-

trząsał grzywą w równym podmuchu wiatru, który zapowiadał deszcz przed północą. Słone powietrze było ciężkie, a powierzchnia morza wzburzona. Przez ostatnie pół godziny jechali przez teren liczącej blisko dwanaście tysięcy hektarów posiadłości de la Vegów, która została nadana donowi Alejandro de la Vega około dwudziestu lat wcześniej przez króla Hiszpanii. Podobnie jak wielu innych arystokratów, którzy przybyli z Europy, don Alejandro został ganadero, czyli hodowcą bydła, i w końcu dorobił się okazałego stada krótkonogiego, ostrorogiego bydła, które wywodziło się od łaciatych, czarnych, brązowych i czerwonych krów przywiezionych do Ameryki przez konkwistadorów.

Wkrótce przed ich oczami ukazała się wspaniale oświetlona przez latarnie i lampy naftowe hacjenda de la Vegów. Jednak Tornado skierował się nie ku domowi, ale w stronę widocznego nieopodal, wysokiego na trzydzieści metrów wodospadu, który kaskadami przelewał się z ostrych skał.

Kurtyna spadającej z grzmiotem wody kryła wejście do olbrzymiej jaskini, którą Diego odkrył całkiem przypadkowo jako młody chłopiec i która od tamtej pory była jego tajemnicą dzieloną tylko z Tornado. O istnieniu jaskini wiedzieli jednak poprzedni właściciele hacjendy, którzy nie tylko wyposażyli jej wnętrze, ale także połączyli ją z domem za pomocą sekretnego przejścia i kilku kamiennych schodków. Podobno żona właściciela hacjendy śmiertelnie bała się ataku Indian i wykorzystywała jaskinię jako schronienie, kiedy nie potrafiła przezwyciężyć strachu. Dlatego więc młody Diego zastał jaskinię wyposażoną w zapasy wody, korce suszonej kukurydzy, książki i dwa przestarzałe muszkiety. Na początku jaskinia nie była niczym więcej niż przybytkiem dziecięcych zabaw, ale stopniowo stała się miejscem cenionym przez Diego w momentach zagubienia i refleksji.

Wysoka i wąska szczelina, stanowiąca ujście tej podziemnej komnaty, pozwalała wjeżdżać do środka na koniu, ale tym razem Diego zsiadł z wierz-

chowca nieco wcześniej. Zdjął z niego siodło i uprząż. Światło pochodni oświetlało dużą, wysłaną słomą wnękę, która służyła jako stajnia i z której Tornado mógł wychodzić na zewnątrz, by napić się wody czy popaść, kiedy przyszła mu na to ochota. Za wnęką jaskinia rozszerzała się w zamknięte łukowatym sklepieniem wielkie pomieszczenie, które służyło częściowo jako biblioteka, a częściowo jako miejsce pracy. Wyniesiona ponad poziom spągu posadzka wykonana z ozdobnej mozaiki najlepiej świadczyła o umiejętnościach Diego. Miała powierzchnię około stu metrów kwadratowych i wyłożona była płytkami marmuru, które układały się w taki sam składający się z koncentrycznych okręgów wzór, jak ten na grawerowanym medalionie podarowanym przez niego dwóm urwisom z misji San Gabriel. Sam srebrny medalion był darem, jaki Diego otrzymał od sir Edmunda Kendalla, świetnego mistrza fechtunku, pod którego kierunkiem zgłębiał w Madrycie sztukę szermierki.

Zdjąwszy kapelusz, maskę i pelerynę, Diego oczyścił szpadę i umieścił ją na stojaku obok kilku podobnych szpad oraz floretów i szerokich szabli. Następnie zdjął swój jedwabny strój i przeszedł na tył wypełnionej cieniami groty, gdzie zbudował maleńką kapliczkę Marii Panny. Wysoki, szczupły i przystojny Diego wyglądał atrakcyjnie nawet bez swej peleryny i kapelusza. Klęcząc przed kapliczką, zapalił dwie łojowe świece, które stały po bokach wykonanej z kości słoniowej figurki Matki Boskiej, przeżegnał się i odmówił krótką modlitwę wyrażającą podziękowania i jednoczesną prośbę o przebaczenie za gwałtowne czyny, nawet te najbardziej usprawiedliwione. Modlitwa była rytuałem, o którego odbyciu nigdy nie zapominał, chociaż od dawna kusilo go, by z niego zrezygnować.

Przeniósł się myślami dziesięć lat wstecz. To właśnie wkrótce po powrocie z uniwersyteckich studiów w Madrycie założył po raz pierwszy słynną maskę Zorro, wyciętą ze skrawka orientalnego jedwabiu, który kupił, kierowany

jakimś impulsem, w Barcelonie ostatniego wieczoru przed wypłynięciem w prowadzącą wokół przylądka Horn drogę do Kalifornii. Płynąc na wezwanie ojca do domu, rozmyślał w czasie trwającej wiele miesięcy podróży o pięknej Esperanzy.

Czy jest zameżna? - myślał. Czy pamięta o nim? Czy przyjmie go znowu, tak jak kiedyś? Od razu po zejściu z łodzi, która przewiozła go ze statku na brzeg, usłyszał pierwsze opowieści o tyrańskich rządach sprawowanych w Los Angeles i sąsiednich pueblach przez Rafaela Montero. Indianie byli prześladowani i zabijani, a vaqueros i chłopcy traktowani brutalnie i zmuszani do płacenia przerażających podatków. Nawet donowie zostali zmuszeni do powstrzymania się od protestów, kiedy Montero rozwiązał miejscową radę i wyznaczył samego siebie na generalnego gubernatora całego okręgu.

Kiedy Alejandro de la Vega, który sam pełnił przez jedną kadencję funkcję gubernatora, został aresztowany za spoliczkowanie Montero, Diego utwierdził się w postanowieniu, że musi podkopać tak niezasłużenie uzyskaną władzę comandante, albo nawet go jej pozbawić. Od samego początku było jasne dla niego, że inni donowie i caballero, niezależnie od stopnia swego niezadowolenia, byli niechętni temu, by postrzegano ich jako rewolucjonistów. Z tego powodu Diego pozostawał sam w swej walce przeciwko Montero i musiał ją prowadzić w taki sposób, aby nie ściągnąć na ojca gniewu korony ani nie okryć niesławą pozostałych członków jego szlacheckiej rodziny.

Lis, który zamieszkał w jaskini podczas pobytu Diego w Hiszpanii, użył mu imienia dla jego nowej sekretnej tożsamości. Szybki i sprytny, o bystrych oczach i jeszcze lepszym słuchu, lis uciekał swym prześladowcom, biegnąc zygzakiem. Co więcej, wykopywał swoją jamę w ziemi i polował w nocy. Jednak prawdziwą inspiracją dla Zorro była krążąca w tych stronach opowieść o mających ostre pazury przybranych na czarno zjawach, które włóczyły się po

dolinach i górach Kalifornii, siejąc zniszczenie i napełniając przerażeniem serca zaskoczonych podróżnych.

Skończywszy się modlić, Diego wszedł na schodki i uruchomił sprężynowy mechanizm otwierający kamienne drzwi na tyle głębokiego kominka, który stał w salonie na pierwszym piętrze. Od wewnątrz domu drzwi były uruchamiane przyciskiem ukrytym pod gzymsem kominka. Przypadkowe odkrycie tego przycisku spowodowało, iż Diego zyskał swój własny, nowy świat.

Salon, wąski pokój o podłodze z szerokich desek, był pusty. Jego wyposażenie stanowiły krzesła o wysokich oparciach, ława, kredens i inne masywne meble, które nieżyjąca już Teresa de la Vega przywiozła z Kastylii na przełomie wieków. Diego po cichu przeszedł przez pokój do drzwi umieszczonych w przeciwległej ścianie i zajrzał do następnego pomieszczenia.

Elena, która miała zaledwie dwa lata, spała w swej kołysce pod czujnym okiem Porannej Gołębicy: oddanej piastunki domu de la Vegów. Poranna Gołębica uniosła wzrok znad czółenka, by obdarzyć Diego ciepłym i jednocześnie tajemniczym uśmiechem.

- Myślisz, że jest jej ciepło? - zapytał Diego.

- Zawsze nakrywam ją dodatkowym kocem - odparła.

Wstała z krzesła i podeszła do drzwi, ocierając się swym wykonanym ze zgrzebnego materiału ubiorem o gałązki romanii, które przytwierdziła do poręczy kołyski.

Diego zajął jej miejsce przy kołysce, patrząc z miłością na dziecko.

- Powiniennem wytłumaczyć ci, dlaczego nie było mnie tu, żeby cię utulić i pocałować na dobranoc - zaczął szeptem. - Widzisz, moja maleńka, trzech ludzi bardzo potrzebowało ratunku, a któż inny niż twój ojciec mógł doprowadzić do ich uwolnienia? Ach, powinnaś była mnie zobaczyć, jak przecinałem ich więzy szpadą i walczyłem z tymi, którzy mieli ich rozstrzelać. A potem



spotkałem tego złego człowieka, który stał za tym wszystkim. Jak kot skoczyłem na balkon, na którym puszył się niczym nietykalny monarcha, wyciągnąłem szpadę i przyłożyłem mu ją do gardła - opowiadał, wyciągając jedną gałązkę romanii jak szpadę - mówiąc do niego: „Jesteś gotów zamordować trzech niewinnych ludzi tylko dlatego, żeby mnie pochwycić?!“ A ten zły człowiek odparł...

Diego odwrócił się szybko, słysząc jakiś odgłos dochodzący od drzwi, i ujrzał Esperanzę. Patrzyła na niego w ten sam sposób, w jaki on przed chwilą patrzył na Elenę. Była wspaniałą kobietą, którą na równi cechowały klasyczne piękno i żywiołowa natura. Promieniała w miękkim blasku latarni, ale nawet w tym romantycznym świetle Diego mógł dostrzec, że długie oczekiwanie na jego powrót było dla niej męką. Nawet po tak wielu latach szczęśliwych powrotów i opatrywania ran od noża, szpady i kuli, które zawsze się goiły, po latach akceptowania i często nawet zachęcania go do walki, którą sobie narzucił...

- Czekałam na werandzie. Myślałam, że zobaczę, jak podjeżdżasz - powiedziała z uśmiechem. - Ale nie przerywaj swej opowieści, mężu. Zły człowiek powiedział...

Diego odchrząknął.

- Powiedział coś... co nie miało wielkiego znaczenia.

- A dobry książkę? Co on zrobił?

- No cóż, zeskoczył z balkonu na swego wiernego rumaka o imieniu Tornado i ruszył pędem do domu, do swej pięknej żony Esperanzy i dzieciątka śpiącego w kołysce. - Znowu skierował wzrok na Elenę i ścisząc nieco głos, dodał: - A teraz obiecuję nigdy więcej nie wyruszać na szalone czy niebezpieczne wyprawy.

Śmiejąc się radośnie, Esperanza podeszła do niego, całując i obejmując go w pasie ramieniem. Patrzyli razem na swe małe dziecko, które porusza-

ło się i uśmiechało przez sen.

- Spójrz, Diego, jak ona bardzo lubi słuchać twych opowieści - rzekła Esperanza.

- To tylko z powodu tonu mojego głosu. Kiedyś, w przyszłości, nie będzie miała czasu, by słuchać o moich wyczynach.

- Ona już teraz ma w sobie twojego buntowniczego ducha. Właśnie dzisiaj rozbiła tego glinianego konika, którego dla niej zrobiłeś. - Esperanza obróciła się nieco ku niemu i znowu pocałowała go czule w policzek. - A poza tym ja nigdy nie mam dość twoich opowieści. Więc dlaczego ona miałaby nie chcieć ich słuchać?

Ściskając delikatnie dłoń Esperanzy, Diego poprowadził ją do salonu, skąd przeszli do holu ku schodom prowadzącym na parter. Esperanza oparła się o jego ranną rękę, próbując go objąć, i wtedy Diego cofnął się nieco.

- Co się stało? - zapytała, patrząc na niego z troską.

- Nic. To tylko draśnięcie.

Esperanza zamarła w bezruchu.

- Diego, obiecałeś mi. Już dość nocy przepelnionych czekaniem i modlitwą, żebyś ty...

Przerwał jej, przykładając palec do ust żony.

- Montero wraca do Hiszpanii, *querida*\*. Walczyliśmy i wygraliśmy. To, co powiedziałem Elenie, jest prawdą. Dzisiaj była ostatnia wyprawa Zorro.

\* *Guerida* - ukochana.

Spojrzała na niego sceptycznie, przygryzając dolną wargę i marszcząc czoło.

- Mówiłeś już takie rzeczy...

- Tym razem jest inaczej - zapewnił ją pośpiesznie. - Mój cień przestaje działać. Pozwolę sobie zestarzeć się i utyć, kiedy moja piękna żona będzie wychowywać pięcioro naszych dzieci.

- Pięcioro? - powtórzyła w udawanym zaskoczeniu.

- Pięcioro, sześcioro - powiedział, wykonując ręką nieokreślony gest. - Tyle, ile chcesz. Tyle, ile zdołamy począć.

Jej orzechowe oczy zabłysły czysto, gdy podniosła wzrok na jego twarz.

- Powiedz mi coś, mężu. Co jeszcze będziemy robili oprócz tego?

- Co jeszcze? No cóż, będziemy hodować najlepsze bydło w Nowej Kalifornii i zatrudnimy stu vaqueros, żeby go doglądali. Będę chwytął najzwinniejsze mustangi i jeździł nimi tam i z powrotem wzdłuż całej Camino Real. Zorganizujemy rodea i fandanga, na których będzie pragnęła uczestniczyć cała Kalifornia

- Ty będziesz tańczył?!

- My będziemy tańczyli, moja droga. Tak jak nigdy przedtem. Będziemy tańczyli jotę, jarabe, walca... Będzie nam zazdrościła każda rodzina stąd po Yerba Buena. Posadzę oliwki i cały sad pomarańczy z Walencji, i winogrona na wino, a ty będziesz hodowała wspaniałe róże we wszystkich kolorach.

- Diego - westchnęła Esperanza, uśmiechając się i przytulając do niego.

Uniósł jej twarz ku swojej i pocałował namiętnie. Uczucie nadziei i ulgi przepełniło mu serce. Otworzył oczy dopiero wtedy, gdy Esperanza nagle zeszywniała w jego objęciach, jakby nagle ujrzała coś straszego ponad jego ramieniem.

Obracając się jak derwisz w tańcu, Diego stanął twarzą w twarz ze swym śmiertelnym wrogiem, Rafaelem Montero.

## *Śmiertelny pojedynek*

Montero stał na schodach z dwoma żołnierzami i patrzył z ironicznym uśmiechem na Esperanzę i Diego. Był pewien, że Esperanza ze skromności wycofa się z objęć Diego, jednak ona zgodnie ze swą niepokorną naturą celowo przedłużyła pocałunek, obejmując męża jeszcze mocniej. Montero skrzywił twarz w grymasie, chociaż nie zrobił tego ani pod gradem zgniłych owoców, ani czując na szyi czubek szpady Zorro.

- Doña Esperanza - powiedział w końcu. - Wygląda pani równie pięknie jak zawsze.

Diego spojrzał mu wprost w oczy, zatrzymując przedtem na ułamek sekundy wzrok na bandażu, którym Montero opatrzył wyciętą na jego szyi ranę w kształcie litery Z.

- Co pana tu sprowadza, don Rafaelu? - zapytała nerwowo Esperanza.

- Los - odparł Montero.

Diego posłał mu arogancki uśmiech.

- Cóż to za zaszczyt gościć w naszym domu byłego gubernatora Los Angeles! Czy zostanie pan na kolacji? Och, o czym ja myślę? Przecież nie ma pan czasu, by jeść. Ucieka pan, żeby ujść z życiem.

Montero zmierzył go gniewnym spojrzeniem.

- Jakże szczęśliwym człowiekiem musi pan być, don Diego, będąc jedynym obiektem uwagi takiej czarującej kobiety!

- Nigdy nie było nikogo szczęśliwszego - odparł Diego tonem wyrażającym grzeczną zgodę.

- Był taki czas - podjął Montero jakby od niechcienia - kiedy nie tylko pańskie ramiona obejmowały takie piękno. Cóż, ja sam jeszcze pamiętam deli-

katność skóry tej damy - przerwał, aby okazać udawane zakłopotanie swym, być może, niewłaściwym sposobem wysławiania się. - Ale możliwe, że doña Esperanza nie zwierzyła się mężowi z tych chwil, które dzieliliśmy ze sobą, kiedy pan doskonalił swoje... maniery w Madrycie...

Widać było wyraźnie, iż Diego zmusza się do zachowania spokoju, jednak zdołał odezwać się opanowanym tonem:

- Wręcz przeciwnie. Mówiła nie tylko o tych chwilach, ale też i o innych nieszczęściach. - Jego ciemne, rzucające błyskawice oczy wróciły do bandaża na szyi Montero. - Pozwolę sobie pana zapytać, comandante, czy skaleczył się pan przy goleniu? Może brzytwa była zbyt ostra?

- Infantylny dowcip był z pewnością drugim przedmiotem pańskich studiów oprócz dobrych manier, don Diego - parsknął Montero. - A może to był trzeci przedmiot po fechtunku?

Diego uniósł brwi w udawanym zdziwieniu i rozłożył ramiona.

- Fechtunku? Jak z pewnością może zaświadczyć każdy w Los Angeles, jestem pokojowo nastawionym człowiekiem. Hodowcą bydła, ni mniej, ni więcej. A teraz, ryzykując nietakt, muszę poprosić pana o podanie powodu tej niezapowiedzianej wizyty.

Montero spojrzał na Esperanzę.

- Przyszedłem złożyć przeprosiny.

- Przeprosiny? - powtórzyła niepewnym tonem.

- Tak, za to, iż nie zdołałem uchronić tej krainy przed chłopami, którzy ją opanowali. I za to, że nie zdołałem zdobyć pani miłości. I w końcu za to, że muszę pozbawić panią męża.

Przeniósł wzrok na Diego i dał ręką znak żołnierzom.

- Pojmać go!

Diego zaśmiał się, kiedy żołnierze chwycili go za ramiona.

- To absurdalne, Montero. O jakie przestępstwo jestem oskarżony? O brak uprzejmości, ponieważ nie odprowadzam pana na statek?

Montero podszedł o krok do przodu, położył dłoń na rannym ramieniu Diego i natężył uścisk. Diego nie wydał żadnego dźwięku, ale zdradziła go sama rana. Krew przesączyła się przez tkaninę rękawa i zostawiła ślad na dłoni Montero.

- Krew nigdy nie kłamie, Zorro - powiedział Montero, cofając się z wyrazem nienawiści i triumfu na twarzy. Otarł dłoń o rękaw swojego płaszcza. - Jesteś zdrajcą zarówno swojego kraju, jak i swojej klasy. Od dawna cię o to podejrzewałem, a teraz mam wszystkie dowody, jakich potrzebuję.

Pstryknął palcami i na ten sygnał do holu wpadło kolejne pół tuzina żołnierzy. Jeden z nich przytrzymał usiłującą się wyrwać piastunkę, przyciskając dłoń do jej ust.

- Zabrać go - polecił Montero, wskazując na Diego.

Esperanza usiłowała rzucić się na ratunek mężowi, ale jeden z żołnierzy zagroził jej drogę.

- On nie jest ciebie wart, Esperanzo - mruknął Montero.

Diego naprężył się, prostując się na całą wysokość, i odrzucił od siebie żołnierzy. Błyskawicznie pozbawił najbliższego z nich szabli i rzucił się na Montero, który odpowiedział na ten nagły atak, rąbiąc panicznie, ale nieskutecznie, swoją własną bronią. Stojący poniżej żołnierze zaczęli przymierzać się do strzału, ale widać było po ich ruchach, że żaden nie może złożyć się do czystego strzału do celu. Gdy Diego i Montero krążyli wokół siebie z błyskającymi w świetle pochodni ostrzami, zapadło między nimi nagłe milczące porozumienie. Już nie obowiązywały ich zwyczajowe reguły pojedynku. Ta walka miała być pojedynkiem na śmierć i życie.

Esperanza krzyknęła, załamując przed sobą ręce, kiedy Montero natarł na

Diego, tnąc śmiało szpadą i zadając wściekłe pchnięcia. Jednak Diego walczył równie dobrze w ubraniu bogatego ziemianina jak pod osłoną maski i peleryny. Niemal od początku pojedynku to on dyktował warunki walki, nie zwracając większej uwagi na uniki Montero czy próby wytrącenia mu broni z ręki. Dbając o to, aby jego ostrze nie zostało odbite z linii natarcia, Diego z olśniewającą sprawnością kontratakował i szarżował. Montero śmiało opadł jedną dłonią na podłogę, by przypuścić atak *passata-sotto*, kiedy bezbłędne, szybkie uderzenie wytrąciło mu z ręki szpadę. Broń upadła ze szczękiem na podłogę.

Diego nachylił się nad leżącym przeciwnikiem, by zadać mu śmiertelny cios, kiedy rozległ się przytłumiony huk eksplozji, a kula ze strzelby przeleciała z gwizdem koło jego głowy i zaryła się w ścianie. Diego cofnął się błyskawicznie, a Montero skoczył na równe nogi, wołając do swych ludzi, by wstrzymali ogień.

- To jest sprawa między nami! - zawołał, podejmując broń i ponawiając atak.

Być może de la Vegę wyprowadził z równowagi wystrzał lub też szybkie rozbrojenie przeciwnika przepełniło go nadmierną pewnością siebie, w każdym razie Montero był równie zaskoczony jak wszyscy inni, kiedy jego ostrze nie tylko znalazło lukę w obronie przeciwnika, ale nawet wniknęło w nią i zraniło Diego w bok tuż nad pasem. Gdyby Montero nie stracił ani chwili na przyglądanie się swemu dziełu, mógłby natychmiast zakończyć walkę, ale moment zawahania wystarczył, żeby de la Vega uniknął niebezpieczeństwa. Montero zadał wściekły cios, ale uzyskał tylko tyle, że ściał dwie płonące pochodnie zatknięte w umieszczonych na ścianie osadach.

Diego począł nacierać tak, by znaleźć się z przeciwnikiem *corp-a-corp*, czyli w zwarciu. Kiedy już tego dopiął, chwycił Montero za trzymającą broń rękę, targnął nią mocno i wbił ostrze jego szpady w ścianę, rozbrajając go po

raz drugi, a potem przystawił mu do szyi ostrze swojej broni.

- Zdaje się, że jesteśmy znowu w tym samym punkcie, gdzie zaczęliśmy wcześniej - powiedział ironicznym tonem, nie zważając na wycelowane w niego lufy. - Pamiętajcie o wydanych wam rozkazach! - zawołał przez ramię do żołnierzy. - To jest walka pomiędzy nami.

Montero zadygotał z gniewu.

- Tak, pomiędzy de la Vegą i nami wszystkimi! - zawołał. Natychmiast rozległ się trzask odciąganych kurków. Esperanza rzuciła się do przodu, jeszcze raz próbując rozpaczliwie interweniować, kiedy rozległ się głośny huk wystrzału i siarkowaty zapach pośledniego prochu wypełnił pokój. Wszyscy zastygli w ciszy. Zarówno Montero, jak i Diego odwrócili się, aby zobaczyć, że Esperanza chwieje się i upada, a czerwona plama rozkwita na jej jedwabnej koszuli.

Wstrząśnięty Diego wypuścił broń z ręki i pośpieszył do żony, unosząc ją za ramiona i wołając jej imię. Bolesny lament piastunki dobył się spod dłoni przytrzymującego ją żołnierza.

- Nie! - zawołał Diego. - Nie!

Stojąc nadal z plecami przyciśniętymi do ściany, Montero pochylił się powoli, podniósł z podłogi szpadę, a potem zszedł kilka stopni po schodach i zatopił ją wprost w sercu żołnierza, który trzymał w rękach dymiącą strzelbę. Pozostali poruszyli się niespokojnie, ale co do jednego ustąpili pod jego gniewnym spojrzeniem.

Zapach dymu wyrwał Montero z oszołomienia. Pochodnie, które przypadkowo ściał, podpaliły wiszące na ścianie gobeliny i płomienie już wspinały się ku wysokiemu sufitowi. Bez zastanowienia rzucił się ku schodom, gdzie Diego klęczał z martwym ciałem Esperanzy w ramionach.

- Przykro mi - wyrzucił z siebie. - Nigdy bym nie pozwolił, żeby stała się



jej jakakolwiek krzywda.

Diego podniósł na niego pełne zimnej wściekłości oczy.

- Nigdy nie była twoją, byś miał prawo ją chronić.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale dotarł do niego krzyk Eleny. Dopiero wtedy dostrzegł dym, który gwałtownie wypełniał dom. Ułożył Esperanzę delikatnie na podłodze, podniósł się sztywno i dał zaledwie jeden krok w kierunku pokoju dziecka, kiedy Montero uderzył go ręką szablą w tył głowy.

Diego upadł ciężko na podłogę. Jeden z żołnierzy szybko skoczył ku niemu z nożem w ręce, ale Montero wyciągnął ramię, powstrzymując go.

- Nie, niech żyje - nachylił się nad Diego, który jęknął cicho. - Mam co do niego specjalne plany.

Podszedł do Esperanzy. Ból i niedowierzanie wzbierały w nim na widok jej bezwładnego ciała. Drżąc, klęknął przy niej, wyciągnął rękę i zamknął jej oczy.

Świat wokół na przemian to zapadał w ciemność, to wydobywał się z niej na powrót, kiedy Diego usiłował wyrwać się z czarnej przepaści nieprzytomności. Przez chwilę wiedział tylko tyle, że jest na dworze, leży na boku i nie może wyprostować nóg. Wkrótce uświadomił sobie, że obok niego stoją dwaj żołnierze Montero. Unosząc dłonie do twarzy, ujrzał też, że ma nadgarstki spięte kajdanami. Nadal oszołomiony, zmuszał swe oczy, by poddały się jego woli.

Po chwili zorientował się, że jest zamknięty w żelaznej klatce ustawionej na trzęsącej się carreta, czyli wozie ciągniętym przez woły. Rozświetlający kruczoczną noc blask pochodził od płomieni trawiącego jego dom pożaru. Oczyma wyobraźni ujrzał oderwane sceny pojedynku na schodach i okropny widok życia uciekającego z oczu Esperanzy, a potem przypomniał sobie żałosne wołanie dziecka.

- Elena! - wykrzyknął. - Elena!

Płomienie podnosiły się coraz wyżej ku nocnemu niebu, oświetlając kilka niespokojnych koni i ich jeźdźców, wśród których byli żołnierze i kilku vaqueros z hacjendy. Zdało mu się, że słyszy niezrozumiałe wołanie Porannej Gołębicy i nagle ujrzał czyjąś postać wybiegającą z płonącego domu. Montero! W jego ramionach widać było niewielkie zawiniątko zapakowane w koce.

Diego usiadł prosto, patrząc, jak jego śmiertelny wróg zbliża się do klatki z twarzą czarną od dymu i skrwawionym bandażem zwisającym z szyi. Ból Diego ustąpił naglej uldze i wręcz radości, gdy usłyszał płacz Eleny. Wysunął dłonie pomiędzy żelaznymi prętami klatki na tyle, na ile pozwalały kajdany.

- Montero! Daj mi ją! Pozwól mi ją wziąć!

Montero zatrzymał się tuż poza zasięgiem jego rąk, kołysząc Elenę w swoich ramionach i pieszcząc ją delikatnymi muśnięciami po plecach.

- Ciii, ciii, malutka, już jesteś bezpieczna. Nie masz się czego obawiać. Nikt cię nie skrzywdzi. Tak, właśnie, przestań płakać i uśmiechnij się do mnie.  
- Odwrócił dziecko w ten sposób, by Diego mógł je zobaczyć. - Ach, to prawda, co mówią, rzeczywiście masz oczy swej matki.

Diego zacisnął dłonie na zardzewiałych prętach i potrząsnął klatką tak mocno, że zakołysała się na wozie.

- Nie możesz mnie więzić. Już nie masz do tego prawa.

Nagły przypływ gniewu zaczerwienił twarz Montero.

- Kto tu mówi o prawie, de la Vega! Już ci powiedziałem: to jest sprawa pomiędzy nami dwoma!

Diego zaśmiał się szaleńczo.

- Więc dalej, zawieź mnie do więzienia. Będę wolny, gdy tylko przybędą wojska Santa Anny, i Bóg mi świadkiem, Montero, że żadna fregata czy brygantyna nie wywiezie cię poza zasięg moich rąk. Wytropię cię nawet na końcu

świata.

- Były takie czasy, że potraktowałbym takie pogróżki poważnie - powiedział Montero głosem pozbawionym emocji. - Ale tam, dokąd jedziesz, nie będzie nikogo, kto by cię uwolnił. Nikt cię nie uwolni aż do czasu, kiedy ja tak rozkażę. A to nie nastąpi nigdy. Słyszysz mnie, de la Vega?! Nigdy!

Diego otworzył szeroko oczy.

- Więc zabij mnie teraz i skończ z tym! Zabij mnie, bo przysięgam, że nigdy się mnie nie pozbędziesz!

- Co?! Mam pozbawić moich współziomków satysfakcji z twoich cierpień za to, co musieli znosić z rąk i od szpady El Zorro?! - Montero z rozmysłem wymawiał słowa w ten sposób, jakby zatapiał ostrze szpady w sercu Diego. - Nie! Wolę, żebyś żył ze świadomością, iż utraciłeś wszystko, co było dla ciebie drogie. Żebyś cierpiał tak jak ja, kiedy patrzyłem na ciebie i Esperanzę przez te wszystkie lata, wiedząc o tym, że to dziecko powinno być moje.

Diego uniósł wzrok na przepelnione dymem niebo.

- Przeklinam cię, Montero!

Montero nawet nie usiłował ukryć swojej satysfakcji.

- Ja już ciebie przekląłem, de la Vega!

Gdy Montero odchodził, błyskawica rozdarła niebo nad oceanem, a grzmot przetoczył się po całej krainie i pierwsze ciężkie krople deszczu uderzyły w spragniony wody grunt. Jeden z żołnierzy pochylił się ku klatce.

- Nikt nie zdoła przetrwać w lochach Talamantes - powiedział zimnym tonem. - Nawet Zorro. Zabierać go! - zawołał do woźnicy.

Rozległo się trzaśnięcie bicia. Wóz szarpnął do przodu i potoczył się na spotkanie nadciągającej burzy.

## 5

### *Zmiana warty*

W latach trzydziestych dziewiętnastego wieku, kiedy de Iturbide, a potem Antonio Lopez de Santa Anna Perez de Lebron starali się umocnić z trudem wywalczoną niezależność Meksyku, Nowa Kalifornia nadal była odległą prowincją tego kraju, zaludnioną zaledwie przez cztery tysiące osób hiszpańskiego lub kreolskiego pochodzenia i być może sto pięćdziesiąt tysięcy osób wywodzących się z plemion tubylczych.

Gdy tylko został prezydentem, Santa Anna wzmocnił forty i zakładając misję w San Francisco Solano, przesunął północną granicę Nowej Kalifornii do czterdziestego drugiego równoleżnika, jednak nie wypełnił swej obietnicy przekazania misyjnych ziem indiańskim przechrztom, którzy tak wiernie służyli Kościołowi. Przyznał natomiast wielkie obszary rancz i pastwisk arystokracjom i oficerom armii, którzy zdobyli jego łaski. W ślad za nowymi posiadaczami ziemskimi pojawili się traperzy, spekulanci ziemią i bostończycy, którzy przybywali statkami, przywożąc ze sobą ładunki jedwabiu, cukru, butów, biżuterii, herbaty, narzędzi, bawełny i perkalu, wymieniane następnie przez nich na kalifornijskie skóry, futra wydr wodnych, łój i smalec.

Zanim nadeszły lata czterdzieste, wielu Kalifornijczyków zaczęło zadawać sobie pytanie, dlaczego Santa Anna nie tylko toleruje wzrost handlu z zamorskimi krajami, ale nawet do niego zachęca, nie zważając na fakt, że obecne wpływy kosztowały go utratę Teksasu, a niedawno Nowego Meksyku. Wszyscy, którzy osiedlali się w misyjnych miasteczkach, byli zobowiązani do przejścia na katolicyzm, ale wyrzeknięcie się przez przybyszów protestantyzmu nie zawsze gwarantowało ich lojalność wobec Meksyku. Wielu ludzi uważało, że jest kwestią czasu, kiedy Kalifornijczycy zaczną domagać się niezależności,

podobnie jak uczynili to przed nimi mieszkańcy Teksasu i Nowego Meksyku. Rafael Montero obserwował działania Santa Anny wprawdzie z wielkiej odległości, ale i z wielkim zainteresowaniem. W Kalifornii wiadano, że Montero żyje w wielkim bogactwie i wiele podróżuje po Europie oraz Ameryce Środkowej i Południowej. Mówiono, że gdzieś po drodze pojął żonę, ale ta zmarła wkrótce po urodzeniu pięknej i pełnej werwy córki, którą rzadko spuszczał z oka. Mówiono także, że zaprzyjaźnił się z samym Santa Anną i że przyjął jakieś stanowisko w armii meksykańskiej. Przesyłki regularnie przybywające od niego do Los Angeles adresowane były zarówno do donów, których znał z dawnych czasów, jak i do meksykańskiego komendanta, który zajął jego miejsce. Panowała powszechna opinia, że dziesiątki ludzi pracuje na rzecz Montero w czasie jego przedłużającej się nieobecności, dbając o rezydencję, którą nadal utrzymywał w pueblo, i starając się zapewnić mu polityczne wpływy na czas jego obiecanego powrotu.

Powszechnie uważano też, że don Diego de la Vega zginął w pożarze hacjendy, który także pochłonął życie jego żony i małej córeczki, chociaż przez pewien czas krążyły plotki, że wydarzenia potoczyły się inaczej. Jeśli chodzi o Zorro, zdawało się, że po prostu zniknął w ciemnościach nocy, z których się narodził. Niektórzy oskarżali go o perfidię, gdyż, jak mówili, prawdziwy obrońca uciśnionych nie odwracałby wzroku od okrucieństw popełnianych przez armię meksykańską. Co więcej, prawdziwy obrońca powróciłby, aby położyć kres tajemniczym zniknięciom, które prześladowały ludność całego terytorium od Santa Barbara po Capistrano.

Wzdłuż całej Camino Real, wspaniałej drogi, która łączyła misyjne miasteczka, ludzie powtarzali szeptem opowieści o czarno przybranych jeźdźcach, którzy pojawiali się o zmierzchu w siedliskach osadników lub przy indiańskich szałasach, żeby uprowadzać całe rodziny, o których potem już nie słyszano ani

ich nigdzie nie widziano. Bracia Murieta natomiast, rozgniewani przez ciągłe łamanie obietnicy nadania ziemi neofitom i widoczny brak zainteresowania stolicy dla tak daleko żyjących poddanych, zeszli na drogę występku. Brali to, co im było potrzebne, z wozów dostawczych i dyliżansów, które pojawiały się na coraz bardziej ruchliwych traktach Nowej Kalifornii.

- Powinniście ścigać bandytów, a nie częstować się moimi skromnymi zapasami - łąjał stary sklepikarz kaprała Lopeza, który wybrał najlepszą brzoskwinę z drewnianej skrzynki stojącej w sklepie.

Pod względem wyglądu sklepikarz był przeciwieństwem opasłego Lopeza, ale jego zewnętrzna kruchość stała w sprzeczności z jego niezłomnym duchem.

Nie zważając na niego, Lopez szybko rozprawił się z brzoskwinia, żarłocznie odgryzając kęsy owocu.

- Powinieneś czuć się zaszczycony tym, że żołnierz mojej rangi kradnie twoje owoce, *viejo*\* - powiedział z ustami pełnymi soczystej masy.

\* *Viejo* - starzec.

Sięgnął po drugą brzoskwinę, ale sklepikarz uprzedził go, chwytając ją i rzucając daleko w zarośla.

- Lepiej, żeby ją zjadły kojoty niż tacy jak ty!

Lopez otarł swą pulchną twarz grzbietem dłoni, roześmiał się i chwycił kolejną brzoskwinę, zanim sklepikarz zdołał go powstrzymać.

Obskurny sklepik stał obok studni wykopanej przy podrzędnej drodze łączącej Los Angeles i port San Pedro. Część z pół tuzina podwładnych Lopeza pilnowała zaprzęzonego w konie wozu, a pozostali objadali się pomidorami lub melonami i napychali kieszenie oliwkami, soczewicą, owocami garbanzo i pa-

pryłą chili. Żołnierze ubrani byli w wytarte i zakurzone mundury z granatowej serży, przyozdobione czerwonymi obszyciami i białymi krzyżującymi się na piersiach pasami, a na głowach mieli wysokie czapki z matowoczarnej skóry, przewiązane pod brodą rzemykami i opatrzone kokardami. Jeden z nich siedział na drewnianej skrzyni na tyle wozu, trzymając na kolanach strzelbę typu Brown Bess, której kolba wykonana była z drzewa orzechowego.

- Bandyty włóczą się po całym kraju, a wy nie robicie nic, tylko się pasiecie jak bydło - narzekał sklepikarz. - Ci dwaj - powiedział, wskazując palcem na sepiowy plakat przybity do frontowej ściany sklepu. - Dlaczego nie łapiecie tych dwóch?!

Lopez rzucił okiem na plakat obiecujący nagrodę pieniężną, na którym widniały twarze dwóch mężczyzn w wieku około trzydziestu lat. Jeden z nich miał gęstą brodę i delikatne rysy twarzy. Twarz drugiego o przebiegłym wyrazie była szczupła. Napis wydrukowany pod rysunkami głosił: „Poszukiwani za złodziejstwo i inne czyny przeciw prawu: Joaquin i Alejandro Murieta”.

Lopez miał już coś odpowiedzieć, kiedy ze sklepu wybiegł mały chłopiec. Wyglądało to tak, jakby przed czymś uciekał. Lopez przyglądał mu się przez chwilę, a potem wyciągnął ku niemu brzoskwinę, jednak chłopiec nawet nie zwrócił na niego uwagi.

- Coś z nim jest nie tak? - zapytał sklepikarza.

Sklepikarz odprowadzał chłopca wzrokiem przez kilka sekund.

- On jest z rodziny rybaków, którzy mieszkali w pobliżu San Pedro.

Zniknęli parę tygodni temu. Wzięliśmy z żoną tego chłopca do siebie, ale wydaje mi się, że nie minie wiele czasu, kiedy jeźdźcy przyjadą po niego. - Zmilkł na chwilę, poruszając obrośniętymi przez bokobrody szczękami. - Po mnie i po moją żonę też - dodał.

- To wiejskie bajki - powiedział Lopez i wzruszając ramionami, zatopił

zęby w kolejnej brzoskwini.

- Codziennie znika coraz więcej ludzi: ranczerzy, farmerzy, Indianie - mówił coraz bardziej gniewnym tonem starzec. - A wy co robicie?! Kradniecie jedzenie i wzruszacie ramionami!

Ledwie skończył mówić, kiedy Lopez poderwał się w nagłym ataku gniewu i uderzył go w twarz, obalając na ziemię. Sklepikarz leżał w bezruchu, patrząc z pogardą na kaprała.

- Prezydent Santa Anna wysłał was tutaj, żebyście mieli nad nami pieczę, a wy tak traktujecie własnych ludzi?! - Podniósł się z wysiłkiem, otrzepał kurz ze swego podartego ubrania i splunął na ziemię. - Nowa Kalifornia ma się teraz jeszcze gorzej niż pod rządami Hiszpanii. Wtedy przynajmniej prześladowanych ludzi bronił Zorro.

- Zorro? - mruknął Lopez. - Jeszcze bardziej bzdurna historia. Ale nawet gdyby istniał, to nie byłby dla mnie żadnym przeciwnikiem - rzekł, klepiąc się po swym okazałym brzuchu.

- Kto to jest Zorro? - zapytał chłopiec.

Widać było, że samo imię wystarczyło, by przełamać jego nieufność.

- Zamaskowany mściciel zwykłych ludzi - wyjaśnił z dumą sklepikarz. - Ten, który z nienacka wyłania się z ciemności, potrafi przecisnąć przez dziurkę od klucza i pędzi jak wicher na swoim czarnym koniu, złączony z nim tak, jakby był do niego przyrośnięty.

- Kaprału Lopez! - zawołał jeden z żołnierzy. - Obcy!

Lopez spojrzał w kierunku wskazywanym przez żołnierza, gdzie jakby z kurzu i poświaty popołudniowego słońca zmaterializował się człowiek na koniu. Za nim wlokło się dwóch kolejnych ludzi przywiązanych do siebie nawzajem i do konia grubą liną. Kiedy żołnierze Lopeza odsunęli się od skrzyń z żywnością i koryt z wodą, by przyjrzeć się bliżej tej trójce, dobiegły do nich z



wiatrem urywki piosenki śpiewanej na melodię *Camptown races*.

- Złapałem dwóch bandytów, każdy to widzi, du-da, du-da. Są bardzo źli, ale nie boi się ich Trójpalcy, du-da, du-da. Tropiłem ich i wskoczyłem im wprost na grzbiet, du-da, du-da. Zbierajcie więc nagrodę, co należy się mi, bo...

Jeździec, rosły mężczyzna w wysokim sombrero i ze skórzanymi osłonomi na nogach, przyłożył dłoń do ucha, jakby zachęcając swych jeńców do dokończenia wiersza. Kiedy zobaczyli, że zachęca ich manierką z wodą, przyłączyli się chórem:

- ...bo nikt nie jest tak twardy jak Jack. O tak, nikt nie jest tak twardy jak Jack.

Jack przechylił manierkę, polewając sobie wodą zakurzoną twarz, a potem rzucił ją szczuplejszemu z jeńców, który z kolei podał ją swojemu brodatemu compadre. Brodacz łapczywie podniósł manierkę do ust, ale okazało się, że jest już pusta.

- *Sin vergüenza\** - warknął, odrzucając manierkę na bok.

\* *Sin vergüenza* - bez wstydu (bezwstydny).

Nie zwracając na niego uwagi, Jack zawołał do Lopeza i pozostałych:

- Hej, hej, chodźcie tu wszyscy. Chodźcie, a przestraszycie się jak nigdy w życiu! Zobaczcie słynnych braci Murieta. Złodziei koni, bandytów i rabusiów.

Jeden z żołnierzy spojrział na plakat, zerwał go ze ściany i podał Lopezowi.

- Mario Święta! Bracia Murieta! - powiedział kapral z nutą przerażenia w głosie. - Jak żywi!

Ze strony pozostałych żołnierzy również rozległy się przyciszone okrzy-

ki, a Lopez ruszył do przodu, by zobaczyć z bliska trójkę przybyszów.

Zeskoczywszy z konia, łowca nagród zażądał, by pokazali mu plakat. U lewej ręki miał tylko trzy palce, a w miejscu, gdzie były kiedyś czwarty i piąty, widniała prowizoryczna metalowa proteza. Na jednym ze sztucznych palców tkwił kosztowny pierścień z turkusowym oczkiem, a spoza opaski jego kapelusza wystawało coś, co wyglądało jak wybielone kości brakujących dwóch palców.

- Ci ludzie są teraz pod władzą wojska - oznajmił Lopez. - Zabierzemy ich do Los Angeles - dodał, obrzucając Jacka spojrzeniem od stóp do głów. - Możesz zgłosić się po swoją nagrodę w cuartel general.

Jack roześmiał się pogardliwie.

- Tak, na święty nigdy.

Odkręcił czubek metalowego palca i wyciągnął ze środka zapalną.

- To ile my jesteśmy warci? - zapytał brodaty jeńiec.

Jack potarł zapalną o protezę i zapalił cygaro. Kiedy odpowiedział brodatzowi, jego głos brzmiał niemal przepraszająco.

- Razem wzięte, Alejandro, jakieś dwieście peso.

Alejandro wymienił zaskoczone spojrzenie ze swoim bratem, Joaquinem, który miał zawieszoną na szyi jakąś połyskującą w ostrym słońcu srebrną monetę czy medalion.

- To wszystko?! - zdziwił się Joaquin. - Parszywe dwieście peso za głowę?!

- Dość tego! - rzucił Lopez.

- Hm, te dwieście to jest za was obydwu - sprostował Jack. - Musicie zrozumieć, że skoro lokalni urzędnicy mają trochę dziurawe kieszenie, bo wydają pieniądze na dziwki i karty, to nagrody za takich krwawych bandytów jak wy spadły w całym kraju.

- Dość gadania! - warknął Lopez.

- Nie bierz tych pieniędzy, Jack - powiedział Alejandro. - Tyle się namęczyłeś, żeby nas złapać. Pewnie możesz dostać za nas więcej w Monterey albo Santa Barbara.

Lopez dał krok ku Alejandro i uderzył go mocno w twarz.

- Powiedziałem ci, żebyś się zamknął!

Zaledwie wyrzekł te słowa, kiedy Joaquin wyciągnął nie wiadomo skąd pistolet i wymierzył go w głowę kaprała.

- Dotknij jeszcze raz mojego brata, a zginiesz na miejscu - powiedział głosem tak twardym i zimnym jak jego oczy.

Lopez zachwiał się do tyłu, podnosząc swe pulchne dłonie.

- Myślałem, że jesteście związani!

- Właśnie o to chodziło, *gordito*\* - odparł Joaquin, szczerząc do niego zęby.

\* *Gordito* - tłuszczoch.

Lopez rozejrzał się niespokojnie i z zadziwiającą jak na jego tuszę sprawnością rzucił się na bok.

- Brać ich! - wrzasnął.

Joaquin wypalił do niego z pistoletu, ale kula chybiła celu. Przestraszony wierzchowiec wspiał się na zadnie nogi, niemalże dusząc Joaquina i Alejandro, ale Trójpalcy Jack opanował konia, zanim żołnierze zdążyli ich dopaść.

Alejandro padł na kolana, kiedy dwaj żołnierze rzucili się ku niemu, naprężając pętającą ich linę tak, że Joaquin wypuścił pistolet z ręki. Na szczęście lina okazała się skuteczną pułapką dla żołnierzy, którzy uderzyli o nią twarzami i padli na ziemię, Alejandro szybko zsunął pętlę z szyi i rzucił się na nich

obydwu, pokonując jednego szybko wymierzonymi ciosami pięści, a drugiego kopnięciem w twarz.

Trzeci żołnierz już brał Alejandro na cel, ale Joaquin zdołał odbić strzelbę w bok zardzewiałą szablą, którą wydobył ze zwiniętego koca przytroczonego do wierzchowca Trójpalciego Jacka.

- Do cholery, bracie! - krzyknął Joaquin, trąc palącą od liny szyję. - Ostrzeż mnie następnym razem!

Żołnierz natarł bagnetem, wytrącając szablę z rąk Joaquina, ale ten zdołał wyrwać mu strzelbę z rąk. Zamachnąwszy się nią jak maczugą, uderzył żołnierza w bok twarzy, obalając go na ziemię, a potem przyłożył broń do ramienia, by zniechęcić pozostałych do dalszej walki.

Sam Lopez patrzył wprost w wylot trzymanej przez Trójpalciego Jacka strzelby z obciętą lufą.

- Zdaje się, że to powinno trochę podnieść nagrodę, co, kapralu?! - zapytał Trójpalcę, szczerząc zęby.

- *Sin vergüenza* - mruknął Lopez przez zaciśnięte zęby.

Alejandro roześmiał się i wskazał brodą na skrzynię.

- Ale przedtem będziemy musieli zadowolić się tym plata, które wieziecie.

Podchodząc do skrzyni, zauważył wzrok sklepikarza, który niemalże się uśmiechał.

- Przynieś tym chłopakom wody i owoców - polecił sklepikarz stojącemu przy nim chłopcu.

Trójpalcę Jack spojrział gniewnie na Lopeza.

- Wiesz, co w tym plakacie denerwuje mnie bardziej niż te parszywe dwieście peso?! To, że nie ma na nim nawet wzmianki o mnie! - Spojrzął na Alejandro i Joaquina. - Czy to nie ja zaplanowałem, jak porwać burmistrza z

jego własnego wychodka?! - Chwycił gwałtownie Lopeza za klapy munduru. - To ja jestem mózgiem tej bandy, jasne?! Bez Trójpalcego Jacka całe to przedstawienie się rozsypuje!

## 6

### *Straceńcy*

Trzej bandyci nie ujechali zrabowanym wozem nawet trzech mil, kiedy przed ich oczami ukazał się ocean, a prowadząca w kierunku portu San Pedro droga zaczęła się wicić pomiędzy kolczastymi kaktusami i bylicami. Joaquin powoził, a Alejandro jechał z tyłu na skrzyni. Koń Trójpalcego Jacka był przywiązany do tyłu wozu, podczas gdy on sam siedział na koźle ze strzelbą. Prawdziwe nazwisko Jacka, który pochodził z Santa Fe, brzmiało Manuel Garcia. Przyłączył się do braci Murieta cztery lata wcześniej w Mazatlan, gdzie Joaquin i Alejandro siedzieli cicho po serii śmiałych napadów w Starej Kalifornii.

- Więc co zamierzasz zrobić ze swoją częścią łupu? - zapytał Joaquina. Murieta nawet się nie zastanawiał nad odpowiedzią.

- Kupię sobie siodło ze srebrnym łękiem i będę paradował po ulicach San Diego na najlepszym koniu, jakiego znajdę, może rasy Appaloosa. Ludzie będą patrzyli na mnie i mówili: „O, jedzie bogaty caballero”. A ty co zamierzasz?

- Prawdę mówiąc, myślałem, żeby pojechać na jakiś czas do Monterey albo Yerba Buena - odparł Jack. - Kupię sobie piękną kobietę i będę spędzał czas, popijając amontillado, grając w monte i paląc cygaro.

Joaquin roześmiał się.

- Chcesz powiedzieć, że masz dość życia o suszonej wołowinie i frijoles,

*hombre*\*? - Obejrzał się przez ramię na Alejandro. - A ty, braciszku?

Alejandro prychnął z udawaną pogardą.

- Moje marzenia nie dadzą się porównać z marzeniami takich jak ty albo Jack.

Joaquin mrugnął na Jacka i poklepał brata po ramieniu.

- No, przestań, *mano*\*, powiedz nam coś znowu o tym ranczo i miłości pięknej señority, która urodzi ci tuzin dzieci.

\* *Hombre* - człowiek; *mano* - bura, nagana.

Alejandro zniósł pogodnie uszczypliwość brata.

- Lepsza miłość niż szykowne siodło i parę pijackich nocy w Monterey - powiedział po chwili. - Na was dwóch szkoda prawdziwych marzeń.

Po chwili ze śmiechem zaczęli przypominać sobie, jak łatwo przechytrzyli żołnierzy, których pozostawili rozebranych do naga i związanych razem liną wokół wysokiego kaktusa. W końcu Alejandro zaczął się przypatrywać zamkniętej na klucz skrzyni. Mimo że zamek pokryty był rdzą, nie ustąpił pod wielokrotnymi uderzeniami kolbą jednej ze zdobycznych strzelb. Zatem Alejandro po prostu skierował lufę pistoletu na zamek i otworzył go jednym strzałem. Huk wystrzału odbił się echem od wzgórz nad brzegiem oceanu.

Podnosząc pokrywę, spodziewał się znaleźć w skrzyni skórzane woreczki pełne złotych i srebrnych monet, ale był w niej tylko szczur. Przerażony i zapewne ogłuszony od wystrzału gryzoń wbiegł na rękę Alejandro i zeskoczył z wozu w zarośla.

- Podeszli nas! - zawołał, przekrzykując turkot kół wozu.

oaquin zjechał z drogi i zatrzymał wóz nad krawędzią stromego kanionu. Alejandro już otwierał usta, aby powiedzieć im, co znalazł, kiedy w dali przez

wznieconą ich nagłym zatrzymaniem chmurę kurzu wypatrzył sześciu konnych żołnierzy przegradzających im drogę. Jedno spojrzenie wstecz na drogę, którą przybyli, wystarczyło, żeby zobaczyć kolejną szóstkę żołnierzy zajmujących pozycję na linii grzbietów wzgórz. Joaquin przesunął wzrok od jednej grupy żołnierzy do drugiej.

- Dlaczego oni tam po prostu stoją, kiedy mają nas w potrzasku? Nawet nie próbują się do nas przybliżyć.

- Może chcą nas wziąć żywcem - powiedział Alejandro.

- Nie ma co nawet o tym mówić - sprzeciwił się Jack, przygotowując zdobyczną *brown bess*.

- Ale nie jesteśmy otoczeni - zastanawiał się Joaquin, patrząc na rozpadlinę.

Jack spojrział na strome ściany wąwozu i skinął ponuro głową.

- Wiem, o co ci chodzi, *compadre*\*.

\* *Compadre* - kumpel, przyjaciel.

Bez słowa zeskoczyli z wozu i runęli w dół zbocza. Przez chwilę zbiegali po nim, a potem, tracąc równowagę, zaczęli staczać się bezładnie w dół, wzbijając wielkie chmury kurzu, które, być może, widać było aż w samym San Pedro.

Trzymając w dłoni szablę, Alejandro zatrzymał się na dnie rozpadliny niemal jednocześnie z Joaquinem, prawie się z nim zderzając. Nieco dalej Jack na swoje nieszczęście zsunął się ku krawędzi stromego urwiska, przeleciał przez nią i krzyknął z bólu. W chwilę później do uszu braci dobiegł odgłos wystrzału z pistoletu.

Alejandro poderwał się z ziemi i pobiegł w tym kierunku. Jack leżał na

ziemi z krwawiącą raną w prawym udzie, a przed nim siedział na koniu żołnierz w granatowym mundurze oficera kawalerii. Jeździec, który wyglądał na Jankesa, trzymał w ręce rewolwer typu Patterson Colt wycelowany w serce Jacka. Za nim stała grupa konnych żołnierzy ubranych w skórzane osłony na nogi, opończe i wysokie sombrera. Wszyscy z nich, oprócz swych yarrochas o żelaznych ostrzach, mieli lassa.

Joaquin przysunął się do Alejandro i popchnął go, zachęcając do ucieczki, podczas gdy sam rzucił się w przeciwnym kierunku. Alejandro nie przebiegł nawet jeszcze pięćdziesięciu metrów, gdy usłyszał huk kolejnego strzału. Obróciwszy się, zobaczył Joaquina, który leżał na ziemi, trzymając się za nogę, i Jankesa spokojnie zdejmującego strzelbę z ramienia. Ignorując wołanie brata, by uciekał sam, Alejandro podbiegł do niego i zaczął go wlec w kierunku krzewiastych dębów w połowie wysokości zbocza.

- To nic nie da, Alejandro - zaprotestował Joaquin. - Zostaw mnie.

- Nie zostawię - Alejandro pokręcił głową. - Tak samo jak ty nie zostawiłbyś mnie.

Jednak kiedy po raz kolejny zsunęli się razem ze zbocza, Joaquin wyciągnął swój pistolet i przystawił go Alejandro do podbródka.

- *Vayate*, już!

Alejandro wiedział, że jest to bardziej prośba niż groźba, i w końcu skinął głową.

- Znajdę sposób, żeby cię uwolnić, bracie.

- Pośpiesz się, Alejandro - odparł Joaquin, odsłaniając zęby w uśmiechu.

Alejandro zaparł się czubkami butów w piaszczystą glebę i wpadł pod osłonę zarośli, kiedy Jankes i jego żołnierze już zbliżali się do Joaquina.

Siedząc we władczej pozycji na swym wierzchowcu, Harrison Love rozkazał jednemu z żołnierzy zakneblować i skępować zwijającego się z bólu



Trójpalcego Jacka, a potem podjechał truchtem do miejsca, gdzie leżał zakrwawiony Joaquin.

Pozostali jeźdźcy stali wokół leżącego bandyty, kierując ku niemu swoje drewniane, zakończone metalowymi ostrzami lance. Rozstąpili się, przepuszczając Harrisona Love'a, który zatrzymał się obok Muriety, trzymając w ręce nagą szablę.

Harrison Love, do niedawna kapitan w teksańskiej armii Sama Houstona, był jednym z ludzi, których wybrano do odeskortowania pojmanego Santa Anny z powrotem na drugą stronę Rio Grande. Łączył w sobie wyrafinowane zachowanie zawodowego oficera z wyglądem zahartowanego pioniera. Jadąc do Meksyku, on i Santa Anna spędzili niezliczone godziny, rozmawiając jak żołnierz z żołnierzem, i zanim dotarli do Saltillo, stali się przyjaciółmi. To właśnie Santa Anna przedstawiał go różnym wpływowym Kalifornijczykom, którzy przekonali go, że ludzie z inicjatywą mogą na Zachodzie łatwo dorobić się fortuny.

- Co chcesz ze mną zrobić? - zapytał Murieta, kiedy już zdołał wydobyć z siebie głos.

Love wygładził końcówki swoich gęstych wąsów.

- Ja tylko próbuję oczyścić ten teren, *hombre*.

- Najlepiej zrobisz, jeśli wrócisz do Teksasu czy gdziekolwiek, skąd przyjechałeś.

Love roześmiał się wesoło.

- Nazywam się Harrison Love. Chcę, żebyś wiedział, iż uważam to za prawdziwy zaszczyt, że mogę cię aresztować w imieniu meksykańskiego rządu.

- Aresztować mnie?! Przecież ty jesteś cholernym Jankesem!

- A ty jesteś bandyta, Joaquin Murieta - odparł zimnym tonem Love. -

Poszukiwany za złodziejstwo od Monterey do Todos Santos.

- To prawda, że jestem Joaquin Murieta - odparł ranny, walcząc z bólem.

- Ale nie jestem bandytą. To nazwisko jest powszechne w całej Nowej Kalifornii, więc musiałeś pomylić mnie z kimś innym.

Love uśmiechnął się, nie odsłaniając zębów.

- Wiesz, Joaquinie, może masz rację. Ale jak widzisz, skoro nie mam ze sobą żadnych wizerunków tego bandyty, Muriety, które mógłbym porównać z twoją twarzą, to zdaje się, że będę musiał zabrać ze sobą twoją twarz i porównać ją z nimi, kiedy nadarzy mi się do tego okazja. - Uderzył płazem szabli o swą nogę i spojrzął na jednego z jeźdźców. - Podeprzeć go.

Jeździec zeskoczył z konia i posadził Murietę. Love uniósł szablę, by zadać cios. W tej samej chwili bandyta plunął w twarz żołnierza, wyszarpnął spod siebie pistolet i strzelił sobie prosto w serce. Krew trysnęła na jeźdźców, którzy cofnęli się w poruszeniu. Tylko Love siedział nieruchomo na swym koniu.

- I tak będę miał twoją głowę - powiedział po chwili.

Uniósł szablę jeszcze raz i opuścił ją błyskawicznym ruchem, by jednym ciosem obciąć głowę Muriecie. Srebrny medalion, który Joaquin nosił od dzieciństwa, dar od najszlachetniejszego ze wszystkich buntowników z Nowej Kalifornii, spadł z jego obciętej szyi, ale Love nie zwrócił na to uwagi.

- Znaleźć jego brata! - rozkazał żołnierzom, wycierając krew Muriety z ostrza. - I niech ktoś przerzuci Trójpalcego Jacka przez konia.

- A ten? - zapytał jeden z żołnierzy, wskazując na pozbawione głowy ciało, omijając je wzrokiem. - Co z nim zrobić?

Love wsunął szablę do pochwy.

- Pogrzebać ciało, ale głowę zapakować do worka - do identyfikacji.

Alejandro zaciskał zęby, by się powstrzymać od krzyku, który zdradziłby

jego kryjówkę, kiedy żołnierze przeczesywali zarośla, dziobiąc lancami na chybił trafił gęste poszycie. Alejandro miał ciągle przed oczyma błysk szabli Jankesa i widok tryskającej krwi Joaquina. Pozostawała tylko nadzieja, że jego brat już nie żył, kiedy ostrze dosięgło jego ciała.

Przywołał w pamięci obraz szerokiej, obrośniętej bokobrodami twarzy Jankesa. Powiedział, że nazywa się Harrison Love. Ale co robił Jankes na czele meksykańskich kawalerzystów? Może został wynajęty przez gubernatora? Na pewno ten Jankes miał coś wspólnego z plotką o transporcie pieniędzy. To wszystko zostało wymyślone po to, żeby wywabić braci Murieta i Trójpalcego Jacka z kryjówki.

Żołnierze nie przykładali się zbytnio do swego zadania. Gdyby którykolwiek z nich był tropicielem śladów, to już do tej pory by go odkryli. Alejandro skulił się w ukryciu, czekając, aż zapadnie zmrok.

Przed zmierzchem żołnierze zrezygnowali z poszukiwań. Alejandro zszedł na dno rozpadliny i wrócił po swych śladach na miejsce, w którym rozdzielił się z Joaquinem. Dojrzał tam niewielką plamę krwi, która jeszcze nie wsiąkła w glebę. Wyglądała na czarną w świetle księżyca. Początkowo miał zamiar wydobyć ciało Joaquina z płytkiego grobu, który wykopali żołnierze, ale wiedział, że nie będzie w stanie spojrzeć na pozbawione głowy zwłoki brata.

Odmówił więc tylko modlitwę, błagając, żeby Joaquin znalazł przebaczenie w niebie i żeby on, Alejandro, żył wystarczająco długo, by pomścić śmierć brata.

Właśnie się żegnał, kiedy jego wzrok padł na błyszczący w świetle księżyca przedmiot, który leżał pośród kamyczków. Podpełzł do źródła tego blasku i już po chwili trzymał w ręce medalion Joaquina, ten sam, który dwadzieścia lat temu dał im Zorro. Jęknął boleśnie, zacisnął dłoń na wygrawerowanym kółku i

nachyliwszy się nad grobem Joaquina, zawył ze skrywanego w sobie bólu.

## 7

### *Przywrócony do życia*

Brygantyna „Ayacucho” zakotwiczona nieopodal wybrzeża, nieco na południe od Santa Barbara, kołysała się na falach oświetlonego przez księżyc Pacyfiku. Zbudowany w Guayaquil i dowodzony przez szkockiego kapitana statek miał trzysta ton wyporności, wysokie, smukłe maszty i sztywne kwadratowe reje. Stojąc przy relingu lewej burty, Rafael Montero patrzył na ciemny ląd, rozmyślając nad tym, że już dwa dziesięciolecia minęły od czasu, kiedy po raz ostatni widział Kalifornię, krainę, która była dla niego domem bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce na świecie.

- Don Montero, łódź jest gotowa - oznajmił kapitan statku. - Czuję się jednak w obowiązku przestrzec pana jeszcze raz przed takim przedsięwzięciem jak lądowanie w nocy. Te wody potrafią być zdradliwe o tej porze roku nawet dla najlepszych z moich marynarzy. Może jednak zaczeka pan do rana i zejdzie na ląd w San Pedro z resztą pasażerów?

Montero obrócił się do niego, odsuwając kaptur swojej peleryny. Pięćdziesięcioletni kapitan Simpson był życzliwym człowiekiem, ale Montero płynął tu aż z Brazylii i teraz nie zniechęcała go jakaś ostra fala.

- Cenię sobie bardzo pańską troskę o moje bezpieczeństwo, kapitanie. Jednak muszę się czymś zająć tego wieczoru, dopóki jeszcze jest na to czas.

- Czas na co, jeżeli wolno mi pana o to zapytać?

- Na to, by nic nie stanęło na przeszkodzie w moim powrocie do domu.

Czterej marynarze w kraciastych koszulach, spodniach z grubego płótna i

nasyconych werniksem czapkach ruszyli wiosłową łodzią pod fale, wioząc Montero na ląd. Tuż przed brzegiem dwóch majtków, krzepkich Hawajczyków, rzuciło się przez burtę w spienione grzywacze, żeby pomóc wciągnąć bezpiecznie łódź na skalistą plażę. W migotliwym świetle pochodni Montero ujrzał postać wysokiego mężczyzny czekającego z dwoma końmi.

Okryta ciemnością postać przybliżyła się, kiedy majtkowie pomagali Montero opuścić łódź.

- Witamy z powrotem w Kalifornii, don Montero.

Montero uścisnął wyciągniętą dłoń mężczyzny.

- Cieszę się, że znowu pana spotykam, kapitanie Love - odparł Montero, przyglądając się Teksańczykowi. - Wygląda na to, że nie jest panu źle w Kalifornii.

- Lepiej, niż było w Meksyku. Oczywiście z wyjątkiem naszego spotkania.

- Oczywiście - powtórzył za nim Montero.

Polecił majtkom, aby czekali na jego powrót, a potem wsiadł na przyprowadzonego przez kapitana konia.

- Może mi pan opowiedzieć po drodze o wszystkim, czego do tej pory pan dokonał, kapitanie Love. Chcę być tu z powrotem na długo przed świtem.

Love wskoczył na konia. Z łęku jego siodła zwisał jutowy worek, w którym tkwiło coś kulistego, wielkością przypominającego ludzką głowę.

- To nie powinno stanowić problemu, sir. Kalifornijskie drogi są teraz o wiele bezpieczniejsze, niż były do niedawna.

Aby dotrzeć do więzienia Talamantes, musieli jechać zaledwie dwie godziny nowo wytyczoną drogą, która biegła wzdłuż wybrzeża i łączyła Santa Barbara z San Pedro. W przeciwieństwie do kolonii karnej w Todos Santos w Starej Kalifornii Talamantes od zawsze było zarezerwowane dla niepopraw-

nych przestępców niskiego pochodzenia: rabusiów napadających na drogach, zabójców, przestępców na tle seksualnym i tym podobnych. Budynek więzienia - ponura bryła z nieciosanego kamienia i rozkładającego się już drewna - stał nad bagnistym ujściem rzeki, którego słonawa woda, jak mówiono, była w stanie otruć każdego, kto do niej wejdzie, już nie mówiąc o tych, którzy się jej napiją. Opodal jednej ze ścian budynku około dwóch tuzinów grubo ciosanych krzyży znaczyło miejsce, które służyło jako więzienny cmentarz.

Podczas drogi Montero i Love rozmawiali o tych trzech latach, które minęły od ich spotkania w Meksyku w towarzystwie prezydenta Santa Anny. Love spędził ten okres w Los Angeles, podczas gdy Montero odwiedził między innymi Argentynę i Peru.

Dojechawszy do celu, przywiązali swe konie do bariery u bram więzienia i zażądali od obdartych strażników, by zaprowadzili ich natychmiast do nadzorca. Wewnątrz budynku wielkie szczury przemykały przez ciemne kałuże wody kapiącej z sufitu, a bolesne jęki dobywały się z ciemnego wnętrza więzienia. Ciemne pręgi pod przytwierdzonymi do ścian kajdanami mogły równie dobrze być śladem rdzy jak i krwi. Nieświeżo cuchnący korytarz kończył się na maleńkim pomieszczeniu, które różniło się od otaczających go cel tylko tym, że nie było w nim drzwi z żelaznych prętów. Prawdę mówiąc, pomieszczenie pozbawione było jakichkolwiek drzwi.

Niesiona przez strażnika latarnia rzuciła skąpe światło na leżące we wnętrzu ciało niechlujnego mężczyzny w nieokreślonym wieku. Na podłodze obok zapadłego wojskowego łóżka stał dzban, który musiał być wcześniej pełen tequili lub aguardiente. Love podszedł do rozsypującego się stołu, wziął z niego miednicę i chlusnął jej brudną zawartością na twarz chrapiącego mężczyzny.

Wyrwany z nieprzytomnego snu nadzorca usiadł gwałtownie, wymachu-

jąc wokół siebie rękami. Mrugając oczami, dojrzał najpierw Love'a, a potem Montero. Widok przybyłych najwyraźniej nappełnił go przerażeniem, gdyż zaczął na oślep szukać swego pistoletu, który Love już wcześniej odsunął poza zasięg jego ręki.

- Kim jesteście? Czego ode mnie chcecie?

Montero opuścił kaptur peleryny, aby odsłonić swoją twarz, która nie zmieniła się zbytnio od jego ostatniego pobytu w Talamantes w 1822 roku. Przybyło mu tylko nieco siwizny w brodzie i miał wyższe czoło.

Rozpoznając go, nadzorca natychmiast poderwał się na nogi i zaczął porządkować swój niechlujny ubiór. Przecierając rękawem moką twarz, usiłował jednocześnie zaszalutować, omal nie wtykając sobie kciuka w oko.

- Don Montero! Czy to naprawdę pan, czy widzę ducha?!

Zimny uśmiech pojawił się na twarzy Montero.

- To ja we własnej osobie, sierżancie Romero, a nie żaden duch z twojej butelki. Wysłałem wiadomość, że macie mnie oczekiwać.

- Tak, señor, oczywiście, wysłał pan. Ale to musiało być ze trzy lata temu. To myślałem...

- Co myślałeś?

- Proszę mi wybaczyć, señor, ale nie brakuje sposobów na to, żeby człowieka spotkał przedwczesny koniec na tym świecie.

Upychając koszulę w spodniach i nieco się wyprostowując, Romero spoglądał podejrzliwie na Love'a.

- Czym mogę służyć, señores?

- Przyszedłem odwiedzić jednego z więźniów - odparł Montero.

- A który to, señor?

- Dawny wróg - powiedział Montero bardziej do siebie niż do sierżanta.

Potem otrząsając się z krótkiego zamyślenia, dał krok w kierunku Rome-

ro.

- Ten więzień nazywa się Diego de la Vega.

- De la Vega - powtórzył strażnik, pocierając w zamyśleniu zarost na podwójnym podbródku. - Proszę mi wybaczyć, don Montero, ale tutaj tylu przychodzi i odchodzi, że prawie już nie potrafię ich spamiętać. Nawet grzebiemy ich bez nazwisk.

- Został tu przywieziony dwadzieścia lat temu - dodał Montero, mrużąc oczy.

- Dwadzieścia lat! O, to na pewno musiał do tej pory umrzeć, señor.

Montero pokręcił ponuro głową.

- Nie de la Vega. Miał powód, żeby się trzymać przy życiu.

Niosąc latarnię w ręce, nadzorca prowadził Montero przez cuchnące korytarze więzienne, a strażnik o nazwisku Ordaz zamykał ten pochód. Im bardziej zagłębiali się w lochy Talamantes, dobiegające do ich uszu bolesne jęki stawały się coraz głośniejsze i natarczywe. Woda ściekała z kamiennych ścian jak pot z pleców robotnika, a oczy niezliczonych gryzoni błyskały w ciemności.

- Bywa gorszy los niż śmierć - rzekł Ordaz.

- Ja też tak kiedyś myślałem - odparł Montero. - Ale obawiam się, że zamiast słuchać zdrowego rozsądku pozwoliłem wtedy na to, by kierowały mną emocje.

Romero przysłuchiwał się rozmowie, prowadząc ich w dół krętą kamienną klatką schodową.

- Dostałem kiedyś obietnicę awansu za służbę tutaj - odezwał się wreszcie. - Może pan pamięta, don Montero...

- Współczuję ci, że twój awans został opóźniony. Ale sądzę, iż powinien się cieszyć, że masz pracę.



Romero zmarszczył brwi ze złości, ale nic nie odpowiedział. Otworzył drzwi u dołu schodów i wskazał im ręką, by weszli w wąski korytarzyk, po którego obu stronach widniały rzędy zamykanych żelaznymi kratami cel. Na podłodze stały kałuże brudnej wody, a z cel bił nieznośny odór. Montero czuł się jednak podekscytowany.

- On jest tutaj - powiedział przez przyłożoną do nosa i ust chusteczkę. - Czuję to.

Romero rozkazał Ordazowi i dwóm innym strażnikom, by otworzyli cele.

- Powiedział pan: de la Vega. Wygląda na to, że to szlachcic. Od dłuższego czasu nie mamy tu takich zbyt dużo.

- On był znany pod innym imieniem. Pod imieniem, które, jak tutejsi ludzie uważali, miało w sobie magiczną moc - rzekł Montero.

- Magiczną moc - powtórzył Romero. - Więc musi pan mówić o tym bandycie znanym jako Zorro. Od dawna krążą plotki, że jest wśród naszych więźniów.

W oczach Montero pojawił się wyraz niechęci, ale jednak tylko skinął potwierdzająco głową.

Po chwili na zewnątrz cel stanęły w ciszy, zakłócanej jedynie odgłosami rwącego kaszlu, dwa szeregi więźniów skutych kajdanami, chwiejących się i wychudzonych. Ordaz i pozostali strażnicy rozstawili się wzdłuż korytarza, trzymając w rękach pałki. Montero patrzył na więźniów przez chwilę jak zahipnotyzowany, a potem ruszył powoli wzdłuż szeregu, przyglądając się każdej z wychudzonych twarzy i czując taką samą obawę jak wtedy, gdy brygantyna „Ayacucho” musiała w powrotnej drodze do Kalifornii pokonywać burzliwe wody Cieśniny Magellana.

Zatrzymał się przed pochylonym więźniem o siwych włosach i uniósł jego podbródek swą osłoniętą rękawiczką prawą ręką. Twarz, którą ujrzał, nie

była ani mniej, ani więcej zniszczona niż twarze pozostałych, ale oczy więźnia były jak dwa czarne stawy. Trudno było określić, jak długo jest w Talamantes, ale widać było, że duch opuścił go dawno, pozostawiając tylko kruchą, odzianą w łachmany, brodatą i porośniętą włosami skorupę. Mimo to Montero odniósł wrażenie, że wyczuwa w nim ślad dawnej siły i sprawności, a nawet szlachetności. Może dlatego, że oczy więźnia nagle wydawały się twardnieć i rozjaśniać, jakby go rozpoznawały. Już miał polecić więźniowi, by podał swoje nazwisko, kiedy rozległ się krzyk Romera.

- Jeżeli ten, który był znany kiedyś jako Zorro, jest tutaj, niech wystąpi i się pokaże, bo jak nie, to wszyscy będziecie mieli problemy.

Dreszcz przeszedł przez stojących pod ścianami więźniów i dopiero po dłuższej chwili rozległo się słabe wołanie:

- Ja jestem Lis!

Zaskoczony Montero odwrócił się od starego więźnia i podszedł do tego, który się odezwał. Był to wychudzony mężczyzna, który nieudolnie wymachiwał jedną ręką, chcąc pokazać, że jest w stanie utrzymać w niej szpadę.

- Zabrali mi maskę, szpadę, konia...

- Zamknij gębę, ty cuchnący pokurczu - odezwał się ktoś inny.

Oczy Montero spoczęły na wysokim, muskularnym Murzynie.

- Ja jestem tym, którego szukasz. Ja jestem Zorro.

- Kłamstwa, znowu kłamstwa! - zawołał inny głos. - Przecież każdy widać, że jesteś za wysoki, by być Zorro. To ja nim jestem. Ja nim jestem!

Montero zmarszczył gniewnie brwi. Uderzyłby czarnego więźnia, gdyby inny skazaniec, jeszcze bardziej stary i wychudzony niż ten o pustych oczach, nie ogłosił, iż to on jest Zorro.

- A ja jestem siostrą Zorro! - zawołał kolejny, którego ciało pokrywały ropiejące wrzody.

Wkrótce prawie każdy z więźniów albo wołał, że to on jest Zorro, albo klócił się z tymi, którzy się za niego podawali. Montero odniósł wrażenie, jakby korytarz zacieśniał się wokół niego, a odór stawał coraz bardziej duszący. Nawet de la Vega nie mógł przetrwać dwudziestu lat takiego życia - powiedział sobie w duchu. Musi już nie żyć. Obrócił się w jedną stronę, potem w drugą i nagle ruszył ku krętym schodom z chusteczką przyciśniętą do twarzy.

- A co będzie z tym awansem, don Montero?! - zawołał za nim sierżant.

Popatrzył wokół gniewnie, gdy więźniowie wybuchnęli śmiechem, a potem opuścił ramiona, godząc się z porażką.

- Pozamykać ich! - krzyknął, spoglądając na Ordaza.

Diego z rezygnacją pozwolił się brutalnie wepchnąć do celi, ale jego oczy błyszczały takim światłem, jakiego nie było w nich od ponad dziesięciu lat. Nie rozpoznał Montero aż do momentu, kiedy okrzyki: „Zorro! Zorro!”, wyrwały go z obronnego otepienia, w które popadł przez te lata.

Wokół niego wszyscy nadal wykrzykiwali jego drugie imię, ale Diego nie dał po sobie niczego poznać, kiedy strażnik zapinał mu kajdany na nogach. Ordaz popchnął starego więźnia, zwanego Szkieletem, tak mocno do sąsiedniej celi, że skazaniec uderzył w kamienną ścianę i osunął się na ziemię. Jego oczy patrzyły martwo z rozbitej czaszki.

Ordaz stał chwilę nad Szkieletem, a potem przyłożył dwa brudne palce do jego szyi.

- Jeden na cmentarz! - zawołał, wyprostowując się. - Niech ktoś go stąd zabierze, zanim jego smród przytłumi odór całej reszty!

Starając się uporządkować swoje myśli, Diego odczekał aż do momentu, kiedy strażnicy wyjdą z lochu, i dopiero wtedy rozejrzał się dokładnie dookoła. W pozamykanych celach powoli cichły wrzaski, a na korytarzu pozostał tylko Ordaz, który stał odwrócony plecami przy jego celi.

Diego postanowił działać. Wysunął ręce przez kraty i zaplótł dłonie na gardle Ordaza, zatapiając palce w miękkim ciele wokół jego krtani. Strażnik usiłował krzyczeć, ale żaden dźwięk nie był w stanie wydobyć się z jego gardła pod wpływem uścisku Diego. Podczas gdy więźniowie w pobliskich klatkach wyteżali wzrok, by zobaczyć, co się dzieje, Diego szarpnął Ordaza do tyłu, uderzając jego głową trzy razy o zardzewiałe pręty, aż strażnik osunął się na podłogę nieprzytomny, a może martwy. Diego wyciągnął rękę i chwycił pęk kluczy, który Ordaz miał przy pasie. Otworzywszy drzwi celi, wciągnął strażnika do środka, a potem ignorując ciche wołania więźniów, proszących o otwarcie ich cel, zabrał się do zdejmowania kajdan ze swoich nóg. Wypróbował jeden po drugim klucze w pęku Ordaza, ale żaden z nich nie otworzył kajdan. Przeszukał pośpiesznie kieszenie strażnika, lecz nie znalazł w nich nic poza sztyletem. Zobaczywszy róg z prochem przy pasie strażnika, Diego postanowił chwycić się desperackiego sposobu i natychmiast przystąpił do dzieła. Oderwał róg od pasa Ordaza, wyjął z niego zatyczkę z kolby kukurydzy i zaczął napełniać dziurkę od klucza w zamku kajdan czarnym prochem, ubijając go czubkiem sztyletu. Potem docisnął ładunek kawałkiem materiału uciętym z serżowej kurtki Ordaza. Odciął też kilka pasów materiału z ubioru strażnika, aby owinąć sobie nimi stopę, w nadziei, że tkanina zapewni mu chociaż minimalną ochronę. Następnie chwycił dwa krzemienie przytroczone do pasa z nabojami strażnika i uderzając jeden o drugi, zaczął krzesać iskry, które w końcu wydobyły z improwizowanego lontu smużki dymu.

Ochroniając dłońmi dymiącą tkaninę i dmuchając na nią ostrożnie, Diego wzniecił w końcu płomień, który szybko zaczął się przesuwać po tak spreparowanym lonce. Przyciągnął do siebie ciało Ordaza, nakrywając nim kajdany i odchylił twarz jak najdalej od stopy. Hałas podniesionych głosów i szczekanie kratami pomogły przytłumić dźwięk eksplozji.

Diego odepchnął ciało strażnika i krzywiąc się z bólu, odwinął płonące kawałki tkaniny ze swojej poczerńiałej, krwawiącej stopy. Zobaczył, że na szczęście palce u nogi nie ucierpiały, a opaska kajdan jest otwarta. Spojrzawszy na Ordaza, dojrzał wystający z jego klatki piersiowej fragment opaski, ciśnięty tam siłą eksplozji. Przesunął wzrok na wysokie buty strażnika i wtedy na schodach prowadzących do lochu rozległy się odgłosy kroków.

Przez pierwsze kilka lat swojego uwięzienia Diego utrzymywał się przy zdrowych zmysłach dzięki rozmyślaniu o sposobach zemsty, którą w końcu wyrzeze na Montero. Całymi dniami, tkwiąc w ciemnej i wilgotnej celi, marzył o tym, w jaki sposób ucieknie z Talamantes, a potem wpadnie na trop Montero i znajdzie go, szukając po całym świecie. Od Kalifornii po Acapulco i od Limy po Santiago, potem wokół przylądka Horn po porty Brazylii i Wysp Kanaryjskich, a stamtąd znów do Lizbony. Z Portugalii przedostanie się lądem do Hiszpanii, najpierw do Madrytu, a potem do Estremadury, gdzie rodzina Montero miała wielkie posiadłości. Tam znajdzie swego śmiertelnego wroga i poczeka na moment, kiedy spotka się z nim sam na sam. Postanowił dać mu honorową szansę poniesienia śmierci od szpady. Potem chciał powrócić do Nowego Świata i zacząć życie od początku w jakimś zagubionym pueblo w Nowym Meksyku albo na dalekiej północy Nowej Kalifornii...

W jego majaczeniach Elena zawsze była maleńkim dzieckiem, które Montero uniósł z płonącego domu. Kiedy po pewnym czasie zaczął jednak myśleć o niej jako o dziewczynce, a potem o dojrzewającej dziewczynie, wówczas widział ją jako Esperanzę.

Z upływem lat coraz mniej więźniów - bandytów, morderców i złodziei koni - przybywało do Talamantes, przynosząc ze sobą, wieści o rozkwitaniu Los Angeles pod rządami meksykańskimi, o bostończykach, którzy otwierali tartaki lub sklepy w każdym z blisko tuzina miast Kalifornii, o przebudowie

drogi do Ensenady i o przybyciu traperów, którzy pokonali Sierra Madre, oraz o wielkich statkach handlowych - fregatach, galeonach i brygach - które każdego miesiąca przybywały z Chin, Stanów Zjednoczonych i Europy. Nigdy jednak nie słyszał niczego konkretnego ani o Montero, ani o Elenie. Przez pewien czas ten brak wieści tylko wzmacniał w nim postanowienie wywarcia zemsty. Każdej nocy, kiedy strażnicy udawali się na spoczynek, malował węglem drzewnym koncentryczne kręgi na podłodze swej małej celi, odtwarzając szermiercze ćwiczenia, jakich Kendall nauczył go ongiś w Madrycie. Z wyimaginowaną szpadą lub kordem w dłoni ćwiczył zwody i natarcia, pchnięcia i blokady, balestry i wybicia broni. Jednak, po nieudanej próbie buntu wśród więźniów, on i wielu innych zostało przeniesionych do lochów i skutych. Tam mógł ćwiczyć fechtunek tylko w swej wyobraźni.

Zgubił rachubę dni i tygodni, ale przez cały czas zachował czujność, wyobrażając sobie ucieczkę i zemstę. Pielęgnował pamięć o swej żonie i córce. Gdzieś głęboko sama istota jego jestestwa była nienaruszona. Mimo że jego ciało było coraz słabsze, a zdrowie coraz bardziej nadszarpnięte, nadal istniał ten sam Diego de la Vega, który został uwięziony owej burzliwej nocy dwadzieścia lat wcześniej.

A teraz miał wyjść na wolność, opuszczając więzienie jako trup...

Strażnicy przeszli już przez drzwi u dołu schodów. Jeden z nich niósł przerzucony przez ramię wielki płócienny worek. Tuż przed ich przybyciem Diego przeszedł do celi Szkieleta i zawlókł jego ciało do swojej własnej celi. Potem wrócił do celi zabitego i położył się na jego miejscu.

Leżąc nieruchomo, jak martwy, pozwolił, aby strażnicy zapakowali go do worka. Jediną rzeczą, której się obawiał, było to, że zobaczą ciała w jego celi albo że dostrzegą spłaszczone buty Ordaza, które sobie zatknął za pas obszarpanych spodni. Jednak inni więźniowie, pragnąc pomóc mu w ucieczce,

wzniecali taki hałas, że strażnicy chcieli wyjść jak najszybciej. Należący poprzednio do Ordaza pęk kluczy Diego przekazał Suarezowi, temu samemu wysokiemu Murzynowi, który wcześniej podawał się za Zorro.

Diego poczuł, jak go podnoszą, wynoszą przez drzwi, potem niosą w górę po schodach, a w końcu wychodzą na zewnątrz. Powietrze nigdy nie pachniało tak wspaniale i aromatycznie jak tego chłodnego wieczoru. Czuł się tak, jakby mógł każdym płytkim oddechem wchłonąć całą Kalifornię. Jego radość z uwolnienia się z Talamantes była tak olbrzymia, że bał się, iż zacznie krzyczeć i się zdemaskuje. Zdołał jednak zdusić w sobie swe radosne łkanie i powrócić do tego znanego mu już otępienia, kiedy położono go do płytkiego wykopu i zaczęto obrzucać ziemią.

Strażnicy pracowali w pośpiechu. Biorąc pod uwagę głębokość dołu, który wykopali, mogli równie dobrze zostawić go na powierzchni, żeby zajęły się nim kojoty, pумы i niedźwiedzie. Z pękającymi od wstrzymywanego oddechu płucami Diego odczekał aż do momentu, kiedy był pewien, że strażnicy wrócili do więzienia. Wtedy wyciągnął sztylet i rozpruł worek. Cuchnąca ludzkimi odchodami ziemia zaczęła mu się osypywać na twarz, ale zdołał się podnieść, by w końcu wydobyć się na oświetloną przez księżyc powierzchnię, jakby wychodził z kokonu. Jak nowo narodzony zaczął chwytać ciężko powietrze i niemal natychmiast wszystkie jego myśli skierowały się ku Montero. Teraz już nie musiał go ścigać po całym świecie.

## *Powrót do domu*

Szczęk zderzających się szpad, które połyskiwały w bladym, przesączałym się od zewnątrz świetle, wypełniał ładownię brygantyny „Ayacucho” zakotwiczonej o trzy mile od San Pedro, w bezpiecznej odległości od niszczących fal przyboju. Dwaj przeciwnicy - stary, ale zwinny wilk morski o nazwisku Le Farge i długowłosa młodzieniec - krążyli wokół siebie ze szpadami w dłoniach. Wokół nich widniały ustawione w stosy skrzynie pełne produktów, które miały być wkrótce przewiezione na plażę.

Le Farge, o którym szeptano, że był niegdyś członkiem załogi niezliczonych statków pirackich, był wyraźnie dobrze obznajomiony z fechtunkiem. Jego riposty były zręczne, a bloki skuteczne, lecz mimo całego swego kunsztu nie był godnym przeciwnikiem szczupłego i zgrabnego rywala. Zwód, natarcie, i broń Le Farge'a została wybita z jego dłoni i odrzucona na bok. Czubek szpady młodzieńca kierował się wprost w jego serce.

- Muszę ci przyznać chociaż tyle, dziewczyno, że masz talent do szpady - powiedział Le Farge tonem, w którym podziw mieszał się ze wstydem porażki.

Elena Montero, ubrana w męskie spodnie i marszczoną koszulę, czyli strój, który nosiła przez większą część podróży z Ameryki Południowej, wykonała rewerans szpada.

- Mój ojciec jest wybitnym fechtmistrem.

- Więc dlaczego przychodzisz ćwiczyć do dawnego wilka morskiego, dziewczyno?

Elenie opadły kąciki jej pełnych ust.

- Mój ojciec uważa, że to niewłaściwe, aby dama uczyła się fechtunku.

On bardzo dba o etykietę. Prawdę mówiąc, czasami się wydaje, że nie urodziła



mu się taka córka, na jaką zasługuje.

- Och, przecież jesteś prawdziwą pięknoscią - odparł Le Farge.

Elena zarumieniła się pod jego bezpośrednim spojrzeniem. Już unosiła szpadę, żeby podjąć na nowo pojedynek, kiedy otworzył się luk w pokładzie i złote światło wypełniło wnętrze ładowni.

- Eleno! - rozległo się czyjeś wołanie.

- To ojciec! - powiedziała, otwierając szeroko oczy i wymieniając zmartwione spojrzenie z żeglarzem.

Nie mam pojęcia, co by mogła robić w ładowni, don Montero - dobiegł ich głos kapitana Simpsona.

- Ja też nie. Ale przeszukaliśmy cały statek. Gdzie jeszcze mogłaby być?!

Eleno! - znowu zawołał Montero, zaglądając przez luk do ładowni.

Elena podjęła błyskawiczną decyzję. Rzuciwszy swą szpadę staremu żeglarzowi, narzuciła podróżną pelerynę i podciągnęła się do okienka na prawej burcie.

- Dobrze walczysz, Le Farge - szepnęła i przecisnęła się przez niewielki otwór.

Zrobiła to w ostatniej chwili, gdyż zaledwie były pirat ukrył obydwie szpady i zaczął udawać, że sprawdza ładunek, kiedy po drabinie zszedł do ładowni kapitan Simpson.

- Le Farge, czy widziałeś choć jakiś ślad córki don Montero?

- Co?! Tu na dole, kapitanie? Wśród takich starych łotrów jak ja i największych szcurów na północ od Valparaiso?!

- Ma rację, kapitanie! - zawołał Montero ze szczytu drabiny. - Elena ma swój charakter, ale jest zbyt wyrafinowana na to, żeby udawać się w takie miejsca.

Skonfudowany i poczynający się obawiać, że Elena wypadła za burzę,

Montero ruszył za kapitanem Simpsonem na główny pokład. Już miał mu powiedzieć o swych najgorszych obawach, kiedy niespodziewanie ujrzał Elenę otuloną w podróżną pelerynę.

- Gdzie byłaś? - zapytał z irytacją, ale i ulgą w głosie.

- Och, tam, przy nadbudówce. Wypatrywałam wielorybów takich jak te, które widzieliśmy niedaleko Monterey.

Montero i Simpson wymienili spojrzenia.

- Ale szukaliśmy ciebie tam.

Elena roześmiała się.

- No cóż, ojczy, a gdzież indziej miałabym być?

Montero podprowadził ją do relingu, zapominając już o swym gniewie.

- Port San Pedro - powiedział, wskazując ręką ponad falami, które przesuwają się jak szeregi dobrze wyszkolonych żołnierzy w kierunku plaży.

- A niedaleko, w głębi lądu, jest Los Angeles. Nasz nowy dom.

Elena wzięła go pod rękę i oparła głowę na jego ramieniu.

- Monterey było interesujące. Ale chyba całe życie marzyłam o przyjeździe do Los Angeles. A teraz, kiedy już tu jesteśmy, nadal wydaje mi się, że marzę.

- Don Montero! Señorita Montero! Łódź czeka! - przerwał im Simpson. - Widzę, że sporo ludzi przyszło, żeby was przywitać na lądzie.

Montero spojrzał spod przymrużonych powiek na brzeg.

- Proszę pożyczyć mi lunetę, kapitanie.

Nakierował mosiężną lunetę na plażę, nastawił ostrość i przekazał ją Elenie.

- Widzisz, córko? To już nie sen.

U podnóża klifów, które wznosiły się ponad pozbawioną drzew, nieogósciną plażą San Pedro, założono prowizoryczne targowisko, na którym przy-

byli na „Ayacucho” kupcy sprzedawali towary przywiezione ze Stanów Zjednoczonych i Ameryki Środkowej. W ustawionych na piasku straganach wyłożono lniane tkaniny, naczynia, fajerwerki, narzędzia i przyprawy. Towary były sprzedawane za pieniądze albo wymieniane na smalec lub wstępnie wyprawione skóry, które zostały tu przywiezione z za gór i złożone na plaży jak kłody drewna.

Kobiety, które przybyły na zakupy z Los Angeles, były ubrane w swoje najlepsze spódnice, fartuchy i mantyle. Jarmarczną atmosferę wzbogacała orkiestra złożona z gitar, trąbek, skrzypiec i akordeonu.

Montero zszedł z wyciągniętej na plażę łodzi i podając rękę Elenie, pomógł jej wyjść na ląd. Przybyli na jego powitanie caballeros ubrani byli w tradycyjne stroje złożone z dopasowanych spodni o rozszerzanych dołach, marszczonych bawełnianych koszul, szerokich pasów i kapeluszy o szerokich rondach, obwiązanych ozdobnymi przepaskami.

- Gubernator powrócił! - oznajmił don Luiz.

Jego oświadczenie wywołało niezbyt entuzjastyczny aplauz gromady peonów stojących za donami. Luiz podszedł pośpiesznie, by powitać Montero.

- Witamy w domu, Rafaelu - powiedział. - Nie było cię zbyt długo.

Montero uściskał serdecznie przyjaciela i odsunawszy się nieco, spojrzał na niego uważnie.

- Trochę przybyło ci siwizny w brodzie i parę zmarszczek na twarzy, ale pod innymi względami nie zmieniłeś się wcale przez te wszystkie lata.

- Dwadzieścia lat temu byłem głupcem - powiedział cicho Luiz. - Mówiłeś, że wyróżniłeś mnie ponad wszystkich, ale ja zwracałem uwagę tylko na pozory. Wtedy jeszcze nie umiałem patrzeć w głąb. - Wsunął niewielką sakiewkę do ręki Montero. - Proszę, potraktuj to jako przeprosiny za to, że kiedykolwiek wątpiłem w twoje słowa.

Zajrzawszy do sakiewki, Montero ujrzał samorodek złota wielkości połowy jego pięści. Luiz poklepał go serdecznie po plecach.

- Chodź, Rafaelu. Twoi wielbiciele oczekują ciebie.

Na dany przez Luiza znak orkiestra zagrała triumfalnie brzmiącą melodię. Montero wymienił abrazos i uściski ręki z resztą donów, a potem uniósł rękę, uciszając wymuszony aplauz zebranych.

- Proszę, proszę, wiem dobrze, że cała ta radość z mojego powrotu do domu jest udawana. A więc przerwijmy to przedstawienie, dobrze?!

Zebrani donowie i pozostali witający zamilkli, zawstydzeni.

- A czy byłoby lepiej, gdybyśmy wołali: „Viva don Montero”?! - zawołała z wyraźnym sarkazmem jedna z kobiet stojąca w tłumie peonów.

Jej słowa wywołały wybuch hałaśliwego śmiechu peonów. Niektórzy z nich zaczęli ironicznie wznosić zaproponowany przez nią okrzyk. Donowie zaczęli się irytować, ale Montero przyjął te uszczypliwości spokojnie. Uśmiechał się zrelaksowany, jakby te okrzyki wynikały z planu ceremonii powitalnej.

- Nie przerywajcie - powiedział, kiedy głosy nieco ucichły - ponieważ macie wszelkie powody do śmiechu. Jestem pewien, że zostaliście opłaceni, albo nawet zmuszeni groźbą, żeby stać w gorącym słońcu i mnie witać.

- Nie, nie, Rafaelu - zapewnił pośpiesznie Luiz. - Źle to wszystko rozumiesz. Oni chcieli tu przyjść. Ci dobrzy ludzie nadal darzą cię wielkim szacunkiem.

- Dość tych pochlebstw - przerwał mu Montero. - Mają niewiele powodów, by mnie darzyć szacunkiem. - Odwrócił się ku peonom. - Powiem wam coś: współczuję wam - zaczął przechadzać się między nimi, emanując swym dostojeństwem i ojcowską postawą. - Przede wszystkim: dlaczego mielibyście przejmować się którymkolwiek ze swych przywódców, dawnych czy obecnych? Meksykański rząd was ignoruje. Donowie, no cóż, zdaje się, że wystar-

cza im to, iż was oszukują. A co którykolwiek z nas dał wam za to?! Wam, którzy jesteście kośćcem tego kraju w równym stopniu jak Sierra Madre?! Zapytam was jeszcze o coś: kto kiedykolwiek wam pomógł?!

- Zorro! - zawołał ktoś. - Zorro nas bronił.

Montero pobladł nieco, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą. Spojrzał w kierunku wołającego mężczyzny i uśmiechnął się.

- Ach, ojciec Felipe, prawda? Ty też wyglądasz na niezadowolonego. Misje przechodzą ciężkie czasy, prawda? Zarządcy mieli przekazać ich ziemie przechrztom i reszcie ludności, a zamiast tego przyznają je swoim wybranym generałom i dworakom. Co więcej, słyszałem, że członkowie twojej ukochanej owczarni znikają wprost przed twoimi oczami, a Zorro jednak się nie pojawia. Wasz zamaskowany obrońca nie pokazał się od dwudziestu lat. - Montero rozłożył ręce i obrócił się powoli dookoła. - Fałszywe nadzieje i złamane obietnice są wszystkim, co którykolwiek z was otrzymał od czasu, kiedy opuściłem Kalifornię. Nadzieje, które kiedyś dawał wam bandyta ukrywający swoją twarz za czarną maską i który was później opuścił, i puste obietnice od bawidamka-arystokraty, który wkrótce ogłosił sam siebie dyktatorem Meksyku. Tego samego, który głosił wszem i wobec, że „despotyzm jest najwłaściwszą formą rządów narodem meksykańskim”. Ale ja mówię, że nadszedł czas, aby przestać polegać na skorumpowanych przywódcach i zawodnych obrońcach. Mówię, że nadszedł czas, by wziąć swój los w swe własne ręce. Nie jako Hiszpanie. Nie jako Meksykanie... Jako Kalifornijczycy!

Niewielu obecnych wiedziało, jak rozumieć wypowiedź Montero. Sam Houston musiał mówić coś podobnego mieszkańcom Teksasu pięć lat wcześniej, z tą różnicą, że niepodległość tego terytorium została krwawo wywalczona, a to, co się wydarzyło w Alamo, nadal było wyryte w pamięci wszystkich ludzi od Rio Grande po Monterey.

- Dwadzieścia lat temu zostawiłem was pod opieką Meksyku - kontynuował Montero - i pod opieką tych samych caballeros, którzy tu dzisiaj przybyli, ale teraz składam wam uroczystą obietnicę, że pomogę wam w walce o wolną i niepodległą Kalifornię!

Donowie, którzy jeszcze przed chwilą wypinali dumnie piersi, teraz z oszołomieniem spostrzegli, że w tłumie poczynają się rozlegać pomruki poparcia. Don Hector przysunął się bliżej do Montero.

- Pozwól mi zauważyć, Rafaelu, że zostalibyśmy zmiażdżeni, gdybyśmy rzucili wyzwanie Santa Annie.

Montero uśmiechnął się chytrze. - Ależ oczywiście - odparł szeptem. Nie wszyscy peonowie byli przekonani, ale niektórzy z nich poczęli już wznosić okrzyki poparcia.

- A jak Santa Anna przyjmie twoje słowa o niepodległości, don Montero?! - zapytał ojciec Felipe.

- Zapewniam cię, dobry ojcze - odparł Montero, obracając się ku niemu - że Santa Anna jest zbyt zajęty rzekomymi sprawami państwa, by przejmować się Kalifornią. Sprzeciw wobec jego absolutnej władzy rośnie z każdym dniem i jeśli moja strategia okaże się udana, Santa Anna chętnie odda władzę nad Nową Kalifornią, tak samo jak zrobił to z republiką Teksasu, i pozwoli nam stworzyć nie tylko niezależny kraj, ale i nowe życie dla nas samych, życie wolne od strachu, zaniedbania i walki.

Ojciec Felipe słuchał słów Montero, ale w dalszym ciągu nie był wystarczająco przekonany, by przyłączyć się do wiwatów.

- Ja przynajmniej zapamiętałem dobrze, jakie masz wyobrażenie o wolności od prześladowań, don Montero.

- Ach, ale ja się zmieniłem, ojcze - odparł ze smutkiem Montero. - Zmieniłem się.

Diego, ubrany teraz w strój peona, czyli białe płócienne spodnie i oponę w pasy, które ukradł nad rzeką z miejsca, gdzie prano ubrania, metr po metrze przesuwając się przez tłum. Na nogach miał buty Ordaza, a pod swym czerwonym pasem ukrył zabrany strażnikowi sztylet. To, że był znowu wolnym człowiekiem, który spędził ostatnie dwa wspaniałe dni, wdychając zapachy joby i romanii, a teraz stał w olśniewającym blasku słońca i wiejąca z nad morza bryza targała mu brodę i długie włosy - to wszystko nie miało dla niego żadnego znaczenia. Tak jak przez lata był więźniem w murach Talamantes, tak teraz był więźniem jednej obsesyjnej myśli, która brzmiała: zabić Rafaela Montero.

Początkowo nie był pewien, gdzie ma szukać Montero, więc czaił się w okolicach cuartelu w pueblo Los Angeles, podsłuchując rozmowy donów, którzy przybywali, by złożyć honory meksykańskiemu komendantowi. Wkrótce Diego dowiedział się o przybyciu brygantyny „Ayacucho” i od dawna oczekiwanym powrocie byłego zarządcy tego terytorium, Rafaela Montero.

W przeciwieństwie do sztylujących peonów, między których się wmieszał, Diego miał ponurą, zdeterminowaną minę i nie zwracał uwagi na nic innego, jak tylko na dźwięk głosu Montero. Zaskoczyło go to wszystko, co Montero mówił o Santa Annie, republice Teksasu i niepodległości. Musiał jeszcze znaleźć sposób dotarcia do niego, ale jego desperacja doszła do tak gorączkowego szczytu, że był gotów rzucić się na Montero niczym jakiś fanatyczny zabójca, a nie kalkulujący na zimno mściciel, jakim siebie widział. Podszedł wystarczająco blisko do ojca Felipe, aby usłyszeć, co on mówi o wyobrażeniach Montero na temat wolności od prześladowań, i już miał przypuścić atak, kiedy donowie nagle otoczyli Montero, nieświadomie darując mu jeszcze kilka chwil życia. Począł więc szukać innego sposobu podjęcia ataku i dostrzegł go, kiedy Montero wyszedł spośród otaczających go donów. Diego wy dobył swój ostry sztylet i odchylił już ramię do tyłu, kiedy głos jakiejś młodej kobiety wyrwał go

nagle z żadnego krwi transu.

- Ojczy?

Zarówno Diego, jak i Montero odwrócili się w tym kierunku. Wołająca kobieta o długich kruczoczarnych włosach miała może dwadzieścia lat, była wysoka i piękna, a jej oczy błyszczały jaśniej niż ostrze wypolerowanego sztyletu Diego. Esperanza! - powiedział do siebie w duchu, patrząc na nią wstrząśnięty, lecz zaraz uświadomił sobie swą pomyłkę. Jednak alternatywa tego wytłumaczenia była jeszcze bardziej przerażająca. Cierpiał tym bardziej, iż nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że ona będzie myślała o Montero jako o swoim ojcu i że on wróci z nią do Kalifornii. Elena!

Niemalże chwiejąc się na nogach, patrzył, jak ona idzie wprost ku niemu. Na mgnienie oka zapomniał, co uczyniło z nim dwadzieścia lat Talamantes, i pozwolił sobie myśleć, że ona na pewno go rozpozna, że wyciągnie ramiona i go obejmie, ale oczywiście przeszła obok, nawet nie rzuciwszy na niego okiem. Był dla niej po prostu długowłosym starym peonem, zrujnowanym przez nadmiar wypitej pulque albo tequili. Musiał w bólu patrzeć, jak jego córka podąża wprost w ramiona Rafaela Montero!

- Panowie - zwrócił się Montero do otaczających go szlachetnie urodzonych - pozwólcie, że przedstawię wam radość i inspirację mojego życia: moją córkę, Elenę.

Odzyskując na nowo entuzjazm dla Montero, jeden z peonów wręczył Elenie bukiet pachnących kwiatów. Ich widok zelektryzował Diego, gdyż ostami raz widział takie kwiaty przy kołysce, w której spało jego dziecko. Spojrzał na Elenę, która uniosła bukiet do twarzy i głęboko odetchnęła. Czy to jest to samo dziecko? - zapytał się Diego w myślach. Czy to możliwe, że ta młoda kobieta, stojąca niemal na wyciągnięcie ręki, jest tym samym kędzierzawym dzieckiem, które kołysał do snu przez tyle wieczorów?!



- Jak się nazywają te kwiaty? - zapytała Elena. - Ich zapach jest mi skądś znany.

- Nazywają się romania - odparł don Luiz, wyprzedzając peona. - Ale nie sądzę, że mogą być pani znane, gdyż rosną tylko w Kalifornii.

Elena jeszcze raz powąchała kwiaty i zdało się, że jej myśli wędrują gdzieś daleko. Diego upuścił sztylet na piasek. Zrozumiał, że zabicie Montero nie będzie tak proste, jak sobie wyobrażał. Jego pragnienie zemsty przesłoniły nowe troski. Człowiek, którego znienawidził, był tym samym człowiekiem, którego kochała Elena, i jego śmierć równałaby się pozbawieniu jej jedyne go członka rodziny, jakiego znała. Jak duch bez przeszłości i przyszłości, Diego odwrócił się i zniknął w tłumie.



## *Decydujące spotkanie*

Alejandro, jedyny klient w obskurnej pulquerii przy rynku w pueblo Los Angeles, grzmotnął szklanica o stolik i zawołał o ponowne jej napełnienie. Stopy bolały go po całonocnej wędrówce z wybrzeża, a serce miał przepełnione smutkiem i nienawiścią. Od spotkania z Harrisonem Love'em i jego żołąnierzami minęły już trzy dni i teraz Alejandro postanowił upić się do nieprzytomności, zanim wzejdzie słońce.

- Jeszcze raz mescal czy co tam to jest naprawdę.

Skinąwszy głową na znak, że przyjęto zamówienie, potężnie zbudowany Metys - właściciel szynku - sięgnął po butelkę stojącą na wypaczonej półce za kontuarem. Poniżej półek stał rząd zaszpunktowanych baryłek zawierających tanie wino, jeszcze tańsze piwo i aguardiente, czyli ognistą wodę. Sam szynk nie był niczym więcej, jak tylko nie oświetloną obskurną szopą, ale roztaczał się z niego dobry widok na plac, na którym handlarze tubylcy rozkładali towary na słomianych matach i kolorowych wełnianych kocach.

- Masz mi nalewać cały czas do pełna - wybełkotał Alejandro, kiedy szynkarz podszedł do niego. - Nie chcę widzieć dna, dopóki nie zobaczę tego robaka w mojej szklance - powiedział, wskazując na butelkę.

Metys pokiwał głową przepasaną czerwoną tkaną opaską.

Był ubrany w sięgające do kolan bryczesy pełne plam z wina i sandały zrobione z palmowego łyka.

- *Cierto, amigo* - zgodził się - ale najpierw pokaż jakieś pieniądze.

Krzywiąc się, Alejandro wsunął dłoń do kieszeni, ale wyjął ją pustą. Metys parsknął pogardliwie i już ruszał ku kontuarowi, kiedy dłoń Alejandro natrafiła na medalion Joaquina, który założył sobie na szyję.

- Ile za to mogę kupić? - zapytał, chwytając szynkarza za rękę.

Metys stanął, przyglądając się medalionowi.

- *Es plata?*

- Pewnie, że to srebro. Najczystsze srebro. Prosto z... z Zacatecaz. Przecież to widać.

Metys zastanowił się chwilę, a potem skinął powoli głową i napełnił na nowo szklanekę Alejandro. Już sięgał po zapłatę, kiedy czyjaś postarzała ręka zacisnęła się mocno na srebrnym medalionie.

Alejandro i szynkarz podnieśli oczy, by ujrzeć stojącego przy nich wysokiego, starego człowieka o dzikim wzroku. Starzec był ubrany w strój peona i wysokie wojskowe buty. Opierał się na pokrzywionym kosturze, który mu służył jako laska. Wyglądał tak, jakby od dawna nie widział ani kąpieli, ani porządnego posiłku.

- Czego tu chcesz, *viejo?* - zapytał Metys.

- Zostaw nas - zażądał starzec cichym, ale twardym głosem, który nie pozostawiał możliwości sprzeciwu.

Szynkarz zawahał się chwilę, ale powstrzymał się przed powiedzeniem tego, co mu przyszło do głowy. Alejandro, chociaż miał już przymglony wzrok, dostrzegł w stalowych oczach starca coś, co zniechęciło Metysa do wdawania się w sprzeczkę.

- Skąd to masz? - zapytał starzec, kiedy oberżysta odszedł.

Alejandro obrzucił go wzrokiem od stóp do głów, pociągając powoli mescal.

- Zapytałem ciebie, skąd to masz - powtórzył przybysz tym razem ostrzejszym tonem.

Alejandro wypił resztę alkoholu jednym łykiem i otarł usta rękawem.

- Nie wiem, jaki w tym twój interes, stary, ale to należało do mojego brata. Mojego nieżyjącego brata.

Mężczyzna zamrugł oczami i cień smutku przesunął się po jego niegdyś przystojnej twarzy.

- Twojego brata. Przykro mi słyszeć, że nie żyje.

- Przykro ci?! - powiedział Alejandro gorzkim tonem. - A dlaczego miałyby ci być przykro?!

Starzec zignorował jego pytanie i nadal wpatrywał się tęsknie w medalion, jakby przypominał mu lepsze czasy.

- Nie powinieneś wymieniać czegoś tak cennego za zwykłą szklanę mescal.

- A dlaczegoż by to? Myślisz, że mógłbym dostać za niego dwie szklanki?

Alejandro roześmiał się ze swego własnego żartu i nagle wyprostował się w krześle, gdyż niespodziewanie zobaczył, jak na rynek wjeżdża Teksasńczyk, Harrison Love. Wpatrując się w niego dziko i oblizując wargi, podniósł się chwiejnie na nogi, chwycił za rękojeść szabli i zataczając się, ruszył od stolika. Był już w pół drogi do drzwi, kiedy starzec położył mu dłoń na ramieniu.

- Kim jest dla ciebie ten człowiek?

Alejandro strząsnął z ramienia jego dłoń.

- To ten, który zamordował mojego brata.

Znowu ruszył ku drzwiom, gdy wtem starzec z zaskakującą siłą odrzucił go z powrotem na wykonaną z chrustu i gliny ścianę pulquerii.

- Nie jesteś w stanie podjąć walki z zawodowym żołnierzem. Trzeba pamiętać o starym przysłowiu: „Kiedy szukasz zemsty, wykop dwa groby: jeden dla swojego wroga i jeden dla samego siebie”.

- Zejdź mi z drogi - ostrzegł Alejandro. - Powiedziałem ci już wcześniej,

że to nie twój interes.

Spojrzał pośpiesznie na plac, by stwierdzić, że Love gdzieś zniknął. Obrócił się, mieląc w ustach przekleństwo.

- Teraz mi się zgubił, ty stary durniu!

Starzec przyłożył koniec swego kostura do piersi Alejandro.

- Może chciałbyś zademonstrować swoje umiejętności na mnie.

Ból i złość Alejandro znalazły ujście w nie kontrolowanym ataku wściekłości. Odpychając starca do tyłu, uniósł szablę i zadał cios, ale jego broń trafiła w próżnię, gdy starzec zwinnie odsunął się w bok, przez co Alejandro obrócił się wokół własnej osi i padł na podłogę. Poderwał się rozjuszony i rzucił do ataku, ale jego przeciwnik tym razem po prostu sparował cios, wytrącił mu szablę z ręki i chwycił ją sam. Alejandro z rozpędu przebiegł obok starca, który przyłożył mu kosturem, rzucając go na ścianę, aż odbił się od niej i osunął na podłogę.

- Chciałbyś spróbować jeszcze raz? - zapytał starzec, stając nad nim.

Alejandro pokręcił głową z rezygnacją.

- Masz rację, *viejo*. Jeśli jestem zbyt pijany, żeby pokonać ciebie, to nie jestem przeciwnikiem dla nikogo.

- Więc jesteś mi coś winien.

- Winien? - zapytał Alejandro, podnosząc się na nogi. - Za co?

- Za uratowanie ci życia.

Alejandro nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Nie przypisuj sobie za dużo zasług. Każdego innego dnia mógłbym go zabić.

- Zajmiemy się tym. Ale nie dzisiaj. Twój przeciwnik wygląda na wyszkolonego zabójcę, a ty w tej chwili przypominasz tylko wyszkolonego opoja. Och, nie wątpię, że walczyłbyś dzielnie, ale szybko byś zginął i kto wtedy po-

mściłby twojego brata?!

- Znalazłbym jakiś sposób! - zawołał Alejandro. - Nigdy nie przegrałem pojedynku, stary.

- Przecież właśnie przegrałeś ze starym durniem, który nie miał żadnej innej broni poza tępym kosturem.

Alejandro zacisnął zęby.

- Jeżeli chcesz zabić tego człowieka, to mogę cię wyszkolić tak, żebyś potrafił to zrobić. Nauczę cię właściwego sposobu poruszania się i właściwego sposobu myślenia. Nauczę cię, jak wyrzucić zemstę z honorem i jak przeżyć, żeby się nią sycić. Ta nauka zajmie wiele czasu i wysiłku i mojego, i twojego, ale w końcu okaże się tego warta.

Alejandro spojrział na niego i potrząsnął głową w rozbawieniu.

- Wiem, że jestem podпиты, ale nie przypominam sobie, żebym mówił, iż chcę twojej pomocy.

- A co to ma za znaczenie? Jak to kiedyś powiedział mi mój ojciec: „Gdy uczeń jest gotowy, zawsze znajdzie się mistrz”. - Starzec przerwał na chwilę i skłonił się dystyngowanie. - To ja jestem tym mistrzem.

- Nie mam na to czasu - odparł Alejandro, machając niechętnie ręką.

- Czy twój wróg będzie mniej martwy, jeżeli go zabijesz za tydzień? Czym jest miesiąc, rok, nawet dwadzieścia lat?

Alejandro zmrużył podejrzliwie oczy.

- Dlaczego tak bardzo chcesz mi pomóc? Starzec zawiesił medalion na szyi Alejandro.

- Ponieważ ty i twój brat zrobiliście to kiedyś dla mnie.

Alejandro przyjrzał się twarzy starca i dostrzegł, że jest to twarz człowieka, który postarzał się zbyt szybko, o wiele za szybko jak na swój wiek.

- Czy to możliwe że ty jesteś... jesteś Zorro?!

Diego spojrział wprost w oczy Alejandro, który cofnął się wstrząśnięty.

- Ja... my wszyscy myśleliśmy, że zniknąłeś albo że nie żyjesz!

- Nie żyłem - odparł Diego po chwili.

Na terenie wspaniałej hacjendy, którą Montero zakupił przed laty i o którą dbano pod jego nieobecność, Harrison Love i jeszcze jeden jeździec konkurowali w konnym wyścigu. Jeźdźcy prowadzili swe wierzchowce pomiędzy dwoma rzędami drewnianych słupków, na których szczytach spoczywały wielkie dojrzałe dynie - cele dla ich szabli. Stojący w bezpiecznej odległości donowie Montero i Luiz, ubrani w krótkie brokatowe surduty i płaskodenne kapełusze, przyglądali się ponaglanym ostrogami wierzchowcom, które pędziły ku linii mety z wyciągniętymi szyjami i dziko płonącymi oczami. Montero powrócił do długiej listy nazwisk, którą wręczył mu Luiz.

- Oczywiście, to jest wstępna lista - wyjaśniał Luiz. - Wszyscy donowie, z wyjątkiem Lary i Obregona, udzielili odpowiedzi.

- Dopilnuj, żeby oni też odpowiedzieli. Ten bankiet ma wielkie znaczenie. Chcę, żeby brał w nim udział każdy właściciel ziemski z Kalifornii.

- Jak sobie życzysz.

- Chciałbym, żebyś zrobił coś jeszcze, Luizie. Dopilnuj, żeby Santa Anna się dowiedział, iż przybyłem do Los Angeles.

Luiz popatrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

- Santa Anna? Ale...

- Teraz jest w Ensenada. Poinformuj go, że skontaktuję się z nim za kilka dni.

Luiz pokręcił głową, nic nie rozumiejąc.

- Dlaczego mielibyśmy ostrzegać Santa Annę, że tutaj przybyłeś?

- Proszę, Luiz, nie kwestionuj każdego zadania, które ci zlecam - odparł z roztargnieniem Montero, nagle zainteresowany wynikiem współzawodnictwa.

Pomimo wszelkich oczekiwań rywal Love'a wysunął się na prowadzenie o nos konia. Montero wpatrywał się w prowadzącego jeźdźca i dopiero kiedy konie z hukiem przegalopowały obok nich, spostrzegł, że w siodle prowadzącego wierzchowca siedzi Elena.

- To moja córka! - sapnął gniewnie.

- Wychowałeś córkę z charakterem, Rafaelu - rzekł Luiz, gdy ruszyli szybkim krokiem ku linii mety. - Następnym razem będzie wyciągała koguty z piasku albo wykrcęła ogony bykom niczym vaquero. To kalifornijskie powietrze daje ludziom taką energię.

Montero rzucił mu przez ramię wściekłe spojrzenie i przyspieszył.

- Ale nie dotyczy to mojej córki.

Wysuwając się na powrót na prowadzenie, Harrison Love pierwszy przekroczył linię mety.

- Świetnie, señorita - mówił, gratulując Elenie, kiedy dotarli do nich obydwaj donowie. - Prawie pani wygrała.

Ubrany zamiast kawaleryjskiego munduru w tradycyjną koszulę i spodnie, Love mógł z wyglądu uchodzić za hidalgo.

- Pochlebia mi pan - odparła Elena. - Ale prawdę mówiąc, ledwie dotrzymałam tempa.

Uśmiechnęła się wesoło, kiedy pomógł jej zsiąść z konia.

- Nie, nie, jechała pani wspaniale - odparł Love i spuścił wzrok, oszołomiony jej urokiem. - Señorita, jeśli taka dama jak pani potrafi pędzić niby wicher... - Zawahał się i głośno przełknął ślinę.

Elena uśmiechała się coraz weselej.

- Och, dziękuję panu, panie Love. Czy może mam mówić: kapitanie Love? Ojej, co to za nazwisko? Mówiąc szczerze, spotkałam niewielu mężczyzn gotowych do przyjęcia wyzwania ze strony - jak to pan ujął - damy z ta-



ką gracją i taktem.

Love zrobił na moment zakłopotaną minę i zaraz się odwrócił, spostrzegając Montero.

- Pańska córka jest bardzo dobrym jeźdźcem, don Montero... Jak na kobietę.

Elena zachnęła się z irytacją, a czerwień na policzkach Montero pogłębiła się jeszcze bardziej.

- Cieszę się, że była dla pana godnym współzawodnikiem. Następnym razem, być może, wyzwie ją pan do zapasów.

- Ojczy - wtrąciła ostrym tonem Elena. Montero nawet na nią nie spojrział.

- Większość kobiet o jej pozycji miałyby dość rozsądku, żeby nie jeździć konno w towarzystwie mężczyzn. Konne wyścigi nie są odpowiednie dla osoby wywodzącej się z *gente de razón*\*.

\* *Gente de razón* - ludzie wyższego stanu.

- Nie zamierzałem niczym uchybić pańskiej córce, don Montero - odparł Love, marszcząc brwi.

- Wynająłem pana, by dowodził pan moją armią, kapitanie, a nie po to, żeby prowokował pan moją córkę do niewłaściwego zachowania w publicznym miejscu.

Elena posłała mu pobłażliwe spojrzenie z gatunku tych, do których przywykł już od dawna.

- Proszę, wybacz mi, ojczy. Nie wyzwałabym kapitana Love'a do wyścigu, gdybym wiedziała, że narażę przez to moją reputację arystokratki.

- To ty wyzwałaś jego? - zapytał Montero, zwracając na nią wzrok. - Przepraszam, kapitanie.

Love mruknął coś w odpowiedzi, a Elena z uśmiechem wzięła Montero pod rękę i poprowadziła go w kierunku domu. Kiedy już nieco odeszli, Montero spojrzął na nią.

- Oczywiście pozwoliłaś mu wygrać - powiedział konspiracyjnym szeptem.

Oczy Eleny rozjaśniły się od uśmiechu.

- Oczywiście, że mu pozwoliłam.

\* \* \*

Po przejściu dziesięciu kroków ku wlotowi jaskini Alejandro zatrzymał się, by popatrzeć pełnym zadziwienia wzrokiem na wodospad. Potem obrócił się do Diego i spojrzął na niego szeroko otwartymi oczami.

- Chodź - powiedział Diego, dając znak pochodnią. - To nie wszystko.

Podobnie jak sam Diego jaskinia również ucierpiała przez minione dwadzieścia lat beczynności i zaniedbania. Zamieszkały w niej jakieś zwierzęta, a wśród nich, sądząc po odchodach, nawet niedźwiedź grizzly. Stajnia Tornado była pusta, a całe zapasy owsa i siana zostały już dawno zjedzone. Diego często rozmyślał nad tym, co mogło się stać z ogierem. Przypuszczał, że Tornado włóczył się w pobliżu jaskini, przez jakiś czas oczekując powrotu Zorro, a potem uciekł, by dołączyć znowu do swych dzikich braci, może nawet w kanionie San Gabriel, gdzie kiedyś sam chwycił go na laso.

Alejandro wstrzymał oddech, kiedy weszli do olbrzymiej, łukowato sklepionej sali na tyłach jaskini. Mimo że wnętrze było w rozsypce, nadal zachowało swą dostojną atmosferę. Cenne szpady Diego zardzewiały, a wiele z jego kosztownych książek zostało pogryzionych przez insekty. Diego podszedł do platformy szermierczej, przysiadł na piętach i dłonią odsunął nagromadzony kurz i brud. Alejandro przypatrywał się, kiedy zaczął odsłaniać ułożone w posadzce koncentryczne kręgi i przecinające się linie. Rozpoznając nagle ten

znak, Murieta uniósł medalion do oczu, porównując go ze wzorem, który wyłaniał się spod kurzu.

- *Madre de Dios*, to samo! - powiedział, rozglądając się dookoła. - To naprawdę to miejsce: jama Lisa. - Przeszedł po jaskini, dotykając z szacunkiem różnych przedmiotów, a potem podszedł do schodów. - Dokąd one prowadzą?

Diego zatrzymał się w milczeniu przy kamiennych schodach.

- Kiedyś prowadziły do salonu w domostwie rodziny de la Vega - odpowiedział po dłuższej chwili.

Alejandro nie zrozumiał od razu konsekwencji tych słów, ale kiedy wreszcie zdołał objąć je umysłem, otworzył oczy jeszcze szerzej niż przedtem.

- Więc ty jesteś...

- Diego de la Vega - dokończył starzec, pochylając głowę.

- Ale wszyscy myśleli, że zginąłeś w pożarze. Z żoną i dzieckiem. - Pokręcił głową, jakby chciał uporządkować swe chaotyczne myśli. - Gdzie byłeś przez te wszystkie lata? Gdzie jest twoja rodzina?

Diego pochylił się, by pozbierać z posadzki poniszczone książki.

- Byłem nieżywy - rzekł cicho. - Nie mówmy już o tym.

- Pamiętam ten ostatni raz, kiedy ciebie widziałem. Miałem wtedy jakieś osiem lat - powiedział Alejandro, unosząc do góry medalion. - Tego wieczoru, kiedy nam to dałeś. Walczyłeś chyba z setką ludzi.

- Byłeś wtedy tylko chłopcem - powiedział Diego. - To wyglądało wspanialej, niż przedstawiało się w rzeczywistości.

- O nie, ja nie zapominam. Byłeś najwspanialszym szermierzem w całej Kalifornii.

- Rafael Montero był wtedy komendantem Los Angeles. Pamiętasz go?

Alejandro zmrużył nieco oczy.

- Jego żołnierze zabili wielu ludzi. Tamtej nocy, kiedy wyjechał, zarzą-

dził egzekucję trzech peonów. Ale wiedzieliśmy, że Zorro, wiedzieliśmy, że ty, don Diego, uratujesz ich w porę. - Przerwał na moment. - Pamiętam, jak konie zmiażdżyły kukielki. I pamiętam ciebie, Zorro, jak nakładałeś medalion na szyję Joaquina. Powiedziałeś, że to w dowód twojej wdzięczności. I nazwałeś nas *compañeros* - uśmiechnął się przelotnie. - Po tamtej nocy Montero pojechał do Hiszpanii czy gdzieś tam.

- Tak, tak - powiedział Diego, czując się nieswojo z przedłużającymi się wspomnieniami. - Teraz najważniejsze jest to, że Montero wrócił do Nowej Kalifornii.

- Słyszałem, jak ludzie mówili o powrocie Montero - Alejandro skinął głową. - Mówią, że teraz jest bogatym człowiekiem, nie jakimś zwykłym *comandante*, ale właścicielem pięknej hacjendy w Los Angeles. Mówią, że ma wielkie plany co do przyszłości Kalifornii i że dużo prostych ludzi i donów zapaliło się do jego pomysłów.

Diego skrzywił się, przypominając sobie Montero stojącego na plaży.

- Ha! Gnębił ludzi dwadzieścia lat temu i teraz będzie gnębił ich znowu!

Alejandro pogładził swą potarganą brodę.

- Pamiętam jeszcze jedną rzecz o Montero: to, że Zorro był jego zaprzyjętym wrogiem.

- Tak samo jak Diego de la Vega - odparł starzec. - Dlatego Montero nie może się dowiedzieć, że tu jestem.

- On wiedział, że jesteś El Zorro?! - zapytał zaskoczony Alejandro.

- Podejrzewał to przez długi czas. Ale nie był pewien aż do samego końca.

Alejandro spojrział na schody, jakby doznał nagłego olśnienia.

- To on spowodował pożar. To on ci to zrobił. - Przerwał, czekając na odpowiedź. - Przepraszam za to, co powiedziałem w szynku. Ty wiesz, co to

znaczy stracić rodzinę.

- To jest coś, o czym nie chciałbym rozmawiać, Alejandro. Nie pytaj mnie już o to. Pamiętaj tylko, iż masz nie mówić nikomu, że ja żyję.

- Chcesz go zabić! - zawołał Alejandro. - Mam rację?!

- Po pierwsze chcę dowiedzieć się więcej o jego wielkich planach co do Kalifornii - powiedział Diego, ignorując jego pytanie - i tego, jaką rolę odgrywa w nich Harrison Love z Teksasu.

- A potem?

- Potem, o ile będziesz odpowiednio przygotowany, obydwaj rzucimy wyzwanie losowi.

Alejandro zacisnął usta.

- Powinienem powiedzieć ci jedną rzecz: jestem ścigany przez prawo - wskazał ręką na siebie. - Ta twarz jest znana wzdłuż całej Camino Real.

Diego przyjrzał się jego brodzie i potarganym włosom.

- Nie martw się, możemy zrobić tak, że nikt cię nie pozna. Wiem to i owo na temat przebrań.

Alejandro uśmiechnął się szeroko i wziął do dłoni szablę.

- A więc niech się zacznie moja nauka! Diego obszedł go powoli dookoła.

- Czy masz choć najmniejsze pojęcie, jak używać tej rzeczy?

- *Cierto*\* - odparł Alejandro, prowadząc go wzrokiem. - Ten ostry koniec wbija się w przeciwnika.

- To może wymagać więcej pracy, niż myślałem - powiedział Diego, wzdychając ciężko.

\* *Cierto* - niewątpliwie.

## *Fechmistrz i jego uczeń*

- To jest treningowy krąg szkoły hiszpańskiej - wyjaśnił Diego, stojąc na zewnątrz największego kręgu widocznego na zupełnie już oczyszczonej marmurowej posadzce. - Został zaprojektowany przez mistrzów szpady Narvaeza i Thibaulta. - Wskazał na szpadę z tolekańskiej stali podarowaną mu w Madrycie przez mistrza Kendalla. - Ten krąg stanie się twoim całym światem, całym życiem, dopóki ci nie powiem, że już dość. Nic nie będzie istniało poza nim.

- Z wyjątkiem Harrisona Love'a - zauważył Alejandro.

- Nie ma nic poza tym kręgiem - powtórzył Diego i dla podkreślenia swych słów przeciął powietrze szybkim cięciem. - Dopóki nie powiem ci inaczej, nie będzie istniał nawet Harrison Love! Zemsta, Alejandro - dodał już łagodniejszym tonem - potrafi być okrutnym mistrzem. Pragnienie zemsty wyostrza zmysły i wspomaga pewność siebie, ale ostatecznie mąci człowiekowi osąd i zdradza jego zamiary. Czy mnie rozumiesz?

Alejandro skinął głową.

- A czy mi wierzysz?

- Wierzę ci.

- Więc uczyniliśmy już początek... - rzekł Diego, kiwając głową.

Pozostali w jaskini przez trzy dni, żywiąc się świeżymi rybami z Pacyfiku oraz pomarańczami i cytrynami z tego, co pozostało z sadów rodziny de la Vega. Wygłodzony przez dwie dziesiątki lat w Talamantes, Diego jadł obficie, czując, jak powoli wracają mu siły. Nadal jednak czuł zamęt w głowie od wstrząsu, jaki przeżył, widząc w przeciagu tylko kilku dni Montero, Elenę i swój medalion.

Powoli odzyskiwał równowagę ducha dzięki sprzątnięciu jaskini i porząd-

kowaniu należących do niego rzeczy. Chwilami, kiedy czyścił broń z rdzy, układał książki czy zamiatał podłogę, miał wrażenie, że od tamtych czasów minęły nie lata, lecz zaledwie tygodnie. Trudno mu było otrząsnąć się z tych majaków, chociaż, kiedy się w nie zagłębiał, niemalże wierzył, że Esperanza i Elena czekają na niego po drugiej stronie sekretnych drzwi, które niegdyś prowadziły do ich domu. Jednak rzeczywistość przypominała mu, że z domu pozostały takie same osmalone ruiny jak z jego dawnego życia.

Łowienie ryb i gromadzenie żywności należały głównie do Alejandro, który w jakiś sposób zdołał się powstrzymać przed zadawaniem zbyt wielu pytań. Codzienne kąpiele w oceanie i w rzece, która zasilала wodospad, oraz długie biegi wzdłuż brzegu morza nieco oczyściły ciało Alejandro, sprawiając, że coraz mniej przypominał z wyglądu zwinnego łotra, jakim w gruncie rzeczy był. Po jego obfitym zarostcie pozostały jedynie dwa wąskie paski ciemnych wąsów.

Na początek Diego zajął się cierpliwym objaśnieniem funkcji treningowego kręgu wyznaczonego na posadzce jaskini.

- Kiedy twoje umiejętności będą się poprawiać - powiedział, wchodząc w centrum kręgów - wtedy będziesz przechodził do coraz mniejszego kręgu i z każdym nowym kręgiem twój świat będzie się zmniejszał, doprowadzając cię coraz bliżej do twojego wroga, bliżej do zemsty.

- O, to mi się podoba - odparł Alejandro.

Diego zignorował jego zapal i ruszył ku niemu, unosząc broń.

- Kiedy ukończysz swoje nauki - powiedział, dotykając czubkiem ostrza do centralnego kręgu na medalionie Alejandro - wtedy przejdiesz do tego kręgu, na idealną odległość do zadania ciosu, gdzie będziesz polegał tylko na swoich umiejętnościach, intuicji i szybkości.

Cofnął się o krok do tyłu i spojrział na szpadę, którą przygotował dla Ale-

jandro.

- Gotowy?

Alejandro głęboko zaczerpnął oddechu i uniósł szpadę.

- Pokaż mi pozycję do wypadu.

Alejandro wykonał polecenie, ale w tak powolny i niezgrabny sposób, że Diego uderzył płazem szpady o wykroczną nogę swego ucznia.

- Za bardzo wystawiasz nogę. Przesuń ją nieco do tyłu.

Alejandro znowu wykonał posłusznie polecenie, zgrzytając podkówkami buta o marmur. Niezadowolony Diego jeszcze raz uderzył go w nogę.

- Wysuń kolano na zewnątrz. Na zewnątrz! Teraz wyprostuj się. Mówiłem: wypad, a nie obrona!

Okrażył Alejandro, który stał w nakazanej pozycji, oceniając jego sylwetkę i ustawienie nóg. Jego uczeń miał odpowiedni wzrost, siłę, wytrzymałość i szybkość, ale musiał jeszcze wykazać się umiejętnością opanowania strategii i taktyki oraz poprawić sztukę skupiania się i koncentracji.

- Oglądasz mnie, jakbyś patrzył na konia - rzucił Alejandro półgębkiem. - Może, skoro już to robisz, powinieneś również obejrzeć mi zęby, dziąsła i sierść.

- Wydaje ci się, że żartujesz, ale jesteś bliższy prawdy, niż sądzisz. Ustawienie nóg okazuje się równie ważne jak szybkość i precyzja. Pojedynek polega na zachowaniu równowagi, więc jeśli nie będziesz potrafił jej utrzymać, przegrasz z kretesem.

Dźgnął go w pierś palcem wskazującym i przewrócił na posadzkę. Szpada wysunęła się z ręki Alejandro i upadła ze szczękiem na marmur. Diego podjął szpadę i rzucił ją swemu uczniowi, kiedy ten podnosił się na nogi.

- Równowaga - powtórzył. - A teraz nacieraj!

Tym razem ruchy Alejandro były bardziej zdecydowane i precyzyjne.



Wykazywał więcej surowego talentu i energii, niż sam Diego w swej wczesnej młodości. Ale co ważniejsze, Alejandro miał wrodzoną umiejętność wstrzymania się od myślenia, kiedy było mu to potrzebne.

Diego sądził, że Alejandro potrafiłby też wyzbyć się emocji stanowiących prawdziwe zagrożenie dla mistrzostwa...

- Lepiej - pochwalił głośno.

Alejandro spojrział na ustawienie swoich stóp i zarobił kolejne uderzenie w nogę.

- Nigdy nie patrz na swoje stopy. Nawet o nich nie myśl.

- Więc dlaczego tak bardzo się nimi przejmujesz?

Diego zignorował jego pytanie i zajął się ułożeniem dłoni Alejandro na rękojeści broni.

- Nie trzymaj jej zbyt luźno, ale też nie próbuj jej zmiażdżyć. Trzymaj ją... w taki sposób, jakbyś trzymał kobietę. - Zamilkł na chwilę i zapytał: - Trzymałeś w objęciach kobietę?

Alejandro spojrział na niego z ukosa.

- Niejedną.

- Ale wygląda na to, że żadnej nie obejmowałeś we właściwy sposób - mruknął Diego z irytacją.

Alejandro zastanowił się przez chwilę i z rezygnacją zmienił ułożenie ręki.

- Wielka poprawa. Widać wyraźnie, że jesteś bardzo doświadczony w niektórych sprawach.

- Powinieneś zobaczyć mnie z pistoletem.

- Wyobrażam to sobie. Ale każdy potrafi zabić za pomocą ołowianej kuli, Alejandro, a ja nie jestem zainteresowany w zrobieniu z ciebie zabójcy.

- Więc kogo masz zamiar ze mnie zrobić?

- Człowieka honoru.

Alejandro spędzał większość każdego poranka na intensywnych ćwiczeniach. Diego zmuszał go do wykonywania niezliczonych ugięć ramion nad tacą z zapalonymi świecami, kiedy sam czytał, opierając stopy na naprężonych plecach swego ucznia. Gdy Alejandro wykonywał skomplikowane ćwiczenia, mające poprawić jego wytrzymałość i zmysł równowagi, Diego przyglądał mu się badawczo, pociągając wino. W jednym z tych ćwiczeń Alejandro musiał iść po wąskim drewnianym balu, po którego obu stronach zwieszały się na linach worki z piaskiem. U góry liny były przywiązane do belek podpierających łukowate sklepienie jaskini.

Diego rozkołysywał worki jak wahadła, a zadaniem jego ucznia było przesuwać się po balu, przeskakując obok kołyszących się w poprzek jego ścieżki worków w taki sposób, by nie dotknąć żadnego z nich i jednocześnie nie stracić równowagi. Już po godzinie tego ćwiczenia Alejandro pogubił się w liczeniu, ile razy albo został uderzony przez worek, albo źle wylądował na balu i spadł na posadzkę.

Poza poprawianiem jego fizycznych umiejętności Diego zajął się również zmianą wyglądu Alejandro, sadzając go w wannie i strzygąc jego długie loki, by przemieniły się w schludną modną fryzurę. Chociaż niezadowolony ze swego nowego wyglądu, Alejandro przyjmował z entuzjazmem każde nowe zadanie i lekcję.

Diego stał przy zbudowanej przez siebie maleńkiej kapliczce, ale tym razem nie zapalał świec ani się nie modlił, lecz wkładał do jutowego worka złoty krzyż i wykonany z kości słoniowej posążek Matki Boskiej.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - zapytał Alejandro, stojąc na balu.

Diego nawet się na niego nie obejrzał.

- Potrzebujemy zapasów, a nie możemy ryzykować, by ktoś cię zobaczył

na plaży lub zbierającego owoce. Pojadę do pueblo i wymienię te szpargały na potrzebne rzeczy. Już nic dla mnie nie znaczą. Liczy się tylko twoja nauka.

- Idę z tobą - oznajmił Alejandro, zeskakując na posadzkę.

Diego spostrzegł, że jego sprzeciw na nic się nie zda, więc tylko skinął głową z rezygnacją.

- Na wschodnim skraju sadu jest wóz, do którego kiedyś zaprzęgaliśmy woły. Pożyczymy sobie jednego mularza z tych, którymi ganaderas przewożą skóry nad morze.

Alejandro zatarł dłonie w podnieceniu.

- Miejskie powietrze zrobi dobrze nam obu.

Dwie godziny później dojeżdżali do rynku. Po obu stronach pokrytej kurzem drogi widać było mężczyzn, którzy drzemali w nikłym cieniu z kolanami podciągniętymi do piersi i sombrerami opuszczonymi na twarze. Parę wychudzonych psów przebiegło od strony targu, trzymając w zębach strzępy mięsa.

Ulica była pełna dzieci, które się ganiały, rzucały garściami kurzu i czyniły wszelkie psoty, jakie im przyszły do głowy.

Diego siedział na wozie z lejcami w reku, a Alejandro leżał na tyle z workiem zawierającym święte przedmioty. Nagle przegalopowało obok nich trzech żołnierzy prowadzących pięć wyraźnie nie ujeżdżonych koni, pośród których były trzy mustangi. Na odgłos dudniących kopyt ludzie na ulicy rozpierzchli się we wszystkich kierunkach.

Alejandro wskazał na najbardziej otyłego z żołnierzy.

- Tamten nazywa się Lopez - powiedział cicho. - Och, patrz na tego ogiera, którego on prowadzi!

Spojrząwszy na konia, Diego poczuł, że serce zabiło mu żywiej, tak jak tego dnia, kiedy w kanionie San Gabriel po raz pierwszy zobaczył Tornado.

- Czarny andaluzyjczyk - powiedział tęsknym tonem.

- Może być po twoim własnym Tornado! - odparł Alejandro.

Niewielki, szybki i muskularny andaluzyjczyk o błyszczącej kruczoczarnej sierści biegł dumnym truchtem, mimo iż był pojmany. Nagle zatrzymał się gwałtownie, powstrzymując w biegu konia Lopeza i wysadzając samego kaprała z siodła. Uwolniony z wodzy ogier rzucił się w szaleńczy bieg, szukając drogi ucieczki. Na placu rozlegały się na przemian przerażone i zachęcające wrzaski, kiedy koń przewracał stragany, przeskakiwał przez poręczce do przywiązywania koni i wzniecał kopytami prawdziwą burzę pyłową.

Podczas gdy jego dwaj żołnierze z trudnością utrzymywali na wodzy mustangi, Lopez ruszył w pościg za swoim własnym koniem, ale gdy ujrzał, że czarny ogier zbliża się ku niemu, rzucił się w jego kierunku i w rezultacie nie złapał żadnego z nich.

Diego nadal przypatrywał się andaluzyjczykowi.

- On jest tak bardzo podobny do Tornado, że mógłby być jego duchem - mruknął.

Przebiegając przed cabildo, czarny ogier wywrócił stragan pełen przepasek, opończy, importowanych chust i nagle ruszył wprost na szlachcica z żoną, którzy akurat wysiedli ze swego powozu. Widząc nadarzącą się okazję, Alejandro wyskoczył z wozu i rzucił się ku nim biegiem, przecinając drogę spłoszonemu koniowi.

- Szybko do środka! - zawołał do przerażonych arystokratów, popychając ich do powozu.

Potem błyskawicznie odwrócił się do konia, uniósł głowę niemal anielskim gestem i zaczął cicho mówić coś niezrozumiałego, dzięki czemu jakimś cudem andaluzyjczyk zarył kopytami w miejscu. Uniósł się na zadnich nogach, tak jakby chciał kopnąć Alejandro przednimi kopytami, ale jednak opadł na cztery nogi i pozwolił mu podejść do siebie i pogłaskać się po grzywie.

Złodziej koni - uświadomił sobie Diego. To dlatego był tak powszechnie znany i poszukiwany.

Wyraźnie upokorzony kapral Lopez zbliżył się wśród powodzi jedwabnych chust rozwiewanych przez wiatr na wszystkie strony. Sapiąc i mrucząc jak silnik parowy, wyrwał ze złością wodze ogiera z ręki Alejandro. W tej samej chwili arystokrata ostrożnie wyszedł z powozu i zaczął wylewnie dziękować Alejandro za jego interwencję.

- Jestem przekonany, że uratowałeś nam życie, młody człowieku - powiedział caballero drżącym głosem. - Jestem don Peralta z Capistrano.

- Jestem zaszczycony - odparł grzecznie Alejandro.

Aby okazać swą wdzięczność, don Peralta otworzył sakiewkę, wydobyl z niej jednego reala i rzucił Alejandro. Były złodziej koni przyjął tę skromną nagrodę z teatralną wdzięcznością.

- Ależ dziękuję jeszcze raz, panie - powiedział, kłaniając się.

Kiedy szedł z powrotem przez plac, by dołączyć do Diego, niesiona przez wiatr czarna chustka zaplątała się na jego nodze. Schylił się, by ją chwycić, zanim wiatr poniesie ją dalej.

- To było odważne, ale nie przemyślane - zauważył Diego. - Ścigany człowiek, nawet wtedy, gdy przystrzygł sobie brodę i zmył brud z twarzy, powinien pamiętać o tym, że nie wolno mu zwracać na siebie uwagi. Ktoś mógł cię poznać.

- Ale było warto - Alejandro pstryknął kciukiem srebrną monetę, rzucając ją w kierunku de la Vegi.

- Nie zgodziłbym się z tym - odparł Diego.

Uśmiechając się szeroko, Alejandro począł wyciągać z kieszeni i spod opończy różne przedmioty i podawać je Diego: pierścionek, bransoletę, jakieś zaproszenie.

- Może jest parę rzeczy, których ja mógłbym cię nauczyć, don Diego - powiedział po chwili. - Nie jestem pewien, czy uczeń jest gotów, ale mistrz tak, i jest tu na miejscu. Teraz możesz trochę jeszcze potrzymać te swoje „bezwartościowe szpargały” - dodał, wskazując na worek.

Odszedł, mnąc w dłoniach czarną chustkę, a Diego odprowadził go wzrokiem.

## 11

### *Nocny złodziej*

Alejandro zadał pchnięcie z krawędzi zewnętrznego kręgu, utrzymując szermierczą pozycję, podczas gdy stojący z czarnym biczem w ręce Diego obserwował go z centrum marmurowej posadzki. Nagle bicz trzasnął bez ostrzeżenia, odrywając guzik z koszuli Alejandro.

- Znowu za bardzo wychylasz się do przodu!

Alejandro skorygował postawę, patrząc gniewnie na swego nauczyciela.

- Mogłeś mi to powiedzieć, zamiast niszczyć dobrą koszulę. A może tu bardziej chodzi o twoje ćwiczenia z biczem, a nie moje ze szpadą?

- Jeszcze raz - rozkazał Diego.

Alejandro cofnął swą wykroczną stopę i natarł tylko po to, aby poczuć uderzenie bicza przez rękaw koszuli. Krople potu, wywołane zarówno przez gniew, jak i wysiłek, pojawiły się na jego twarzy i górnej wardze.

- Jeżeli tak bardzo nie podoba ci się moja koszula, to dlaczego po prostu mi o tym nie powiesz?! - warknął.

Diego zacisnął usta i zbliżył się do niego.

- Nie podoba mi się twoja technika, a nie ubiór - rzekł, trzaskając biczem

w powietrzu. - Zachowuj się więc jak mężczyzna!

Alejandro zgrzytnął zębami, cofnął się i natarł ponownie.

Kiedy przez chwilę jego koszula nie poniosła kolejnego uszczerbku, ostrożnie spojrzął na Diego, który stał z założonymi na piersiach rękami i kiwał głową.

- Znakomicie. Zrób to samo jeszcze raz.

Kiedy Alejandro zaczął przygotowywać się do powtórzenia tego elementu, przypomnienie nieżyjącego brata wypełniło jego myśli, wytrącając z równowagi. Choć Joaquín zawsze twierdził, a nawet przechwalał się, że umrze młodo, Alejandro nigdy tego nie traktował poważnie. Poza tym jego starszy brat był w gruncie rzeczy jedynym krewnym, jakiego kiedykolwiek znał. Ojcowie i neofici z misji San Gabriel byli dobrzy dla nich obydwu, ale Joaquín był jedyną osobą, której Alejandro ufał.

Próbował skupić się na ćwiczeniu, ale trudno mu było pozbyć się z pamięci obrazu Joaquína. Gdy w końcu zdołał wyprzeć go z myśli, wtedy pojawił się w nich Harrison Love, psując wszelkie jego wysiłki zmierzające do poprawy panowania nad szpadą.

- Błędzisz myślami gdzie indziej - rzucił Diego. - Ciągłe cię pouczam na ten temat.

Alejandro wyprostował się i gniewnie obrócił ku niemu.

- W jaki sposób mam się przed tym powstrzymać? Ludzie myślą. Tym się różnimy od zwierząt.

Diego oparł dłonie na biodrach i zaczął mu cierpliwie tłumaczyć.

- Musisz pozwolić, żeby to szpada myślała za ciebie. Musisz pozwolić, żeby panowała nad tobą, zanim ty zapanujesz nad nią. Nie możesz zaprzętać czymś swojego umysłu i jednocześnie wykonywać ćwiczenia. Ucierpi na tym jedno albo drugie. W pojedynku na śmierć i życie nie możesz pozwolić na to,

żeby twoja technika poniosła uszczerbek.

- Słowa, słowa! Nic nie robisz, tylko mówisz o pojedynku! Po to, żeby dojechać do mistrzostwa, trzeba walczyć! - zawołał Alejandro, przecinając powietrze szpadą.

Diego westchnął głęboko.

- Jeżeli w to wierzysz, to już niczego nie mogę cię nauczyć. Alejandro wyprostował się, unosząc głowę.

- Już w pulquerii powiedziałem, że wcale nie proszę cię o pomoc.

Diego spojrzał na niego uważnym wzrokiem, a potem obrócił się na pięcie i wypadł z jaskini. Alejandro już miał go przeprosić, ale się powstrzymał. W końcu powiedział prawdę. Sięgnął do kieszeni po chustkę, którą poprzedniego popołudnia przyniósł mu wiatr, i zaczął ocierać nią twarz. Kiedy zaczął wachlować czarnym jedwabiem w powietrzu, żeby go osuszyć, nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

Słońce już zachodziło, kiedy Alejandro dotarł do puebla. Sprzedający na rynku przekupnie już w większości pozamykali swoje stragany i udali się do domu. Plac był pusty z wyjątkiem otoczenia fontanny, gdzie bawiła się grupka dzieci. Alejandro zeskoczył na ziemię z dachu niskiego budynku i pośpieszył pod mur kościoła, aby ukryć się tam pomiędzy przywiązаныmi do bariery końmi. Miał na sobie jedwabną koszulę i spodnie pożyczone od don Diego, a twarz przesłonił czarną chustką. Nachylił się nad korytem z wodą, żeby spojrzeć na siebie przez wycięte w chustce otwory, i stwierdził z zadowoleniem, że maska szczelnie okrywa mu twarz. Zadowolony był też z wyglądu swojej naprędce wykonanej peleryny, którą zrobił ze starego koca i która teraz spływała mu z ramion. Marzenia z dzieciństwa powróciły jak przybierająca fala.

- *Buenas noches*, El Zorro - powiedział do swego odbicia - muszę powiedzieć, że wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek w przeszłości.



Zdjął łąso z łęku jednego z siodeł i już miał odsunąć się od koni, kiedy dojrzał jeźdźca galopującego wprost w jego kierunku. Wiedząc, że zostałby dostrzeżony, gdyby rzucił się w poszukiwaniu jakiejś kryjówki, cofnął się ponownie do koryta z wodą i położył dłoń na rękojeści szpady. Gdy wierzchowiec się zbliżył, Alejandro dostrzegł, że jeźdźcem jest nie jakiś pijany vaquero, ale młoda kobieta, w dodatku całkiem urocza, która dosiadała konia w zachodnim stylu. Była ubrana w piękną długą bawełnianą suknię i chustę, ale wygląd jej rozpuszczonych i potarganych przez wiatr czarnych włosów pozostawał w wyzywającym kontraście do stylu przyjętego przez eleganckie damy z Los Angeles.

Dojechawszy do bariery, młoda kobieta spojrzała z zaskoczeniem na zamaskowaną postać w czerni stojącą za wierzchowcami, jednak jej reakcja zdradzała nie tyle niepokój, co zaciekawienie.

- Gdzie jest bal maskowy? - zapytała po chwili, przez którą mierzyli się oboje wzrokiem.

Alejandro odsłonił zęby w uśmiechu i w nakazującym ciszę geście uniósł palec wskazujący do ust.

Kobieta zmrużyła niepewnie oczy. Jej koń parsknął, przestępując nerwowo z nogi na nogę, ale Alejandro przytrzymał wierzchowca za uzdę i uciszył go, dzięki czemu kobieta obdarzyła go dwuznacznym uśmiechem.

- Powinna pani uważać, seńorita. W tej okolicy przebywają niebezpieczni ludzie.

- Naprawdę? - uniosła ironicznie brwi. - Liczę na to, że jeśli pan któregoś z nich zobaczy, na pewno mi go wskaże.

Alejandro skłonił się lekko i wycofał w cień. Kobieta popatrzyła na niego przez chwilę, a potem zsiadła z konia i ruszyła ku wejściu do kościoła.

Alejandro również przekradł się do ściany kościoła i szybko wspiał na je-

go dach. Przypatrzawszy się uważnie z góry dziedzińcowi przylegającego do kościoła cuartel general, zobaczył tylko jednego żołnierza, który właśnie prowadził konia do stajni. Alejandro poczekał, aż żołnierz zniknie w środku, potem zeskoczył na mur otaczający dziedziniec, a stamtąd na dach stajni, na którego szczycie widniał szeroki ceglany komin. Zarzuciwszy pętlę lassa na komin, zaczął się opuszczać do jego wnętrza. Kiedy zbliżył się do paleniska stojącego w stajni wielkiego pieca, obrócił się głową w dół, żeby zajrzeć do wnętrza pomieszczenia.

Żołnierz, którego dostrzegł na dziedzińcu, opuszczał właśnie stajnię przez okratowane drzwi prowadzące do żołnierskich pomieszczeń cuartelu. Alejandro odczekał chwilę, odwrócił się nogami w dół i opuścił na podłogę. Rozejrzawszy się dookoła, wypatrzył w jednym z boksów czarnego andaluzyjczyka.

Spokojnie - napomniał się w myślach.

Zerkając przez szparę pomiędzy futryną drzwi a ścianą, ujrzał wewnątrz żołnierskiej kwatery. Około dwóch tuzinów żołnierzy odpoczywało na ustawionych wzdłuż ściany piętrowych pryczach. Inni czyścili broń albo pili alkohol, a pokaźna grupka, w tym pijany kapral Lopez, siedziała wokół stołu, grając w pokera.

Przekonany, że ma na jakiś czas stajnię do dyspozycji, Alejandro wziął siodło, uprząż i podszedł ostrożnie do czarnego ogiera. Wśliznął się do boksu i poklepał uspokajająco konia po karku, przyglądając się jego oczom, sierści i zębom.

- Och, jesteś wspaniały - wyszeptał. - Mówi ci to człowiek, który w swoim czasie ukradł mnóstwo koni. - Andaluzyjczyk stał, przyglądając się mu uważnie. - Przyszedłem, żeby dać ci zaszczyt wożenia mnie, Zorro, na swoim grzbiecie. Od teraz będziesz się nazywał Tornado.

Delikatnie umieścił siodło z krótkimi strzemionami na grzbiecie wierz-

chowca i poczekał z zaciągnięciem popręgów i nasunięciem uzdy na jego głowę do momentu, kiedy już uznał, że koń to zniesie.

- Na razie idzie nam bardzo dobrze - wyszeptał, wyprowadzając andaluzyjczyka z boksu.

Kiedy przygotowywał się do wskoczenia na siodło, z pomieszczeń żołnierskich rozległ się gwałtowny wybuch szorstkiego śmiechu i grzmiący ryk Lopeza oskarżającego swych kompanów o oszustwo. Koń zadreptał niespokojnie, lecz Alejandro zdołał nad nim zapanować. Umieściwszy jedną stopę w strzemionach, ostrożnie przesunął nogę nad siodłem i zastygł w bezruchu, na moment wstrzymując oddech. Andaluzyjczyk też stał nieruchomo, najwyraźniej nie domyślając się zamiarów Alejandro.

- Zobaczysz, będziemy jednym duchem, Tornado - powiedział Alejandro, klepiąc go po karku.

Nacisnął piętami boki konia i wtedy wierzchowiec wpadł w szał. Począł skakać, rozpaczliwie usiłując wysadzić z siodła nieproszonego jeźdźca. Wyglądało to tak, jakby ktoś przytknął mu do zadu rozgrzane do czerwoności żelazo do znakowania zwierząt. Jednak Alejandro zdołał utrzymać się w siodle nawet wtedy, gdy koń powalił kopnięciami dwa słupki podpierające poddasze, przez co cała konstrukcja przechyliła się z jękiem i z hukiem upadła na posadzkę, obsypując wszystko sianem.

Osadzone na skórzanych zawiasach drzwi do żołnierskich pomieszczeń otworzyły się gwałtownie i do środka wpadli żołnierze z Lopezem na czele. Ujrawszy coś, co wyglądało jak opętany stóg siana skaczący wprost w ich kierunku, zawrócili natychmiast i uciekli z powrotem do swoich pomieszczeń, zamykając za sobą drzwi. Jednak to nie wystarczyło, by powstrzymać andaluzyjczyka. Przebił się przez drzwi w burzy potrzaskanego drewna i obracał się wkoło, wyrzucając za siebie tylne nogi potężnymi kopnięciami. Żołnierze roz-

pierzchli się w kąty pomieszczenia, na łóżka i gdzie tylko się dało, by uniknąć trafienia kopytami. Przebijając przednimi nogami w powietrzu, dziki ogier wspiał się na tylne, zrzucając w końcu swego jeźdźca na podłogę. Zanim Alejandro zdołał znowu wskoczyć na siodło i skierować go ku wrotom prowadzącym na dziedziniec, ogier zdążył jeszcze zmiażdżyć kilka piętrowych prycz.

Wierzchowiec wyłamał wrota pojedynczym uderzeniem, jednak tym razem podskoczył tak wysoko, że Alejandro uderzył głową o belkę nad wrotami i znowu spadł z siodła.

Żołnierze rzucili się na niego ze wszystkich stron. Alejandro przetaczał się po ziemi, czołgał i wywijał koziółki, by uniknąć wyciągających się ku niemu rąk i usiłujących go zdeptać nóg. W końcu te akrobatyczne popisy doprowadziły go do zbrojowni, gdzie stała zdjęta z tronery, czyli otworu strzelniczego, armata, widocznie przygotowana do czyszczenia. Jednak poza otworem strzelniczym jedynym wyjściem z pomieszczenia były te same drzwi, przez które Alejandro wtoczył się do środka i które teraz zasłaniaли żołnierze, zachęcający się nawzajem, żeby któryś pierwszy spróbował go pochwycić.

Nie mając czasu do stracenia, Alejandro poderwał się na nogi, chwycił pochodnię z osady na ścianie i przytknął ją do lontu przy zamku armaty.

Ku jego zaskoczeniu broń wypaliła, ogłuszając go i burząc niemal całą frontową ścianę budynku. Kaszląc od pyłu i odoru siarki, żołnierze padli na ziemię, nakrywając głowy ramionami, a kiedy podnieśli oczy, zobaczyli Alejandro śmiejącego się hałaśliwie. Wprost nie mógł uwierzyć w to, czego dokonał.

Alejandro odrzucił pochodnię, wziął się pod boki i stanął w heroicznej pozie.

- Niech będzie wiadomo wszem i wobec, że legenda powróciła!

Ci żołnierze, którzy unieśli wcześniej głowy, patrzyli w przerażeniu, nie tyle jednak na Alejandro, ile nieco w lewo, gdzie pochodnia upadła przy ścieżce wysypanej przez proch z przewróconej beczułki. Uświadamiając sobie, że nie zdąży przeskoczyć przez wyburzoną ścianę, Alejandro rzucił się ku beczułce, wyprzedzając płomień, uniósł ją i ruszył ku drzwiom, depcząc po leżących żołnierzach. Nagle spostrzegł, że nadal sypie się z niej proch, a ogień jest coraz bliżej niego!

Z okrzykiem przerażenia cisnął beczułkę z powrotem do zbrojowni i rzucił się ku drzwiom cuartelu, wpadając w nie akurat wtedy, gdy rozległ się huk potężnej eksplozji, która wzniciła piekielny ogień i posłała kawałki płonącego drewna wysoko pod ciemniejące niebo.

Podmuch eksplozji zrzucił Alejandro z muru na teren kościoła. Kiedy doszedł do siebie na tyle, by zorientować się, gdzie jest, rzucił się pośpiesznie do bocznego wejścia. Była już prawie pora nieszporów, ale jedyną osobą widoczną w świątyni był ojciec Felipe, który akurat przechodził obok pełnej świec kapliczki Świętego Sebastiana, kierując się ku konfesjonałom na tyłach nawy. Zobaczywszy przed sobą zamaskowaną postać w czarnym stroju, padre zatrzymał się i pośpiesznie przeżegnał dwa razy.

- *Dios mio*, Santa Maria - wykrztusił. - Czy to jakaś zjawą, czy ty naprawdę wróciłeś?

- Wróciłem? - powtórzył zaskoczony Alejandro. Franciszkanin dał ostrożnie krok do przodu.

- Ale jakże to możesz być ty, Zorro? Albo to prawda, że jesteś czymś nadprzyrodzonym, albo upływ lat był dla ciebie o wiele łaskawszy niż dla mnie...

Alejandro chrząknął, przerywając mu.

- Padre, szybko. Potrzebuję schronienia.

- Oczywiście, że potrzebujesz. Oczywiście, że tak, Zorro - odparł ojciec Felipe i położył dłonie na ramionach Alejandro. - Wiedz, synu, że potrzebujemy cię teraz bardziej niż kiedykolwiek...

- Niestety nie mam w tej chwili czasu, żeby rozmawiać o tych sprawach, dobry ojcie. Musisz mnie ukryć.

Z zewnątrz dobiegły odgłosy kroków i żołnierskie rozkazy. Zakonnik pośpieszył do drzwi, zamknął je i zasunął rygiel. Promieniejąc radosnym uśmiechem, odwrócił się ku Alejandro.

- Och, całkiem jak za dawnych lat!

Alejandro już śpieszył do jedynej kryjówki, jaką wypatrzył: wysokiego konfesjonału z dwuskrzydłowymi, ozdobnie rzeźbionymi drzwiami. Wsunął się na miejsce spowiednika i siadł na drewnianej ławeczce, usiłując uspokoić oddech.

- Ojcie, czy dobrze się czujesz? - posłyszał kobiecy głos z drugiej strony przegródki.

Alejandro zastygł w bezruchu.

- Ojcie?

Alejandro skulił się w ciasnej przegrodzie. Ścigający go żołnierze zaczęli dobijać się do drzwi kościoła. Kiedy kobieta zapukała w przegródkę, zrozumiał, że nie ma wyboru, więc odsunął drzwiczki, za którymi widniało okienko wypełnione gęstą drewnianą kratką.

- Och, nie przejmuj się, moja... moje dziecko. Wszystko jest w porządku.

- Co się tam dzieje, ojcie? Sądząc po odgłosach, przed kościołem toczy się jakaś bitwa.

- Nie obawiaj się niczego - powiedział, odchrząkując.

Skoro potrafił grać Zorro, to dlaczego nie miałby zagrać zakonnika?

- Jesteś bezpieczna w domu Pana - dodał, zniżając głos.

- Święte słowa, ojcze.

- Tak sądzisz? - zapytał Alejandro bez zastanowienia. - Jestem w tym całkiem nowy.

- Nowy w tym? Ależ jak to możliwe, ojcze Felipe?

- Ojcze... nie, nie, moje dziecko. Widzisz, ja jestem ojciec Juan. Przyjechałem tu z wizytą z misji Santa Barbara.

Zagryzł usta zaniepokojony, kiedy kobieta zamilkła na dłuższą chwilę. Potem zobaczył, że ona się żegna.

- Przebacz mi ojcze, gdyż zgrzeszyłam. Od mojej ostatniej spowiedzi minęły trzy dni.

- Trzy dni? - przerwał jej Alejandro, zaskoczony. - Ile grzechów mogłaś popełnić przez trzy dni? Och, nawet najbardziej okrutni bandyci w tym kraju rzadko znajdują czas na jeden poważny grzech na tydzień. Może powinnaś tu wrócić, kiedy będziesz miała więcej czasu, by pobłądzić.

Kobieta zamilkła znowu na tak długo, że wyglądało to jak wieczność.

- Wybacz, ojcze, ale nie jestem pewna, czy cię rozumiem.

Alejandro przechylił się ku przegródce, próbując rozpoznać, kto z nim rozmawia. Ujrzał wielkie piękne oczy tej samej kobiety, którą spotkał przy poręczy do przywiązywania koni.

- To tylko taki żarcik, moje dziecko - powiedział. - Nie przerywaj spowiedzi.

- Ojcze Juanie, boję się, że mogłam złamać czwarte przykazanie.

- Ach, ukradłaś coś, tak?! - zapytał Alejandro pewnym siebie tonem.

- Co kradzież ma wspólnego z czwartym przykazaniem, ojcze?

- Tylko cię sprawdzałem, dziecko - powiedział Alejandro, krzywiąc twarz. - Proszę, mów dokładniej.

- Sprawiałam wstyd mojemu ojcu.

- To wszystko? No cóż, może twój ojciec zasługiwał na wstyd. Może on jest jakiś *cabrón*?

Kobieta pochyliła się, jakby chciała spojrzeć mu w twarz.

- Ojciec Juanie - powiedziała zdecydowanym tonem. - Jakim dokładnie zakonnikiem jesteś?

- Jakim? No, my w misji Santa Barbara mamy odrobinę inne podejście do spowiedzi. Czy przeraża cię perspektywa zmiany?

- Wcale nie. Prawdę mówiąc, lubię zmiany.

- Więc proszę, mów dalej.

Kobieta głęboko zaczerpnęła oddechu.

- Widzi ojciec, jest po prostu tak, że ja staram się zachowywać właściwie w ten sposób, w jaki mój ojciec sobie życzy. Ale czasami martwię się, że mam zbyt dzikie serce jak na córkę *caballero*.

- *Caballero*, powiedziałaś? - powtórzył Alejandro, unosząc brew. - A który to *caballero*?

- Nie musisz tego wiedzieć, czyż nie, ojciec?

- No nie, przypuszczam, że nie. Ale powiedz mi więcej o tym twoim dzi-  
kim sercu.

- Ja też... - Przerwała.

- Tak? - zachęcił ją pośpiesznie.

- Miałam nieczyste myśli dotyczące pewnego mężczyzny.

- Ostatnio?

- Właśnie dzisiaj. Prawdę mówiąc, przed paroma chwilami.

- Santa Maria!

- I obawiam się, że on może być bandytą.

- Naprawdę? Czarna maska, ochryply głos, przystojny w surowy sposób?

- Tak, i kiedy popatrzył na mnie... To znaczy, kiedy ja popatrzyłam na



niego... ojciec, poczułam się tak, jakbym płonęła. Czułam...

- Gorąco we wstydlivych miejscach? - podpowiedział. - Szum oceanu narastający w uszach? Krew burzącą się w żyłach?

- Tak i jeszcze więcej.

- Czułaś pożądanie?

- Tak - odpowiedziała kobieta, opuszczając głowę.

Alejandro uśmiechnął się, zachwycony sam sobą.

- Mamy też nieco inne podejście, jeżeli chodzi o pożądliwość. To łagodniejsze podejście.

- Naprawdę? - powiedziała niemal kokieterijnym tonem, ale zaraz się opamiętała. - Chwileczkę, łagodniejsze podejście? Kim ty jesteś?

Nagle zamieszanie w kościele pozwoliło Alejandro domyślić się, że żółnierze dostali się do środka.

- To jest dom boży! - zaprotestował głośno ojciec Felipe.

- „Gdy gnębi się w sądzie człowieka - czyż Pan tego nie dostrzega?”\*

Lamentacje, pieśń trzecia, wers trzydziesty szósty - odpowiedział mu głos Harrisona Love'a.

*\* Biblia Tysiąclecia, Lm, 3, 36, Poznań-Warszawa 1982.*

- Opuśćcie mój kościół! - zawołał franciszkanin. - Nie macie...

- Przeszukać wszystko - przerwał mu Love. - Kaplicę, poddasze, nawet zakrytą, on musi gdzieś tu być. Zajmę się tobą później, padre - rzucił pod adresem ojca Felipe.

Alejandro spojrzął do góry na sporządzony z tkaniny sufit konfesjonału i pochylił się po raz ostatni ku przegródce.

- Señorita, nie zrobiłaś niczego, co wymagałoby kary - wyszeptał. - Za-

ufaj swemu sercu, ono cię nie zwiedzie na manowce. A teraz odejdz w pokoju.

Zamknął drzwiczki, czekając na jej odejście, i już miał sam opuścić konfesjonał, kiedy dobiegł go głos kapitana Love'a:

- Señorita Montero, co pani tu robi? Czy nic się pani nie stało?

- Montero - powtórzył szeptem Alejandro.

- Po prostu się spowiadałam, kapitanie Love. Należałoby raczej zapytać, co pan tu robi.

Love zignorował jej pytanie.

- Komu się pani spowiadała, señorita, skoro ojciec Felipe jest tutaj?

- Ojcu Juanowi. Z misji Santa Barbara.

- Proszę się odsunąć, señorita! - wykrzyknął Love. - Została pani oszukana. Tu jest niebezpieczny bandyta.

Nie tracąc ani chwili, Alejandro już się przeciskał przez sufit z materii, by przedostać się na poddasze, kiedy grad ołowiu uderzył w konfesjonał, rozrywając przybytek na strzępy.

## *Lis żyje*

Alejandro przebiegł przez poddasze i nie zauważony przez żadnego z żołnierzy wy dostał się na dach. Przesunawszy się na brzuchu do jego skraju, zobaczył nadal płonąca przybudówkę cuartelu. Ci z żołnierzy, którzy nie byli zajęci podawaniem wiader z wodą, przeczesywali teren w poszukiwaniu intruza. Niezbyt daleko przeciwnego skraju dachu stał czarny andaluzyjczyk, z zadowoleniem skubiąc kępki trawy.

- Tornado! - wyszeptał Alejandro z zachwytem. - Pssst, chodź tutaj, ma-  
leńki.

Ogier nie zwrócił na niego uwagi.

- No, chodź tutaj, *prontissimo*\* - ponaglił Alejandro - bo jak nie, to Zorro będzie jeździł na kim innym, a nie na tobie.

\* *Prontissimo* - szybko, pędem.

Zniecierpliwiony, zaryzykował ciche gwizdnięcie, które zwróciło uwagę konia na tyle, że spojrzał w kierunku dachu, a potem przeszedł kilka stóp, by w końcu znaleźć się na wprost pod Alejandro.

Zadowolony z siebie młodzieniec skoczył w dół i byłby wylądował wprost w siodle, gdyby koń nie dał jeszcze dwóch kroków. Alejandro uderzył mocno o ziemię i upadł na plecy, co wywołało jedynie pozbawione jakiegokolwiek zainteresowania spojrzenie konia. Poderwał się na nogi i skoczył od końskiego zadu wprost na siodło.

- Tym razem jestem na twoim grzbiecie na dobre! - oznajmił.

Śmiejąc się triumfalnie, ponaglił Tornado do biegu i galopem wpadł na

plac przed cuartelem, zatrzymując się tylko na moment, by wyciąć na ceglanej ścianie budynku literę „Z”.

Diego przechadzał się z biczem w ręce tam i z powrotem po mistycznym wzorze szkoły hiszpańskiej, usiłując odgadnąć, dokąd mógł się udać jego porwany uczeń. Zdawał sobie sprawę z tego, że Alejandro nie zrezygnowałby aż tak szybko, chociaż nie winiłby go, nawet gdyby tak się stało. Zemsta, jaką Alejandro pragnął wyrzucić na Harrisonie Love'em, nie była skomplikowana przez starą wrogość i przyszłe szczęście jedynej na świecie osoby, która miała dla niego znaczenie. Nie, złodziej koni, Murieta, mógł po prostu wziąć strzelbę albo pistolet i załatwić od razu całą sprawę. Życie kapitana Love'a za życie Joaquina: zemsta prosta i kompletna. Jednak Diego nie mógł zrobić tego samego z Montero, dopóki Elena nie dowie się prawdy o swojej przeszłości i zechce zaakceptować go w swym życiu.

Przyglądając się centralnemu kręgowi, pomyślał, że bez względu na okrucieństwo tej sytuacji Elena należy do Montero w tym samym stopniu jak do niego. Montero stał się ojcem Eleny, a Diego nie był w stanie zmienić wypadków, które zaszły dwadzieścia lat temu, ani tego wszystkiego, co wydarzyło się od tamtej pory.

Rozwinął bicz i zaczął nim kołysać bez celu, kiedy usłyszał jakiś ruch u wlotu do jaskini. Obróciwszy się, zobaczył z zaskoczeniem Alejandro w improwizowanym stroju Zorro siedzącego na czarnym ogierze, który jakiś czas temu siał zniszczenie na rynku pueblo. Mina na twarzy Muriety, kiedy zsiadał z konia, wskazywała na to, że spodziewa się aplauzu.

- No i co o tym myślisz? - zapytał w końcu, stając w zawadiackiej pozie.

Diego spoglądał na niego z nic nie wyrażającą miną, a potem trzasnął biczem w kierunku zapalanej świecy, gasząc jej płomień...

- Nie tylko ukradłem tego konia - oznajmił Alejandro z radosnym uśmiechem na twarzy - ale i zostawiłem literę „Z” na ścianie cuartelu. Jeszcze tej nocy wszyscy w Los Angeles będą znowu powtarzali szeptem twoje imię.

Bicz Diego zgasił kolejne dwie świece. Alejandro przełknął ślinę, odyskując głos.

- Ludzie znowu będą wymawiali imię Zorro, don Diego!

- To, co oni mówią, nie ma żadnego znaczenia - powiedział w końcu Diego. - Będą widzieli jedynie głupca. Kradniesz konia i skrobiesz znak na ścianie, więc myślisz, że zdobyłeś prawo do noszenia tej maski?!

- Ale byłem tak samo zręczny jak prawdziwy Lis - odparł zmieszany Alejandro. - Szkoda, że nie widziałeś...

Diego trzasnął z bicia wprost w Alejandro, zrywając mu maskę z twarzy i przecinając ją na dwie części.

- Uważaj, starcze - ostrzegł Alejandro, napinając mięśnie.

- Zorro nie był jakimś cyrkowym bufonem, poszukiwaczem aplauzu czy sławy. On był sługą ludu. Robił wszystko, co było potrzebne, by poprawić jego los.

- I teraz znowu jest potrzebny...

Bicz trzasnął znowu, tym razem zrywając pelerynę Muriety. Alejandro wytrzymał wściekle spojrzenie Diego, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie prosiłem cię o pomoc w tym szynku. Jednak przyszedłem tutaj, żeby nauczyć się walczyć jak ty, by zyskać twoją siłę i odwagę. A teraz, kiedy próbuję wykorzystać to, czego mnie nauczyłeś, ty mnie powstrzymujesz. - Zarzykował krok do przodu. - Mam dość twoich nauk, twojego nie kończącego się pouczenia. Mam dość czekania, kiedy mi powiesz, że jestem gotowy. Mam swoje własne rachunki do wyrównania i muszę rozpocząć nowe życie. Myślałem, że mogę zacząć je tutaj, ale chyba się myliłem.

Diego wpatrywał się w niego, myśląc o synu, którego mógłby mieć, gdyby Esperanza nie zginęła. Dalej jednak uważał, że sam zapął, zdecydowanie i wola naśladowania go to jeszcze nie wszystko.

- Nie dam mojego błogosławieństwa człowiekowi, który wygląda tak, jakby bawił się w błocie. Będziesz je miał, kiedy na nie zasłużysz, i ani chwili wcześniej - rzekł, odrzucając bicz i dobywając szpady. - Wyciągnij broń.

Alejandro cofnął się o krok i również wy dobył szpadę. Zanim klingi ich broni spotkały się ze szczękiem, zaczęli krążyć wokół siebie, patrząc sobie w oczy. Niepomny na nauki swego mistrza, Alejandro rzucił się na niego, rąbiąc z wściekłością, by wykorzystać swoją fizyczną przewagę i zepchnąć przeciwnika na tyły jaskini. Diego parował każde potężne uderzenie, ale Alejandro się nie zniechęcał i nadal nacierał, wymachując swoją szpadą w lewo, w prawo i zadając ciosy z góry. Z poczerwieniałą od gniewu twarzą parł do przodu, dysząc przez zaciśnięte zęby. Diego walczył, wpatrując się w oczy Alejandro, i wtem, nie dając nawet na odrobinę rozpoznać swego zamiaru, odstaąpił w bok, wystawiając stopę. Wymachując ramionami, by chwycić równowagę, Alejandro zachwiał się do przodu, ale zdołał utrzymać się na nogach. Jednak zanim się wyprostował i obrócił, czubek szpady Diego już mierzył wprost w jego gardło.

- Lekcja numer jeden, Alejandro. Nigdy nie atakuj w gniewie - rzekł Diego i wycofał szpadę. - Otrzymasz moje błogosławieństwo wtedy, kiedy na nie zasłużysz, i ani chwili wcześniej - powtórzył.

Montero i Love brnęli przez dymiące ruiny cuartelu, podczas gdy niektórzy żołnierze nadal wydobywali z nich, co tylko się dało, a inni odprowadzali konie. Słońce zaszło niewiele więcej niż godzinę temu, ale powietrze już było jak balsam.

- Ten zakonnik, Felipe, pomagał mu w ucieczce - powiedział Love. - Ale

od dzisiaj będzie zajmował się całkiem nową owczarnią. Chyba rozumie pan, co mam na myśli?

- Słuszny pomysł - zgodził się Montero, kiwając głową. - W jaki sposób jeden człowiek mógł spowodować takie zniszczenia? - zapytał, rozglądając się.

- Cóż, częściowo mu pomógł dziki bronco, którego Lopez i jego ludzie schwytali kilka dni temu.

- Gdzie jest ten koń?

- Ten złodziej uciekł na nim. Widać z tego, że nie jest nowicjuszem w tym fachu.

- Więc to jakiś vaquero, który zeszedł na bandycką ścieżkę, tak?!

- Trudno powiedzieć - Love wzruszył ramionami. - Miał maskę, no i w ogóle.

- Maskę?! - zapytał Montero, zatrzymując się gwałtownie.

- Czarną opaskę z otworami na oczy. - Love pokazał ręką, jak była założona opaska, i wskazał na ścianę. - Tu jest coś jeszcze, co, jak sądziłem, będzie pan chciał zobaczyć, zanim to usuniemy.

Otwierając szeroko oczy, Montero ujrzał zygzak wycięty w gipsowej powierzchni ściany. Love przechylił głowę na bok.

- Może to jest tylko przechylone „N”.

- Niech pan oszczędzi swojego dowcipu dla tych, którym on się podoba, kapitanie - rzucił Montero, posyłając mu gniewne spojrzenie. - Wie pan równie dobrze jak ja, co oznacza ten znak.

Love wzruszył ramionami.

- Dla mnie oznacza, że jakiś bandyta usiłuje wzniecić zamieszanie, podszuwając się pod postać ze starej legendy. Obydwaj wiemy, że to nie może być ten sam człowiek, który trząsł tym puebło dwadzieścia lat temu.

Montero w ciszy przypatrywał się Jankesowi.

- Proszę to wytłumaczyć, kapitanie. Jak to jest możliwe, że obydwaj o tym wiemy?

- Mówię tylko, don Montero, że ten *hombre*, który dostał się do cuartelu ostatniego wieczoru, był młodym człowiekiem - odparł Love, nieomal się uśmiechając. - Prawdziwy Zorro musiałby być... praktycznie w pańskim wieku.

Montero wyciągnął rękę i dotknął wyciętej w ścianie litery, przesuując palce po jej szorstkich brzegach. Po chwili cofnął drżącą nieco dłoń.

- Niech pan znajdzie tego, kto to zrobił, i dopilnuje, żeby został powieszony na rynku.

Kilku żołnierzy, którzy pracowali w pobliżu, przerwało pracę i spojrzęło na niego niepewnie. Na ich oczach Montero odruchowo uniósł rękę i potarł szyję w tym miejscu, gdzie wysoki kołnierzyk brokatowego surduta skrywał jego osobiste trzy cięcia.

- I natychmiast usunąć tę literę ze ściany! - rozkazał.

Diego trzasnął z bicia, polecając Alejandro najpierw ruszyć do przodu, a potem cofnąć się po promieniu okręgu. Przedtem związał mu nogi w kostkach kawałkiem liny, żeby zmusić go do przyjmowania precyzyjnej postawy. Odrywając wykroczną nogę od podłoża, Alejandro dotarł do łuku przedostatniego okręgu i obrócił się, by wykonać flesz, a potem, dochodząc do następnej linii, znowu się obrócił i wykonał balestrę, czyli podskok do przodu połączony z pchnięciem.

Kiwając głową z aprobatą, Diego zwinął bicz.

- Może jeszcze dojdiesz do tego, że ludzie będą cię uważali za szermierza.

- Ty miałeś całe lata, żeby się uczyć i szlifować swoje umiejętności, a ja tylko niewiele dni - odrzekł Alejandro, spoglądając na niego.



- Przestań wyszukiwać sobie wymówki.  
- Wcale tego nie robię. Mówię tylko o faktach.  
- To, co mówisz, nie ma większego znaczenia - rzekł Diego, wskazując na stojak z bronią. - Wybierz sobie broń.

Zaciskając usta, Alejandro zbliżył się do stojaka. Wybrawszy jeden z floretów, wy dobył go z pochwy i począł raz po raz przecinać nim powietrze.

Diego najpierw przyglądał mu się przez chwilę, a potem niczym sztukmistrz wysunął przed siebie ręce, w których trzymał srebrną łyżkę i kartkę pergaminu. Zaintrygowany Alejandro ściągnął brwi i opuścił ostrze broni.

- Znalazłem to pośród rzeczy, które podebrałeś temu donowi na rynku. Tu jest zaproszenie na bankiet, na którym Montero podejmuje caballeros z całej Nowej Kalifornii - oznajmił, podnosząc pergamin. - Podejrzewam, że chodzi o coś więcej niż jakaś tertulia czy fandango. Chyba ma to związek z jego planami, więc ty, Alejandro, będziesz miał zaszczyt uczestniczyć w tym bankiecie. Jako szpieg.

Alejandro pokręcił gwałtownie głową.

- Skoro nie mogę uchodzić za Zorro, to dlaczego myślisz, że mógłbym uchodzić za arystokratę?

- Dlatego, że zamierzam wpoić w ciebie coś, co jest jeszcze trudniejsze niż mistrzostwo we władaniu szpadą, a mianowicie urok osobisty.

Wyprostował się, podnosząc podbródek, jakby pozował do portretu.

- Urok, Alejandro, jest kluczem do świata Montero i jemu podobnych. Maniery, umiejętności towarzyskie, wyrafinowanie - oto prawdziwy majątek *gente de razón*. Tak samo jest w przypadku Montero, ale on ma jeszcze córkę.

- Ach, to jest prawdziwa piękność. Diego odwrócił gwałtownie głowę.

- Skąd to wiesz?

- Spotkałem ją - wyjaśnił spokojnie Alejandro. - Kiedy się ukryłem w

konfesjonale.

Diego odwrócił od niego wzrok.

- Ona jest najpiękniejszą istotą, jaką stworzył Bóg.

- Chciałbyś ją mieć, don Diego? - zapytał Alejandro, przechylając głowę.

- Jak możesz myśleć o mnie coś takiego, łajdaku?! - zawołał Diego, czerwieniejąc na twarzy. - Cenię jej piękno tak, jakbym... - Przerwał, szukając odpowiedniego porównania. - Jakbym cenił obraz Goi czy Velazqueza.

Alejandro miał na tyle rozsądku, by nie kontynuować tego tematu.

- Przepraszam. Nie zrozumiałem, co masz na myśli. Diego odprężył się i skinął głową.

- Musimy przekonać Montero i całą resztę, że jesteś kawalerem szlacheckiego pochodzenia, może świeżym przybyszem z Hiszpanii.

- Ale ja nie znam Hiszpanii, don Diego.

- No dobrze, więc z Meksyku. Znasz Meksyk, prawda?

- Aż na południe do Oaxaka - odparł Alejandro z uśmiechem.

- Więc zajmiemy się tym. Jeżeli uda nam się przekonać Montero, że jesteś całkowicie nieszkodliwy...

- Nieszkodliwy?

- Tak, że nie jesteś nikim więcej, jak tylko dandysem...

- Mam udawać dandysa? - zapytał Alejandro, otwierając szeroko oczy.

- Postaraj się myśleć o czymś więcej niż tylko o sobie samym - odparł twardo Diego. - Jeżeli Montero będzie widział w tobie chociaż najmniejsze zagrożenie dla swojego przedsięwzięcia, będzie cię trzymał z dala od niego. A z drugiej strony, jeżeli uzna, że nie ma się czego bać, wprowadzając cię w swoje zamiary, albo że nawet możesz dodać jego działaniom pewnego dostojeństwa, to może po prostu zaprosić cię do kręgu wtajemniczonych - wyjaśnił, nie odrywając wzroku od Alejandro. - Wtedy będziemy wiedzieli na pewno, co on

planuje dla ludu Kalifornii. - Alejandro sięgnął z niechęcią po łyżkę i obrócił ją w rękę, jakby było to coś dziwnego i zastanawiającego. - To też może wymagać wiele pracy - rzekł Diego, kręcąc głową.

## 13

### *Fandango u Montero*

Niczym Sancho Pansa podążający za Don Kichotem, w którego wcielił się Alejandro, Diego zsiadł z osła, aby pomóc swojemu panu zejść z jego rumaka. Czarny dziki andaluzyjczyk, odmieniony przez ozdobne siodło i uprząż, które kiedyś należały do jego imiennika, Tornado, dał się odprowadzić przez jednego z koniuszych Montero.

Dziedziniec przed wspaniałą hacjendą, przyozdobiony fontanną z rzeźbą lwa, był wypełniony przez dwa tuziny świetnych koni oraz wykwintne powozy i koczki. Niektóre z tych pojazdów przybyły aż z Branchiforte i Yerba Buena i nadal były pokryte kurzem z Camino Real. Goście: *empresarios\**, *ganaderos\** i *corregidores\**, ubrani byli w odprasowane marszczone koszule, sięgające pasa uroczyste surduty, szerokie sztywne pasy i podbijane jedwabiem kapelusze ze złożonymi opaskami. Kobiety, wychodzące z wyściełanych miękko powozów, nosiły piękne jedwabne lub perkalowe suknie o krótkich rękawach, buty z koziej skóry i kolorowe przepaski. Kunsztownie wykonane naszyjniki ze srebra i złota dopełniały ich strojów, a niektóre z nich miały wplecione we włosy wysokie grzebienie.

\* *Empresarios* - przedsiębiorcy, *ganaderos* - hodowcy, *corregidores* - sprawujący władzę sądową.

Uświadamiając sobie, że ma przed oczyma całe bogactwo i władzę Nowej Kalifornii - już słyszał, że wśród gości jest gubernator generalny - Diego nie mógł opędzić się od wspomnień o przeszłości rodziny de la Vegów ani też od myśli o planach, jakie przedstawiał Esperanza w ich ostatni wspólny wieczór.

Wystrojony w nigdy nie starzejący się strój caballero, który kiedyś należał do Diego: aksamitne pantalone, czerwony pas i głęboko niebieski aksamitny surdut, Alejandro nie wyróżniał się z tłumu, jeśli ktoś nie dostrzegł, że ma nieco zbyt szeroko otwarte oczy, a jego przesłonięta wąsem górna warga pokryta jest kropelkami potu.

- To jest naprawdę najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem - powiedział do Diego, osłaniając usta jedwabną chusteczką.

- Wątpię w to - odparł Diego bardziej do siebie niż do swego towarzysza.

- Nie ujdzie to nam na sucho.

- Ujdzie - odparł Diego, strzepując pyłek z surduta swego ucznia i pochylając się blisko niego. - Arystokrata nie jest nikim więcej, jak tylko człowiekiem, który mówi jedno, kiedy myśli co innego. „Jak przyjemnie byłoby cię ujrzeć” - rzekł wyniosłym tonem i dodał: - Tak mówi arystokrata, kiedy myśli: „W trumnie”.

Alejandro skinął niepewnie głową.

- Ale co z tobą? Co będzie, jeśli Montero cię rozpozna?

Diego roześmiał się krótko.

- Nie rozpozna, ponieważ nigdy nie pozwoli sobie na to, by go przyłapać na tym, że patrzy słudze w oczy.

Alejandro westchnął głęboko.

- Mam nagłe przeczucie...

- Przygody? - przerwał mu Diego.

Alejandro potrząsnął głową.

- Nieuniknionej zguby - dokończył.

Diego poprawił ułożenie surduta swego ucznia.

- Powodzenia! A przede wszystkim pamiętaj, żebyś nie spuszczał donów z oka.

Przeszli razem w kierunku potężnych, łukowato sklepionych drzwi hacjendy, gdzie służący spojrział na podrobione zaproszenie i zapowiedział ich osobom już zebranym w foyer:

- Don Alejandro del Castillo y Garcia.

Sam Montero obrócił się, słysząc ten anons, i popatrzył na Alejandro, kiedy ten wszedł i zbliżył się ku niemu, uginając jedną nogę i pochylając głowę w pozdrowieniu.

- Och, nie widziałem tego od lat - rzekł przyjemnie zaskoczony Montero.

- Formalne pozdrowienie dworu hiszpańskiego.

Montero, wokół którego stali hacendados\* i rancheros\* z Los Angeles, ubrany był w krótkie bryczesy, białe pończochy, bogato zdobioną kamizelę i skórzane buty importowane z Massachusetts. Zanim odpowiedział, Alejandro zerknął na Diego z ukosa.

\* *Hacendados* - właściciele ziemscy, *rancheros* - farmerzy, osadnicy.

- Mój ojciec był bardzo rygorystyczny w sprawach etykiety.

- A kimże jest twój ojciec, młody człowieku? - zapytał Montero, unosząc brew.

- Był, Wasza Ekscelencjo, Bartolo del Castillo.

Montero uniósł również drugą brew.

- Słyszałem oczywiście o don Bartolo, ale nigdy nie miałem przyjemno-

ści go spotkać.

Z wystudiowaną arogancją Alejandro wysunął dłoń do Diego, który umieścił w niej dokument nadania ziemi wydobyty z kieszeni surduta.

- To mój sługa, Bernardo - oznajmił Alejandro. - Mówiąc krótko, don Montero, właśnie przybyłem z Mexico City, jadąc przez Mazatlan i Ensenada, żeby obejrzeć nasze rodzinne posiadłości na północy, i poradzono mi, bym cię odwiedził.

- A dlaczego to?

- Cóż, moja matka jest dość blisko spokrewniona z królową Izabelą, a Jej Królewska Wysokość, która dobrze zna historię, mówiła z szacunkiem o pańskiej pracy tutaj przed laty.

- Och tak? - powiedział Montero, wyraźnie zaskoczony. - Mógłbym sądzić, że moje ostatnie kontakty z prezydentem Santa Anną pozbawiły mnie życzliwości ze strony hiszpańskiej korony.

- Mogę zapewnić pana, że tak nie jest. Meksyk mimo wszystko jest nadal potomkiem Hiszpanii. A mówiono mi, że w szczególności Nowa Kalifornia nadal pozostaje krajem wielkiej szansy dla ludzi z wizją.

Montero pogłaskał się po brodzie.

- A ty uważasz siebie za człowieka z wizją, don Alejandro?

- Powiedzmy: za człowieka, który poszukuje wizji.

Montero uśmiechnął się i skinął głową.

- Muszę jeszcze przeprosić pana za niespodziewane przybycie - powiedział Alejandro pośpiesznie. - Być może mógłbym przyjechać innym razem, kiedy nie będę przeszkadzał w przyjęciu.

- Proszę się tym nie martwić. Będę się czuł zaszczycony, jeżeli pan do nas dołączy.

- To ja jestem zaszczycony, señor - odparł Alejandro, pochylając głowę w

ukłonie.

Montero dał ręką znak Elenie, by postąpiła krok do przodu.

- Chciałbym przedstawić panu moją córkę, Elenę. Eleno, to jest don Alejandro del Castillo y Garcia.

Alejandro spojrział wprost w oczy Eleny i pochylił się, by pocałować jej dłoń.

- Jestem oczarowany. Niestety, nie mam prezentu dla gospodyni... Ach, chwileczkę. - Zaskakując nawet samego Diego, wykonał prostą sztuczkę, której Joaquin nauczył go przed laty, i nie wiadomo skąd wydobył różę. - Z braku pełnego bukietu musi wystarczyć pojedynczy kwiat. To dla pani, piękna señorito.

Elena podziękowała mu, przyjmując kwiat z wesołym zainteresowaniem. Świadom taksującego spojrzenia Montero, Alejandro skłonił się lekko i ruszył ku wewnętrznemu dziedzińcowi.

- Chodź, Bernardo - rzucił ostro przez ramię. - I nie wlecz się tak.

Nie wybiła jeszcze ósma wieczorem, gdy przyjęcie było już w pełnym toku. Słudzy roznoszący tace z jedzeniem i napojami lawirowali pomiędzy oświetlonymi przez świece stolikami, podczas gdy orkiestra złożona ze skrzypiec, gitar, puzonów i trąbek grała wesołe melodie. Na tyłach dziedzińca znajdowała się wyniesiona brukowana platforma, na której eleganckie pary poruszały się sztywno w staroświeckich tańcach. Kwiatowe kompozycje, zwieszające się z otaczających dziedziniec kolumn, przepelniały powietrze swym aromatem.

Alejandro siedział przy stole pomiędzy bogatymi donami i ich żonami, którzy przybyli z Santa Ines, San Luiz Rey i San Carlos.

- Bernardo, przynieś mi jeszcze szampana! - zawołał. - Dobry szampan powinien mieć w sobie coś, co bym określił jako lodowaty ogień, nieprawdaż?

- dodał, zwracając się do siedzących obok osób.

Diego zeszywniał nieco, ale wykonał polecenie. Za wiele kielichów importowanego, chłodzonego w śniegu szampana rozluźniło język Alejandro i sprawiło, że stawał się większym głupcem niż dandys, jakiego miał odgrywać. Diego był zadowolony, że jego uczeń dotarł już tak daleko, ale cicho napominał go, kiedy dopełniał mu kielich musującym winem.

- Przeciągasz strunę. „Lodowaty ogień” - powtórzył z ironią jego słowa. - Zapanuj nad swoim przedstawieniem, zanim spadniesz ze sceny. I uważaj, jak trzymasz kielich, jeśli chcesz, żeby ci się udało.

Alejandro odchylił się nonszalancko na krześle.

- Muszę powiedzieć, że wolę cię jako sługę. Tak, służba wydobywa z ciebie twoje dobre strony - powiedział bełkotliwie.

Kipiąc w duchu z gniewu, Diego już miał odpowiedzieć, kiedy obydwoj zobaczyli nadchodzącą Elenę. Diego zaryzykował przelotne spojrzenie na nią i się odsunął.

- Don Alejandro, mój ojciec i ja chcielibyśmy, by dołączył pan do nas przy stole.

Alejandro podniósł się nieco chwiejnie, ale jednak zdołał ją wziąć pod rękę.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, señorita.

Diego odprowadził ich wzrokiem, a potem, wzięwszy tacę z kielichami na wino, opuścił dziedziniec i zagłębił się we wschodnim skrzydle hacjendy.

Ku niezadowoleniu samego gospodarza przyjęcia uprzejma konwersacja, jaka toczyła się przy jego stole, niespodziewanie przerodziła się w rozmowę o ostatnim napadzie na cuartel i znany wszystkim znak, który, jak niosła plotka, został wycięty w ścianie.

- Możecie mi wierzyć - mówił don Hector - Zorro nie jest dla nas żadnym



kłopotem, nawet jeśli to ten sam człowiek, który terroryzował tę krainę dwadzieścia lat temu. Jestem gotów pójść o zakład, że jest zbyt stary, aby usiedzieć w siodle za jednym razem dłużej niż godzinę.

- Jeśli, jak mówisz, jest tym samym człowiekiem, to teraz byłby w moim wieku - odparł Montero z krzywą miną.

- Ale... - don Hector zawahał się, usiłując znaleźć odpowiednie słowa - mówią, że bandyci starzeją się szybciej niż bogaci i szlachetnie urodzeni ludzie.

Montero zmusił się do śmiechu i klepnął swego rozmówcę w plecy, dając przykład innym donom, by się też roześmiali. Już zbadał, czy don Diego mógł w jakiś sposób wrócić do Los Angeles. Nadzorca w Talamantes przesłał mu wiadomość, że strażnicy stłumili bunt więźniów, chociaż jeden strażnik został zabity i zauważono brak jednego skazańca. W więzieniu nie było żadnego dokumentu zawierającego jego nazwisko, jednak wiadomo było, że inni więźniowie mówili o nim El Silencioso, czyli Milczący.

Kiedy Elena z młodym dandysem z Kastylii przybyli do stołu, goście jeszcze powtarzali między sobą słowa don Hectora na temat bandytów. Montero powstał i przedstawił przybysza wszystkim członkom swej najbliższej kompanii.

- A to jest kapitan Harrison Love - rzekł, kończąc prezentację. - Co prawda to nie caballero, ale jest człowiekiem pokrewnego ducha.

Alejandro wysunął miękko dłoń w kierunku Teksańczyka.

- Kapitanie Love - powiedział, jakby sobie coś przypominając. - Czyż nie jest pan tym samym Harrisonem Love'em, o którym mówią, że stawił czoło legendarnemu bandycie?

- Nadal go ścigam - odparł Love, rumieniąc się nieco na swej kamiennej twarzy. - Chociaż nie powiedziałbym, że on jest legendarny, don Alejandro.

Alejandro zrobił zaskoczoną minę.

- Doprawdy? Więc przy odrobinie szczęścia nie będzie pan potrzebował aż tylu strzałów, by go dopaść, ilu potrzebował pan w konfesjonale.

Wstrzymywany śmiech przeleciał wokół stołu. Nawet Montero nie potrafił powstrzymać wesołości, widząc, jak zakłopotanie Teksańczyka zamienia się w zazdrość, kiedy Alejandro przysunął krzesło dla Eleny.

- Poza tym nikt nie wie na pewno, czy to ten sam człowiek - wyrzucił z siebie Love. - Każdy może założyć sobie jedwabną przepaskę na głowę i udawać, że jest Lisem. Maski nigdy się nie starzeje.

- Ach, to tylko jeszcze bardziej komplikuje problem, gdyż maski nie da się zabić - odparł Alejandro.

Montero skinął ponuro głową.

- Dobrze powiedziane, don Alejandro. Dobrze powiedziane.

Diego szedł przez rozległą casa mayor Montero, mijając mosiężne wazonny, donice z kwiatami, fortepian, złożone posągi z Guadalajary i dębowe meble ze Stanów Zjednoczonych. Dzięki strojowi sługi i niesionej tacy z kielichami nie zwracano na niego uwagi, więc bez przeszkód wydostał się z pełnego ruchu otoczenia dziedzińca i dotarł do skrzydła mieszkalnego. Nie szukał niczego konkretnego, ale po prostu chciał znaleźć coś, co mógłby wykorzystać do zde-maskowania planów Montero, które, jak czuł w głębi ducha, musiały być nikczemne.

Wychodząc zza rogu do szerokiego holu wyłożonego miękkimi perskimi dywanami, zobaczył przed sobą rosnącego umundurowanego strażnika ze starą strzelbą w dłoniach. Fakt, że postawiono straż tak daleko od miejsca zabaw, świadczył o wielkiej wadze zamkniętego pomieszczenia, które znajdowało się za plecami żołnierza.

Trzymając w górze tacę, Diego bez wahania ruszył w jego kierunku. Mi-

jając strażnika, dostrzegł na wprost niego otwarte drzwi, ale, nie zatrzymywany, szedł dalej, by w końcu wejść w otwarte drzwi kolejnego salonu. Wrócił do poprzedniego pokoju przez łączące obydwa pomieszczenia przejście, postawił tacę na podłodze i po cichu uchylił drzwi wyjściowe. Tak jak przypuszczał, zobaczył teraz cały korytarz i stojącego na jego końcu strażnika. Nie tracąc czasu na żadne subtelne sztuczki, chwycił z tacy kielich i cisnął nim o podłogę. Strażnik rozejrzał się i pośpieszył do pokoju, wcale nie podejrzewając, że ktoś może się tam na niego czaić. Gdy się nachylił, by przyjrzeć się rozbitemu kielichowi, Diego wynurzył się z cienia za kominkiem i uderzył go mocno w głowę żelaznym pogrzebaczem. Strażnik upadł nieprzytomny na podłogę. Diego odebrał mu pęk kluczy, przypominając sobie ucieczkę z Talamantes i dziękując Bogu za to, że nadal nie opuszcza go szczęście.

Pośpiesznie i cicho przeszedł przez korytarz do zamkniętych drzwi i otworzywszy je, wszedł do środka.

## Rywale

Alejandro z rosnącym niepokojem przyglądał się swojej zastawie. Miał przed sobą oszłamiającą masę sztućców, wśród których było pół tuzina łyżek, prawie tyle samo widelców i kilka dziwnie uformowanych noży, których dokładnego przeznaczenia nie potrafił sobie wyobrazić. Do tej pory zdążył już wziąć miseczkę do mycia rąk za miskę do zupy. Na szczęście większość z donów było zbyt zaangażowanych w rozmowy między sobą, żeby dostrzec jego błąd, a Elena rozmawiała z kapitanem Love'em.

Zerkał na Montero, by odkryć, do czego służą poszczególne elementy zastawy, kiedy zobaczył, że ten szepcze coś do ucha donowi Luizowi. Kiedy Luiz wziął od niego klucz i odszedł od stołu, Alejandro począł się rozglądać zmartwiony, usiłując wypatrzeć Diego, jednak poczuwszy na sobie wzrok Montero, przybrał na powrót nonszalancką pozę.

- Kapitan Love jest bardzo interesującym człowiekiem, don Montero - rzekł, kiedy słudzy zaczęli ustawiać na stole półmiski z wołowiną, wieprzowiną, dziczyzną i paellą. - Gdzież go pan znalazł?

- Spotkaliśmy się po raz pierwszy w Madrycie, gdzie kapitan był najemnikiem w służbie Hiszpanii w wojnie przeciwko Francji w Maroku. Potem spotkaliśmy się znowu w Mexico City. Kapitan walczył uprzednio u boku Samuela Houstona o niepodległość Teksasu. Znowu wywarł na mnie wielkie wrażenie jako żołnierz i dowódca. Więc kiedy Kalifornia będzie niepodległa, to on będzie dowodził moją armią.

- Niepodległa? - powiedział Alejandro. - Nic o tym nie słyszałem.

- Nie usłyszysz pan już tego poza tym domem. Ale tak jest: moim celem jest, by ten kraj stał się suwerenną republiką.

- Z kapitanem Love'em w roli jej generała? - powiedział Alejandro ostrzejszym tonem, niż zamierzał. - Czy w pewien sposób on nie jest zbyt niskiego pochodzenia dla tak wyrafinowanej młodej kobiety?

- Co masz na myśli, don Alejandro?

- No cóż, tylko to, że wygląda na to, iż on i pańska córka są w sobie zadurzeni. Mógłbym pomyśleć...

- Kapitan Love może być zadurzony, ale Elena to całkiem co innego. Zapewniam pana, że wyjdzie za mąż za odpowiedniego człowieka.

- Czyżby miał pan na myśli jakiegoś szlachetnie urodzonego Hiszpana? Montero spojrzał na niego, mrużąc lekko oczy.

- To tylko kwestia znalezienia odpowiedniego kandydata - rzekł i zawiesił na chwilę głos. - Czyżby słyszał pan o takim człowieku?

- Ośmielam się zauważyć, że musi być ktoś taki na tym przyjęciu - odparł Alejandro z wystudiowaną obojętnością.

Diego stał w bogato przystrojonym pokoju o łukowatym sklepieniu, który najwyraźniej był prywatnym gabinetem Montero, i patrzył w bolesnym zadziwieniu na portret Esperanzy, wiszący na ścianie za biurkiem. Sądząc z wieku portretowanej, obraz musiał być wykonany w okresie, kiedy Diego przebywał w Hiszpanii. Gdy nie mógł już znieść wspomnień, które wywoływał obraz, odwrócił się, by zbadać resztę pokoju. Jedynym przedmiotem, który go zainteresował, był zamknięty na kłódkę i okuty żelazem podróżny kufer stojący pod zewnętrzną ścianą.

Podszedł do kufra, pociągnął za kłódkę i zastygł w bezruchu, kiedy usłyszał odgłosy kroków z korytarza. Zanim otworzyły się ogromne dębowe drzwi, Diego zdążył się ukryć za wielkim fotelem. Do gabinetu wszedł główny plecznik Montero, don Luiz, który skierował się wprost do kufra. Otworzywszy go, uniósł pokrywę i zaczął przerzucać zawartość, aż wydobył z niego

niewielkie emaliowane pudełko. Następnie zamknął na powrót kufer i wyszedł z gabinetu. Diego odczekał nieco i podążył za nim.

- Kim tak naprawdę jest ten Zorro? - rzucił Alejandro. - Kiedy po raz pierwszy usłyszałem to imię, sądziłem, że wszyscy rozmawiają o polowaniu na lisy. Nigdy tego nie lubiłem, te wszystkie hałaśliwe psy.

- To anarchista, który sobie wyobraża, że jest Robin Hoodem - odparł don Hector. - Bandyta tak przebiegły, że oszukał nawet tych ludzi, którzy widzieli w nim swego obrońcę. Teraz zostawieni sami sobie przez Santa Annę peoni śnią, że Zorro powrócił, kiedy słyszą o każdym amatorskim akcie bandytyzmu.

- Dlaczego ludzie tak go popierali, jeśli nie był nikim więcej, jak tylko bandytą? - zwróciła się Elena do ojca. - Niektórzy z mieszkańców miasta, nawet z naszych sług, zdają się cieszyć z perspektywy jego powrotu.

- Zwolnię ich natychmiast - warknął Montero, wywołując spontaniczny śmiech donów.

- On nie jest żadnym obrońcą ludu, señorita - rzekł Love, spoglądając na Montero i Elenę. - Większość opowieści, które się o nim słyszy, trzeba włożyć między bajki. Ale czego można się spodziewać po niewykształconych robotnikach i Indianach?

Generalny gubernator, przysadzisty mężczyzna z długą brodą, odchrząknął znacząco.

- Ja zawsze uważałem, że ci, co rządzą, muszą stać ponad ludźmi, którymi kierują, oczywiście po to, żeby móc określić, co jest dla nich najlepsze.

- Oczywiście - powtórzyła Elena z wyraźnym sarkazmem. - Ale spodziewam się, że dopóki lud nie będzie miał możliwości rządzenia sam sobą, na niejednej ścianie zobaczymy wycięty znak „Z”. A co pan sądzi, don Alejandro? - zwróciła się niespodziewanie do niego.

Zdecydowany odgrywać rolę, jaką przypisał mu Diego, Alejandro prze-

tarł delikatnie usta serwetką.

- Zgadzam się z gubernatorem: owce wymagają pasterza, a na pewno nie przywódcy bandy. Maska Zorro i jego sombrero zapewne skrywają łysą głowę i brzydkie rysy twarzy.

Donowie powitali odpowiedź Alejandro śmiechem, ale Elena nie miała ochoty poprzestać na słuchaniu dowcipnych uwag.

- Jestem pewna, że są ludzie, którzy uważają go za bohatera.

- Bohaterstwo jest jedynie romantyczną iluzją - odrzekł Alejandro, wykonując ręką lekceważący gest.

- Czyż nie jest to bardzo podobne do szlactwa? - nie ustępowała Elena.

- Eleno! - napomniał ją ostrym głosem Montero.

- Bohaterstwo nie zawsze musi być szlachetne - wtrącił Love, wspomagając swego pana.

- Oto słowa prawdziwego żołnierza - mruknął Alejandro. - Cały ten pot, szcęk szabel, strzelanina, konie... To wszystko wystarczy, by każdy szlachetnie urodzony człowiek doznał okropnego bólu głowy.

Elena spojrzała na niego gniewnie.

- A co jest właściwym zajęciem dla szlachetnie urodzonego?! Wchodzenie do powozu i wychodzenie z niego?!

Alejandro westchnął głośno.

- Nie, droga señorito. Właściwym jego zajęciem jest powiększanie swoich włości po to, by zapewnić komfortowe życie takim młodym damom jak pani.

Elena odwróciła się od niego z odrazą, podczas gdy Montero obdarzył Alejandro pełnym akceptacji uśmiechem.

- Niestety nasz poziom życia jest zagrożony przez bandytyzm - ciągnął

Alejandro. - Sam byłem blisko wielu znanych bandytów. I proszę pozwolić mi zauważyć, że jeśli oni nie złączą się bać naszej wspólnej siły, nastanie anarchia.

- Jestem pewna, że muszą się bardzo pana obawiać, don Alejandro - odparła Elena, wzdychając z irytacją.

- Ale on mówi prawdę - odezwał się jeden z donów. - Zaledwie parę dni temu zostałem okradziony na rynku przez kieszonkowca.

Alejandro spojrział na mówiącego, rozpoznając w nim tego samego caballero, którego uratował przed kopytami szalejącego Tornado.

- Wstrząsające - powiedział szybko, udając oburzenie. - Cóż za istota zniżyłaby się do takiego czynu?

- Może ktoś, kto jest głodny - odparła Elena i zacisnęła usta.

- Och, jeżeli chodzi o głód, to nie mogę się wypowiadać - rzekł Alejandro. - Ale, señorita, pani też nie może tego zrobić.

Montero roześmiał się, a Elenę oblał rumieniec.

- Oto kobiece podejście do polityki - rzekł Montero. - Cóż jeszcze można dodać?

Wokół stołu zapadła niezręczna cisza, którą dopiero po chwili przerwał głos kapitana Love'a.

- Hej, przecież to jest przyjęcie, prawda? - Odsunął krzesło i skłonił się sztywno przed Eleną. - Czy mogę prosić o zaszczyt wspólnego tańca?

Kierowana poczuciem etykiety, Elena spojrzała na ojca, czy wyraża pozwolenie. Widząc, że skinął głową, przyjęła rękę Teksasńczyka i przeszła z nim na miejsce wyznaczone do tańca.

Elena uznała, że nie ma nic do stracenia, flirtując z kapitanem Love'em. Był szorstki i nieco nieokrzesany, ale wyraźnie było widać, że czuje do niej pociąg, a poza tym nie mogła odmówić mu pewnych umiejętności, czy to cho-



dziło o broń, czy o konie. Wiedziała, że jej ojciec nie zaakceptowałby podobnego związku, ale w jej oczach Love był lepszy niż taki dandys jak don Alejandro ze swą wonną chusteczką i wyniosłą pewnością siebie. Gdyby tylko nie był tak przystojny, mogłaby natychmiast przestać o nim myśleć. Ale te ciemne oczy i gracia całej sylwetki... A przecież był też Zorro, a przynajmniej ten człowiek, który zajął jego miejsce. To znaczy wtedy, kiedy akurat nie udawał zakonnika.

Nadal rumieniła się na wspomnienie szeptanej rozmowy w konfesjonale. Ale jakie miała szanse, by znowu go spotkać?

I jaki człowiek mógł się ukrywać za tą jedwabną przepaską? Jakiś awanturnik czy vaquero? Słudzy twierdzili, że prawdziwy Zorro był szlachcicem, ale czy to samo odnosiło się również do jego następcy?!

Przesunęła wzrokiem po dziedzińcu, kiedy Love prowadził ją do tańca. Czy jeden z ludzi, których zaprosił ojciec, mógł być zdrajcą jego sprawy?! A poza tym jaka to była sprawa?! Z tego, co wszyscy mówili, wynikało, że ten Zorro, który się zakradł do cuartelu, przyszedł tam po to, by ukraść konia!

A może koń to tylko początek?! To wszystko było tak zagmatwane.

Orkiestra zaczęła grać i Love poprowadził ją do walca sprawnie, choć nie do końca zgodnie z jego zasadami. Był równie sztywny w tańcu jak podczas konwersacji, jednak starała się tym nie zniechęcać. Tańczyła w ramionach dziesiątków mężczyzn w Hiszpanii, Meksyku i Argentynie i wiedziała, jak uczynić się pociągającą za pomocą uśmiechu, spojrzenia czy odsłoniętego ramienia położonego na barku partnera...

W pewnym momencie dojrzała ponad ramieniem Teksańczyka, że don Alejandro stoi w pobliżu, przypatrując się jej z autentycznym zainteresowaniem. Oblała się rumieńcem, zapominając nagle o swej precyzyjnej strategii.

- Nie ma pan niczego innego do roboty, jak tylko się gapić?! - zapytała

obcesowo.

Zaskoczony Love obrócił się i spojrział z irytacją na Alejandro, którego już uznał za swego rywala.

- Szuka pan czegoś? - zapytał.

Alejandro wzruszył ramionami.

- Cudu w szarym życiu.

Love stanął, zajmując wyzywającą pozę.

- Jeśli tak, to niech pan idzie szukać go gdzie indziej. Próbujemy z Eleną tańczyć.

- To pan próbuje, kapitanie, bo jej się to udaje - powiedział Alejandro i od razu się skłonił z przepaszającym uśmiechem. - Proszę mi wybaczyć, że pozwoliłem sobie na niewybredny żart pod pana adresem, chociaż mam nadzieję, że to nie będzie ostatni taki przypadek - rzekł i zanim Love zdążył odpowiedzieć, dodał: - Don Montero pragnie z panem rozmawiać.

Love zamrugał oczami w konfuzji, skłonił się przed Eleną i niechętnie odszedł, zostawiając ich dwoje zapatrzonych w siebie. Po chwili Alejandro rozłożył ramiona w eleganckim geście zaproszenia i Elena ruszyła z nim do tańca.

Diego powrócił ze swego krótkiego rekonesansu akurat w porę, by ujrzeć zakończenie płynnego, niemal zmysłowego walca Alejandro i Eleny. Poczul targające nim sprzeczne uczucia, ale nie miał dość czasu, aby o nich pomyśleć, gdyż zobaczył Montero i donów wstających od stołu i przygotowujących się do wejścia do wnętrza domu. Ich poważne twarze i przyciszone rozmowy świadczyły wyraźnie, że ma nastąpić ważne spotkanie, a tymczasem jego szpieg, don Alejandro, płaśwał w tańcu. Gdy uprzejme brawa dla tancerzy zaczęły już przysycać, Diego stanął tak, by Alejandro go dojrzał, i dyskretnym skinieniem głowy wskazał na odchodzących donów. Jego mina wyrażała ostre przynaglenie.

Alejandro zareagował szybko, chociaż nie w ten sposób, jakiego oczekiwał Diego.

- Proszę, zagrajcie jarabe tapatio! - zawołał do orkiestry.

Tancerze wracający do stolików zatrzymali się, a muzycy uśmiechnęli się, pełni zapału, i zagrali żywą melodię o nazwie *El Sombrero Blanco*, która, jak mówiono, była najmodniejszym tańcem w Mexico City.

- Czy czuje się pani na siłach, aby spróbować zatańczyć coś bardziej żywego? - zwrócił się Alejandro do Eleny.

Elena przechyliła głowę i uśmiechnęła się życzliwie.

- Moim jedynym zmartwieniem jest pańska niechęć do wysiłku, don Alejandro, ale jeżeli pan czuje się na siłach, to ja z pewnością tak.

Na początku tańca Elena stanęła w niemal bojowej pozycji, a Alejandro, położywszy dłonie na klapach swego krótkiego surduta, zaczął krążyć wokół niej jak tancerz flamenco, wybijając przy tym rytm podkówkami butów o bruk. Pompatyczny caballero przerodził się w zalotnego koguta tak niespodziewanie, że to ją porwało. Ich ruchy stawały się coraz śmielsze, więc inne pary zaczęły usuwać się na boki, by dać im więcej miejsca na szalone obroty. Był to taniec uwodzenia i opierania się, zalotów i odrzucania, jak godowy rytuał. Elena nie przypominała wcale dziewczyny z prowincji tańczącej fandango z utkwionym w podłodze wzrokiem i z unieruchomionymi pod długą suknią stopami. Kokieteryjnie i śmiało patrzyła wprost w oczy krążącego wokół niej Alejandro. Stojący wokół ludzie klaskali do rytmu i zachęcali okrzykami tancerzy w taki sam sposób, w jaki wołaliby do matadora. Montero i towarzyszący mu donowie zatrzymali się, by zobaczyć, co to za zamieszanie. Twarz Harrisona Love'a wyrażała powstrzymywaną irytację, natomiast Montero wpadł w furję i ruszył gwałtownie ku orkiestrze.

- Ta dziewczyna jest nieokiełznana. Dzika jak jej matka - mruknął pod

nosem.

Słyszając te słowa, Diego poczuł w sercu tak bolesne ukłucie, że nawet nie spostrzegł, iż muzyka nagle zamilkła. Alejandro odstał od Eleny, która z nonszalancją zaczęła porządkować sobie włosy niczym kochanka przyłapana na nocnym rendez-vous.

Ujrawszy śpieszącego ku nim Montero, Alejandro od razu powrócił do swej roli. Jego cała postawa nie wyrażała już młodzieńczej pewności siebie, tylko mdłą poprawność.

- Hm, jeśli obecnie tak się tańczy w Mexico City, to ja już wolę Madryt - powiedział na tyle głośno, aby Montero i Diego go usłyszeli.

Zaskoczona jego nagłą zmianą Elena obróciła się ku niemu, ale Montero już był przy nich.

- Don Montero, ach, przepraszam - powiedział Alejandro, udając zaskoczenie. - Potrzebuję chwili, żeby złapać oddech. Pańska córka jest bardzo żywiołową tancerką.

Montero przeniósł swój gniewny wzrok z Alejandro na Elenę.

- Żywiołową? Muszę pochwalić pana za to, że ujął pan to tak delikatnie.

Oczy Eleny błysnęły gniewem. Odsunęła Alejandro i odeszła akurat wtedy, gdy Diego zbliżył się, by przysłuchać się ich rozmowie. Montero odprowadził ją wzrokiem.

- Przepraszam, jeżeli ona pana obraziła - powiedział.

Alejandro przetarł delikatnie czoło.

- Ależ to całkiem niepotrzebne. Jest młoda i porywcza, ale jej piękno jest niezrównane i ma ona taką samą władcą postawę jak jej ojciec. Byłbym wielce zadowolony, gdybym mógł ją przedstawić na dworze.

- Elena i ja bylibyśmy zaszczytzeni - odparł Montero, przechylając głowę w ukłonie.

- Mówiąc między nami - powiedział Alejandro konspiracyjnym półgłosem - moglibyśmy uczynić z niej gwiazdę Madrytu, Mexico City czy jakiegokolwiek innego miejsca, w którym zechce pan ją formalnie wprowadzić do towarzystwa.

Montero położył dłoń na jego ramieniu.

- À propos wprowadzania, młody człowieku, może zechciałby pan przyłączyć się do nas na moim prywatnym dziedzińcu? Jest coś, czym chciałbym się z panem podzielić.

- Och, cóż to mogłoby być, don Montero? - zapytał zaintrygowany Alejandro.

- Wizja przyszłości.



## *Zdrada ujawniona*

Widoczna w blasku pochodni powierzchnia stołu umieszczonego na prywatnym dziedzińcu Montero przyozdobiona była płaskorzeźbą przedstawiającą wizerunek walczących ze sobą byka i niedźwiedzia. Montero kazał wykonać tę płaskorzeźbę, nie bacząc na jej znaczny koszt, gdyż uważał ten wizerunek za właściwy symbol rodzącego się narodu kalifornijskiego. Na środku stołu leżało emaliowane pudełko, które don Luiz przyniósł z gabinetu.

Niektórzy członkowie zaufanego kręgu Montero już siedzieli przy stole, a inni, w tym Alejandro, nadal stali. Sam Montero zajął miejsce przy długiej zasłonie, co zapowiadało jakąś niespodziankę.

- Caballeros z Nowej Kalifornii - zaczął - przed dwoma dziesięcioleciami Hiszpania uległa żądaniom grupy mieszkańców i przyznała niezależność Meksykowi. Wszyscy z nas jednak dobrze wspominają złote lata, kiedy to my rządaliśmy tym terytorium w imieniu korony i określaliśmy jego los. - Przybrał uroczysty ton. - Moi przyjaciele, nadszedł czas, aby odzyskać to, co było nasze. Daję wam Republikę Kalifornii.

Pociągnął za sznur i zasłona opadła, odsłaniając płócienną mapę Ameryki Północnej, na której zaznaczona była nowa republika ciągnąca się od granicy za Starą Kalifornią na południu aż do terytorium Oregonu na północy i od wschodnich krańców Pacyfiku po Góry Skaliste. Wielu donów przywitało tę mapę uprzejmym, chociaż niejednoznacznym aplauzem, a kilku z nich nawet zmarszczyło brwi.

- Spójrzcie na niebezpieczną sytuację, przed którą stoimy jako Kalifornijczycy - ciągnął Montero. - Każdego dnia przybywa coraz więcej bostończyków i obcych marynarzy, alcalde Los Angeles wydaje coraz nowsze deklaracje

skierowane przeciwko alcalde San Diego i narasta rywalizacja pomiędzy Monterey a tym, co jest nazywane San Francisco. Na południe od nas znajduje się kraj rządzony przez jednonogiego generała, który wojuje z Francją z powodu zniszczeń we francuskiej cukierni, a od wschodu czujemy nacisk ciągle rozszerzających się Stanów Zjednoczonych, które głoszą swą dziejową misję.

- Czy proponuje pan rewolucję? - zapytał don Aquilar z Branchiforte. - Jeżeli tak, to niech pan się dobrze zastanowi nad tym, co się stało w Teksasie. Santa Anna obiecał im autonomię, a potem ruszył na północ z czarną flagą, siejąc śmierć i zniszczenie.

- Może don Montero wyobraża sobie, że jest następnym Samem Houstonem - rzucił don Cota z San Jose.

Montero uniósł rękę.

- Nasza secesja będzie bezkrwawa. Rewolucja i masakry nie są konieczne, ponieważ my kupimy naszą niepodległość.

Don Peralta, ten sam, którego okradł Alejandro, podniósł się . ze swojego miejsca i zaczął przechadzać się wokół stołu.

- Don Montero - powiedział - każdy obecny tutaj zawdzięcza panu coś, co pan zrobił, aby zamienić naszą poprzednią zamożność w wielkie bogactwo. Oczywiście nie omieszkał pan odciąć od tego sporego procentu dla siebie, no, ale tak jest w interesach. Teraz, po dwudziestu latach, wraca pan na terytorium, którym nadal rządzą w głównej mierze z powodu braku jakiegokolwiek przewodnictwa ze strony Santa Anny, i pana pierwszym czynem po zejściu na ląd jest oskarżanie nas o to, że jesteśmy złodziejami.

Niektórzy donowie mruknęli potakująco, ale nie wywarło to żadnego wrażenia na Montero.

- Och, proszę posłuchać, don Peralta, ja tylko grałem na uczuciach peonów. Na pewno zachowałyby się pan tak samo...

- A co pan robi teraz, jeśli nie gra na uczuciach peonów?! - zapytał Peralta zaskakująco zdecydowanym tonem. - Mówi pan o kupieniu Kalifornii od Santa Anny. Mnie osobiście trudno jest uwierzyć, że El Presidente rozstałby się z Kalifornią za jakąkolwiek cenę. On jest nie tylko rozgoryczony tym, co się stało w Teksasie i Nowym Meksyku, ale to z powodu właśnie jego nalegań Kalifornia została rozszerzona do czterdziestego drugiego równoleżnika.

- Zgadza się z panem - odparł Montero, kiwając głową. - Ale w tej chwili Meksyk jest bardzo zadłużony w Anglii i Hiszpanii, a kasa Santa Anny jest pusta. Nawet ta tak zwana wojna o ciastka kosztowała go sześćset tysięcy peso. Wracając zatem do tematu, don Peralta, on już zaakceptował moją ofertę. Prawdę mówiąc, gdy teraz mówię o tym, Santa Anna jest już w drodze do Los Angeles, aby sfinalizować tę transakcję.

Donowie wymienili pomiędzy sobą pełne niedowierzania i niepokoju spojrzenia.

- A czym pan zamierza mu zapłacić? - zapytał don Peralta. - Musi pan zdawać sobie sprawę z tego, że jeśli jakiegokolwiek zobowiązania zostały przyjęte, to z pewnością przekraczają one nasze możliwości, czyli to, co możemy zebrać, nawet gdybyśmy poświęcili wszystko, co mamy. - Przerwał, żeby przydać znaczenia swym słowom. - Pan żyje w świecie fantazji.

Montero w odpowiedzi jedynie się uśmiechnął.

- Bardzo dobrze. Więc może razem będziemy żyli w świecie fantazji?

Podszedł do stołu, otworzył emaliowane pudełko i pokazał wszystkim sztabkę czystego złota ostemplowaną wyraźnie imperialną pieczęcią Hiszpanii.

- Jutro pojedziemy na wycieczkę w góry, gdzie rozwieję wszystkie wasze wątpliwości.

Wszyscy, z wyjątkiem Luiza, potraktowali tę uwagę jako prośbę o zakończenie spotkania. Kiedy inni donowie poczęli odchodzić z dziedzińca, Luiz za-



trzymał się na moment przy mapie.

- Powinieneś był mi powiedzieć, Rafaelu - rzekł, gdy Montero zbliżył się do niego.

- Generał mówi swoim porucznikom akurat tyle, ile powinni wiedzieć.

- Ale sądziłem, że mamy między sobą umowę. Ty dałeś mi ziemię, a ja wydobywałem złoto. Teraz mówisz mi, że muszę zapomnieć o moich dochodach, by pomóc zrealizować twoje marzenia.

- Jesteśmy arystokratami - odparł Montero pogardliwym tonem - a nie kupcami. Pieniądze nigdy nie były moim celem. Zawsze miałem wizję, że to my powinniśmy rządzić tym krajem, tak jak nas do tego zobowiązuje przeznaczenie.

- Znowu przeznaczenie - odparł Luiz, kręcąc głową. - Raczej twoje przeznaczenie, Rafaelu. Ja chciałem po prostu stać się bogaty.

- Czy naprawdę uważasz, że wróciłbym po tylu latach tylko po to, by zrealizować handlową umowę?! - parsknął z irytacją Montero. - Myślałem, że znasz mnie lepiej - dodał i zmieniając wyraz twarzy na łagodniejszy, klepnął Luiza w plecy. - Nie zapomniałem o twojej lojalności, przyjacielu. Kiedy będę rządził Kalifornią, ty będziesz u mego boku.

- Jesteś bardzo szczodry - odparł Luiz, zmuszając się do uśmiechu.

Opuściwszy spotkanie, Alejandro udał się na centralny dziedziniec hacjendy, gdzie przyjęcie zaczynało dobiegać końca, by poszukać Diego, gdy nagle natknął się na Elenę.

- Już pan odjeżdża, don Alejandro? - powiedziała z udawanym zatroskaniem. - Gdybym nie obiecała kapitanowi Love'owi, że poczekam na niego, chętnie bym pana wyprowadziła, och, przepraszam, odprowadziła do drzwi.

Alejandro uśmiechnął się lekko i skłonił głowę.

- Jest pani czarująca do samego końca. Ale nie powinna się pani mną

przejmować. Pani ojciec już mnie zaprosił, abym został na noc.

- Co?! Tutaj?! - wykrztusiła zaskoczona.

- Tak, oczywiście, że tutaj - odparł Alejandro i zaśmiał się krótko.

- Ach, skoro tak, to mam nadzieję, że spodoba się panu pańska kwatery - powiedziała niechętnym tonem.

Alejandro westchnął.

- Jestem pewien, że mi wystarczy - odparł, rozglądając się po dziedzińcu.

- W końcu wiem, że Los Angeles to nie Mexico City.

- Wydawało mi się, że woli pan Madryt, gdzie tańczy się w bardziej wyszukany sposób.

- Ach, ma pani na myśli tę uwagę, jaką wypowiedziałem w obecności pani ojca. Ale czyż nie dostrzegła pani, że tylko żartowałem? - powiedział, kręcąc głową. - Ciągle zapominam, jakie jest życie na prowincji. Ale może pozwoliłaby mi pani to nieco naprawić. Co powiedziałaby pani na serenadę pod jej balkonem?

- Czy pan śpiewa, don Alejandro? - zapytała zaskoczona Elena.

- Ja? Oczywiście, że nie. Ale mógłbym wysłać mojego służącego, Bernardo, żeby zaśpiewał i zagrał dla pani.

Elena posłała mu gniewne spojrzenie.

- Och, koniecznie. Wyślę na balkon moją pokojówkę. Ona bardzo lubi muzykę.

- A gdzież pani wtedy będzie?

- Tak daleko od pana, jak jest to możliwe w tym domu. Alejandro rozłożył bezradnie ramiona.

- Niech pani robi, co musi, skoro nie ufa pani sama sobie na tyle, aby być blisko mnie.

Elena otworzyła szeroko oczy.

- Nie ufam sobie?! To pan jest osobą, której nie można ufać, don Alejandro. W jednej chwili jest pan uprzejmym caballero, a w następnej jest pan...

- Tak?

Elena przełknęła głośno ślinę.

- Powiem po prostu, pan jest jak kameleon. Alejandro uśmiechnął się do niej łobuzersko.

- Rzeczywiście doceniam zalety dobrego przebrania, jeżeli to właśnie ma pani na myśli, señorita.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - zapytała, wpatrując się w niego.

- Tylko to, że często jesteśmy zmuszani przez okoliczności, aby odgrywać pewne role - odparł, wzruszając ramionami. - Pani, na przykład, jest znakomicie wykształcona w odgrywaniu roli dobrze ułożonej młodej damy, jednak podejrzewam, że lepiej się pani czuje w stroju do jazdy konnej niż w jedwabnych sukniach.

Elena odwróciła od niego wzrok.

- Nie rozumiem, dlaczego tak pan uważa.

- Nie? Więc powiem to pani. Widzę to w pani oczach. Jest pani inna niż pani ojciec.

- On nie byłby zadowolony, gdyby usłyszał pańskie słowa - oznajmiła, podnosząc na niego wzrok.

- A czy on musi to usłyszeć? - zapytał Alejandro, uśmiechając się.

- Czy więc chciałby pan, bym to przed nim skrywała?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale mam na myśli coś jeszcze: mam nadzieję, że ja także mogę kiedyś stać się wartą pani zaufania.

- Dobranoc, don Alejandro - rzekła Elena, a na jej twarzy ukazał się cień uśmiechu.

- Dobranoc pani, señorita - odparł Alejandro, skłaniając głowę.

- Lepiej by było, żeby ta jazda była tego warta - powiedział don Peralta wczesnym rankiem następnego dnia. - Tak mnie boli zadek, jakby należał do batożonego muła.

- To bardzo interesujące - odezwał się don Julio, coraz bardziej zniecierpliwiony ciągłymi narzekaniami don Peralty. - Parę dni temu zauważyłem w łaźni parowej, że pana zadek rzeczywiście przypomina zad batożonego muła.

Skrzywiwszy się, Peralta zignorował wywołany tymi słowami śmiech donów i popukał w płótno przesłaniające okno powozu.

- Montero nawet nam nie wierzy.

- A czy pan by wierzył? - zapytał don Hector, wywołując kolejny wybuch śmiechu.

Złożony z powozów konwój chroniony przez żołnierzy z garnizonu Los Angeles, na którego czele jechali konno Montero i Love, opuścił hacjendę o wschodzie słońca. Teraz, po czterech godzinach niewygodnej jazdy w nierównym terenie, Alejandro wyczuwał, że w końcu dojeżdżają do celu podróży. Poza tym, mimo przesłoniętych okien powozu, orientował się nieco, gdzie są.

Gdy powóz się zatrzymał, Alejandro podsumował swe ciche wyliczenia. Jechali na północny wschód od Los Angeles i prawdopodobnie dotarli do podnóża wzgórz leżących w pobliżu misji San Fernande. Wątpił jednak, czy będzie w stanie odtworzyć tę trasę przed Diego, który został w hacjendzie z pozostałymi służącymi.

Jeden z żołnierzy otworzył drzwi powozu i Alejandro oraz reszta obolałych donów wyszli na jaskrawo oświetloną przestrzeń. Oślepiający blask słońca sprawił, że przez chwilę nie dostrzegli nawet tej rzeczy, dla której Montero wioził ich tak daleko. Pozostali donowie, wychodzący z innych powozów o podobnie przesłoniętych oknach, tak samo poczęli narzekać na oślepiające światło. Kiedy jednak ich oczy nieco się przyzwyczyły do blasku, ujrzeli u swoich

stóp wąski kanion, w którym pełną parą toczyły się prace górnicze.

Koło czerpakowe wybierało większość wody płynącej wąską rzeczką, której dno zostało poznaczone dziurami i prawie całkiem oczyszczone z kamieni. Drewniane koryta i rusztowania, drabiny i platformy wznosiły się powyżej poziomu rzeki, zapewniając dostęp do chodników wykutych w ścianach kanionu poprzecinanego nitkami wąskich torów, na których stały pchane ręcznie wózki pełne odłamków i okruchów skalnych.

Alejandro zrozumiał, że oto widzi rozwiązanie tajemnicy znikających ludzi: wszystkie prace od obsługi śluz wodnych po prace w szybach były wykonywane przez więźniów w kajdanach i łańcuchach. Więźniowie, wśród których było wielu Indian obojga płci, nie wyłączając dzieci, pracowali pod nadzorem uzbrojonych strażników. Tłumiąc w sobie gniew, Alejandro przyjrzał się otoczeniu. Jego uwagę zwrócił zwłaszcza jeden z nielicznych niewolników, którzy mieli na sobie ubrania: ojciec Felipe.

- Witam, panowie, w El Dorado - oznajmił Montero.

- Złoto - powiedział Alejandro, udając, że jest zszokowany. - Pan odkrył złoto.

- Prawdę mówiąc, odkrył je pewien Indianin - odparł Montero. - Szukał zagubionych koni i znalazł złoty samorodek pomiędzy kepmi dzikiej cebuli. Byłem jednym z pierwszych, którzy dowiedzieli się o tym znalezisku, i oto - zatoczył ręką, wskazując na kanion - jest rezultat.

Montero i Love powiedli swych poruszonych gości do wyciosanych w skale schodków prowadzących w dół kanionu. Schodząc, mijali wielu tubylców rozbijających kamienie na mokrą mączkę, którą potem inni wyciągali do arrastry podobnej do tych, których od dawna używano w Meksyku.

Arrastra, czyli prymitywne urządzenie do płukania materiału górniczego, składała się z kolistego, wypełnionego skalną mączką dołu, który został płytko

wykuty w litej skale i wyłożony dokładnie dopasowanymi płaskimi kamieniami. Ciężki głaz zawieszony za pomocą łańcucha na drewnianym balu był wleczony po dnie dołu przez konie, a jeszcze częściej przez niewolników, najtańszą siłę roboczą, łatwą do zastąpienia. Wpływający do arrastry strumień wody, czerpanej z rzeki, wypłukiwał przez otwór odpływowy drobiny piasku, zostawiając na miejscu cięższe cząsteczki metalu.

- Początkowo po prostu zbieraliśmy kawałki złota z rzeki - tłumaczył Montero. - Ale teraz, po odkryciu żyły, zajmujemy się kopaniem i wytapianiem.

- Ale ci robotnicy - wyrzucił z siebie don Aguilar. - Gdzie pan ich znalazł?

- Tam, gdzie chcieliśmy - parsknął Montero. - Wszyscy z nich to przestępcy, którzy zostali skazani na ciężkie roboty.

Alejandro patrzył wstrząśnięty na młodego chłopca chwiejącego się pod ładunkiem mączki skalnej. Był tak wyczerpany, że zatrzymał się na chwilę, ale strażnik kopniakiem zmusił go, by ruszył do przodu. Dopiero po chwili Alejandro uświadomił sobie, że już kiedyś widział tego chłopca. Było to przy sklepie, gdzie on, Joaquin i Trójpalczy Jack uwolnili kaprała Lopeza od skrzyni ze szczurem.

- A więc to jest przyszłość Kalifornii - rzekł Alejandro, starając się, by w jego głosie nie dało się odczuć nawet cienia odrazy.

- Właśnie tak - potwierdził Montero, wypinając dumnie pierś. Zauważywszy brak entuzjazmu pośród donów, dodał: - Panowie, zaskakujecie mnie. Przypomnijcie sobie łaskawie powiedzenie popularne wśród Jankesów, którzy przyjeżdżają, by się tu osiedlać, i są zmuszani do porzucenia swej protestanckiej wiary: „Człowiek musi rozstać się ze swym sumieniem przy przyłasku Horn”. Czy jest wśród was chociaż jeden, który nie wykorzystuje peonów?!

- Przez dwadzieścia lat don Luiz i ja prowadziliśmy te prace, nie wspomniawszy o tym ani słowem nikomu poza naszymi najbardziej zaufanymi agentami. I uwierzcie mi, kiedy mówię, że nie było łatwo dochować tej tajemnicy. Podejrzewam, prawdę mówiąc, że cała Nowa Kalifornia jest bogata w złoto. Ale gdyby reszta świata dowiedziała się o tym, co się tu kryje, to szybko zostalibyśmy zalani przez obcych i nasze marzenia o niepodległości stałyby się przeszłością.

W tejże chwili głośny wybuch wstrząsnął ziemią, odbijając się echem w kanionie i wzniesając ogromną chmurę pyłu i okruchów skalnych.

- Proszę się uspokoić - powiedział Love. - Wysadzanie skał jest częścią prac wydobywczych.

Kontynuując oprowadzanie swych gości, Montero zaprowadził ich w końcu w głąb jednego z chodników, przy którym wyrąbano w litej skale niewielką komorę. Wejście do niej przegrodzone było masywną żelazną kratą, za którą połyskiwały stosy złotego kruszcu. Sycąc się widocznym zachwytem donów, Montero otworzył zamek w kracie.

- Oczywiście zgodnie z prawem wszystko, co widzicie, należy do Santa Anny, ale on na szczęście dla nas nie jest świadom istnienia tego złota - powiedział, unosząc jedną ze sztabek tak, by ją lepiej widzieli. - Kazałem wszystkie sztabki oznaczyć hiszpańską pieczęcią, aby przekonać Santa Annę, że złoto pochodzi od korony - wyjaśnił, odkładając sztabkę. - Czy teraz rozumiecie? W ciągu tygodnia kupimy Kalifornię od Santa Anny za złoto wykopane z jego własnej ziemi!

Powróciwszy na słoneczną powierzchnię, Montero prowadził właśnie swych gości do pieca hutniczego, gdy nagle usłyszeli wrzask jednego z pracujących przy wózkach ludzi. Mrużąc oczy, Alejandro rozpoznał, że to sam Trójpalczy Jack, teraz niemalże zagłodzony na śmierć i najwyraźniej niespełna ro-

zumu.

- Witamy w wychodku piekła, caballeros! - wrzasnął Jack, wymachując górniczym kilofem w kierunku zastygłych donów. - Mogą mówić o nas, że zniknęliśmy, ale tylko się rozejrzyjcie. Widać, że my nie zniknęliśmy, tylko po prostu zostaliśmy przesiedleni.

Love dał krok do przodu, przesłaniając oczy dłonią.

- Znam ciebie, *hombre* - rzucił.

Jack wyszczerzył zęby w szaleńczym grymasie uśmiechu.

- Oczywiście, że znasz. Postrzeliłeś mnie w nogę i przywiozłeś tutaj. To ja jestem słynny Trójpalczy Jack. A wy wszyscy nie jesteście niczym innym, tylko sukinsynami i mordercami w pięknych ubiorach.

- Proszę go nie słuchać - powiedział Love. - To zwykły złodziej.

- Złodziej! - wrzasnął Jack. - Tak, złodziej, ale nie zwykły. Chociaż jestem niczym w porównaniu z wami, panowie. Niczym. Ja kradłem plata, konie, jedzenie. A wy, brudne świnię, wy kradniecie życie ludzi.

Jack zwolnił błyskawicznym kopnięciem hamulec i wózek runął po wąskim torze wprost na Alejandro i pozostałych donów. Siedzący na wózku Jack wymachiwał kilofem nad głową, a donowie rozpięchli się na boki. Harrison Love spokojnie dał krok na stronę, uniósł strzelbę i strzelił Jackowi w piersi.

Jack wyleciał z wózka i uderzył o skałę, wzniesając chmurę pyłu. Wszyscy donowie i niewolnicy zastygli w ciszy, kiedy ciało Jacka się przetoczyło, odbijając od podłoża, i w końcu spoczęło w pyle skalnym twarzą do ziemi nie dalej niż metr od Alejandro. Kierując się odruchem, Alejandro przykląkł przy ciele Jacka i delikatnie uniósł jego głowę. Ich oczy spotkały się, kiedy Alejandro zaczął wycierać chusteczką strumyczek krwi w kąciку ust rannego. Krzywy uśmiezek Trójpalczego Jacka potwierdził, iż rozpoznaje swego kompana. Zanim jednak zdołał zebrać w sobie dość sił, żeby cokolwiek powiedzieć, już



nie żył.

Love obserwował Alejandro, kiedy ten podniósł się na nogi z maską udawanej obojętności na twarzy. Na ziemi leżał człowiek, z którym działał przez cztery lata, człowiek, który uratował mu życie w Mazatlan i potem jeszcze raz w San Diego, przyjaciel, który był mu niemal bratem. Alejandro zaciśnął zęby, kiedy Love podszedł do Jacka i odwrócił go na wznak czubkiem buta. Patrząc z góry na zabitego, Teksaszczyk roześmiał się pogardliwie.

- Zobaczył pan coś śmiesznego, kapitanie? - zapytał Alejandro, patrząc na niego lodowato.

- To bardziej dziwne niż zabawne - odparł Love, kiwając głową. - Widzi pan, już drugi raz postrzeliłem tego człowieka, kiedy leciał w powietrzu.

- To musi mieć związek z pana pasją strzelania do rzutek - rzekł Montero, nim Alejandro zdążył odpowiedzieć. - Oczywiście nie możemy tolerować nie-subordynacji czy prób ucieczki - dodał, zwracając się do donów. - Dochowanie tajemnicy jest tu niezbędne.

Ledwie donowie ruszyli ku powozom, strażnicy zaczęli przywracać na nowo ład za pomocą biczów, kolb, pięści, butów i wszystkiego, cokolwiek wpadło im do ręki. Podążając za donami, Alejandro zerknął do tyłu, by zobaczyć, jak Love, kucnąwszy przy Jacku, przykłada nóż do jego lewego nadgarstka. Od razu w jego głowie pojawił się od tak dawna wypierany z myśli obraz Joaquina, ale zmusił się do tego, by iść dalej pod górę, jakby nie wydarzyło się nic szczególnego. Kiedy byli tuż przy powozach, zbliżył się do niego Love.

- Musimy porozmawiać - oznajmił Teksaszczyk z wysokości siodła. - Kiedy wrócimy do cuartelu. Tylko my dwaj.

- Nie dzisiaj, kapitanie - odparł Alejandro takim tonem, jakby był zajęty.

- Może innym razem.

- Dzisiaj - powtórzył Love. - Tylko my dwaj.

Zawrócił konia i odjechał truchtem ku Montero.

## 16

### *Powrót z przeszłości*

Większość służących, oczekując powrotu swych panów na hacjendę Montero, zajęła się czyszczeniem powozów i pielęgnacją koni. Diego zaprowadził Tornado do stajni i zabrał się do szczotkowania wierzchowca. Zajęty pracą, tak się pogрузzył we wspomnieniach ze swego dawnego życia, że zaczął nucić po cichu i nie zauważył, że Elena zatrzymała się blisko niego i zaczęła mu się przyglądać.

- Dzień dobry, Bernardo. Przepraszam, że przerwałam ci piosenkę. Masz bardzo łagodny głos.

Diego pośpiesznie odwrócił od niej wzrok.

- Śpiewałem dla konia, señorita. Wierzchowiec don Alejandro jest bardzo narowisty, a takie stworzenia muszą słuchać łagodnych piosenek.

- Ach, rozumiem.

Diego odwrócił się od niej i jeszcze energiczniej zaczął czesać konia.

- Od jak dawna jesteś na służbie u don Alejandro, Bernardo?

- Czasami mi się zdaje, że od zawsze - mruknął Diego. Śmiech Eleny uświadomił mu, iż popełnił gafę.

- Proszę mi wybaczyć, señorita. Mówię od rzeczy.

- Nie martw się. Don Alejandro nie dowie się tego ode mnie - rzekła i zamilkła na chwilę. - Ten twój pan jest zastanawiającym człowiekiem. W jednej chwili wygląda na tak delikatnego jak jedwabna pończocha, a zaraz potem zachowuje się niczym jakiś vaquero. Tańczy w taki sposób i patrzy na mnie...

to tak jakby było w nim dwóch kompletnie różnych ludzi.

Wzięła do ręki szczotkę i stanąwszy obok niego, również zabrała się do pracy. Widząc jej delikatne ruchy, Diego przypomniał sobie Esperanzę. Było to tak intensywne wspomnienie, że poczuł, iż może zemdleć.

- Tak, przypomina pani swoją matkę - rzekł, zanim zdążył sobie uświadomić, co ma zamiar powiedzieć.

- Moją matkę?! - zapytała Elena, obracając się ku niemu. - A skąd możesz to wiedzieć?!

- Chciałem powiedzieć, że nie przypomina pani urodą don Montero, więc pani piękno z pewnością musi pochodzić od matki.

Elena roześmiała się znowu i wróciła do szczotkowania lśniącej sierści Tornado.

- Nie wiem tego. Ale jestem pewna, że mój ojciec chciałby, bym zachowywała się podobnie jak moja matka. Z tego, co wiem, była mu bardzo posłuszna i zawsze zachowywała się właściwie.

Diego przygryzł dolną wargę.

- Czy on opisuje ją w ten sposób?

- Tak. Chociaż muszę przyznać, że mam swoje wątpliwości. Diego ukrył przelotny uśmiech.

- A dlaczego? Czy czuje pani, że musiała być taka jak señorita?

- Może dlatego, że chcę, aby tak było. To tak jakbym w pewien sposób ją znała - odparła w zadumie. - Kiedy byłam mała, wymykałam się z domu w nocy i jeździłam konno po wzgórzach Andaluzji. Moja niania mówiła mi kiedyś, że ci, którzy odeszli, potrafią zobaczyć ludzi w świetle księżyca. Więc ja machałam rękami do nieba, mając nadzieję, że moja matka mnie rozpozna.

Diego patrzył na nią nieruchomo.

- Musiał to być szczególny widok - odrzekł, uśmiechając się do Eleny, i

dodał: - A co się stało z pani matką?

- Zmarła przy porodzie, kiedy wydawała mnie na świat. Ojciec rzadko o niej mówi. Jest to dla niego zbyt bolesne.

- Wiem, jak to jest, kiedy się traci ukochaną osobę - powiedział Diego cicho. - Sam straciłem córkę. Dawno temu. Kiedy panią widzę, przypominam sobie, jak się czułem, będąc ojcem. Jestem pewien, że matka byłaby teraz z pani dumna.

- Och, dziękuję ci, Bernardo.

Przez dłuższą chwilę przyglądała mu się w milczeniu, jakby układając w myślach pytanie, które obawiała się zadać.

- Bernardo, muszę cię zapytać... Czy myśmy się kiedykolwiek wcześniej spotkali?

- A dlaczego pani pyta, señorita?

- Sama nie wiem. Jest coś chyba w twoim głosie czy w tej piosence, którą śpiewałeś. Jestem prawie pewna, że gdzieś ją słyszałam.

Z najwyższym wysiłkiem Diego zdołał zapanować nad swymi emocjami.

- Mogła ją pani słyszeć, señorita, ale w jaki sposób mogłaby pochodzić z moich ust, skoro nie odwiedziłem Hiszpanii od dawna? Ostatni raz byłem tam, jeszcze zanim się pani urodziła.

Elena zastanowiła się chwilę i w końcu wzruszyła ramionami.

- No cóż, twój głos jest bardzo przyjemny.

- Cieszę się, że pani tak uważa. Elena odłożyła szczotkę.

- Do widzenia, Bernardo.

- Do widzenia... Eleno.

Odchodziła już, kiedy zawołał jeszcze za nią:

- Pani matka musiała być piękną kobietą. Odprowadził ją wzrokiem, a potem oparł czoło o kark Tornado, walcząc z wewnętrznym bólem.

Powozy powróciły na hacjendę dopiero późnym popołudniem. Alejandro przez większość podróży rozważał w duchu, czy zgodzić się, czy też nie, na spotkanie z Harrisonem Love'em. Jego brak zdecydowania był mniej związany z obawą, że Teksasczyk zdemaskuje go jako fałszywego dona, a bardziej z przekonaniem, że on sam zabije go, gdy tylko znajdą się sami, teraz nie tylko za Joaquina, ale również za Trójpalcęgo Jacka.

Jednak zanim konwój dotarł do pueblo Los Angeles, niezliczone lekcje pobrane od Diego zdołały ochłodzić jego krew. Alejandro pogodził się z tym, że śmierć Love'a, chociaż nasyciłaby jego prywatne pragnienie zemsty, wznęciłaby gniew Montero. On i Diego musieliby uciekać, ratując życie, zanim mieliby sposobność zdemaskować byłego comandante jako wyzyskiwacza niewolników. Musiał też myśleć o Elenie. Co będzie, jeśli się dowie, że jest on w rzeczywistości bandytą Alejandro, a nie bogatym Kastylijczykiem, donem Alejandro? Z powodu nieoczekiwanego rozwoju wydarzeń jego zainteresowanie Eleną zaczęło odgrywać w rozumowaniu Alejandro niemal równie ważną rolę jak pragnienie, by się okazać godnym zaufania, jakim go obdarzył don Diego.

Ledwie zdążył wysiąść z powozu, gdy Love poprosił go, by udał się z nim do jego gabinetu w cuartelu. Siedli po przeciwnych stronach biurka, na którym stał dzban z winem. Z zewnątrz dobiegał hałas czyniony przez robotników naprawiających zniszczenia w pomieszczeniach żołnierskich.

- Czy wie pan, że w Brazylii żyją dzicy, którzy zjadają swych zabitych wrogów, żeby przejąć ich siłę? - zapytał Love.

Zdjął z półki kielich, ale go nie napełnił winem, lecz czymś, co stało za biurkiem, może mescalem czy aguardiente. - Najbardziej cenione są oczy - dodał. - Zdolność widzenia oczyma wroga jest najbardziej pożądaną zdobyczą.

Uniósł kielich do ust i sącząc jakiś brązowawy napój, począł przypatrywać się podejrzliwie Alejandro.

- Bo właśnie w oczach człowieka można dojrzeć prawdziwą wartość jego duszy, nie sądzi pan? - znowu pociągnął łyk napoju i pochylił głowę w nagłym i raczej nienaturalnym ukłonie. - Ale gdzież się podziały moje maniery, don Alejandro? Czy zechce pan coś wypić?

Alejandro spodziewał się, że Love naleje mu wina z ceramicznego dzbanka, ale ten wyjął na biurko garniec bez pokrywy, z którego widocznie napełnił własny kielich. Przysunął go ku niemu, obracając garniec wokół własnej osi.

W jego wnętrzu Alejandro ujrzał wirującą głowę Joaquina. Naprężył się cały, tłumiąc w sobie wstrząs mdłości i straszliwą wściekłość.

- To jakiś inny rocznik, prawda? - zapytał, starając się nadać swojemu głosowi chłodne, obojętne brzmienie.

Przypatrując mu się uważnie, Love popchnął dzban bliżej, tak że Alejandro, nawet gdyby nie chciał, i tak musiał dojrzeć w nim dłoń o trzech palcach.

- Sądzę, że to ręka tego człowieka, którego zabił pan w kopalni - rzekł Alejandro obojętnym tonem.

- Strzał w dziesiątkę - parsknął Love.

Alejandro wciągnął powietrze przez nozdrza i odchrząknął.

- Muszę zauważyć, kapitanie, że jest pan bardzo chorym człowiekiem.

- Głowy w garncach na wodę, ręce w dzbanach na wino - powiedział Love, udając, że nic sobie nie robi z uwagi Alejandro. - Tak, przypuszczam, że to musi się wydawać dziwne komuś pana... o pana wychowaniu.

- Cóż, po pierwsze sądzą, że powinien pan zwolnić swego ochmistrza - odparł Alejandro, nie wypadając z roli. - Proszę mi powiedzieć, kim był ten nieszczęśnik? - powiedział, wskazując podbródkiem głowę Joaquina.

Love nachylił się ku niemu.

- Wczorajszego wieczoru przy stole zapytał mnie pan o moje upodobanie do tropienia legendarnych bandytów. Więc tu jest jeden z tych, których złapa-

łem. Nazywał się Joaquin Murieta. Jego brata wkrótce spotka ten sam los. Prawdę mówiąc, on też ma na imię Alejandro. Wysoki człowiek z gęstą grzywą czarnych włosów i dziką brodą. Ale nie sądzę, by widział pan kogokolwiek o tym wyglądzie.

- Wręcz przeciwnie, kapitanie. Widziałem wielu, którzy odpowiadają temu opisowi.

Alejandro podniósł niewielki srebrny kielich, a potem zanurzył go w garncu i uniósł do ust.

- Za pana zdrowie i powodzenie w tropieniu tego bandyty.

Tłumiąc w sobie mdłości i gniew, Alejandro zmusił się do pociągnięcia łyku napoju, tak jak to poprzednio zrobił Love.

Teksańczyk skinął głową gestem wyrażającym niemal szacunek.

- Murieta czy nie, i tak jesteś czymś mniej, niż udajesz.

- Albo czymś więcej - rzekł Alejandro, unosząc się z krzesła i przecierając usta chusteczką splamioną krwią Jacka. - Może któregoś dnia będę w stanie zobaczyć, jak naprawdę wyglądam w pańskich oczach.

Alejandro opuścił gabinet i ruszył ku głównej bramie cuartelu. Zdołał wyzbyć się wszelkich myśli, aż do momentu, kiedy znalazłszy się na zewnątrz budynku, dotarł za jego róg i został całkowicie sam. Dopiero wtedy, usiłując się pozbyć chociaż odrobiny swej morderczej wściekłości, uderzył się gwałtownie w nogę trzymaną w ręce trzcina.

Elena nabrała nawyku spacerowania po targowisku na rynku, gdzie Indianie Yang Na z misji San Gabriel i Chumash oraz z misji Santa Barbara sprzedawali owoce, warzywa, kolorowe tkaniny i fantazyjne rzeźby w drewnie. Przywiązując konia do słupka, zobaczyła, że przygląda się jej jakaś stara Indianka. Kiedy Elena ruszyła na spacer pomiędzy straganami, staruszka podąży-

ła za nią. W pewnej chwili Indianka niespodziewanie podeszła do niej, wciskając jej w ręce żółty szal zwany panuelo. Elena zatrzymała się i spojrzała z uśmiechem na drobną figurkę staruszki.

- Jest piękny - powiedziała.

Kobieta odrzekła coś w swym rodzimym języku i dotknęła ramienia Eleny, dając jej znak, by okryła się szalem. Zachwycona Elena spełniła jej prośbę, podziwiając ścisłość tkaniny i delikatną fakturę miękkiej wełny. Kiedy jednak zaczęła dziękować, staruszka odeszła do jednego ze straganów, by porozmawiać z młodą Indianką.

Elena zbliżyła się do nich i stanęła, czekając, kiedy zwrócą na nią uwagę. Gdy obie już spojrzały na nią, powiedziała do dziewczyny:

- Jaką cenę ona chce za ten szal? Ile on kosztuje?

Dziewczyna przetłumaczyła pytanie, ale staruszka tylko pokręciła głową.

- Ona mówi, że to dar - wyjaśniła dziewczyna. - Ku pamięci pani matki.

Znowu - pomyślała Elena.

- Ona mówi, że bardzo kochała pani matkę - dodała dziewczyna.

Elena zmarszczyła brwi, zmieszana.

- Proszę, powiedz jej, że musiała się pomylić. Moja matka umarła dawno temu w Hiszpanii.

Jeszcze zanim dziewczyna skończyła tłumaczenie, stara Indianka poczęła wymachiwać przecząco rękami, a potem spokojnie wskazała na twarz Eleny.

- Ona mówi, że nie można pomylić nikogo z córką Diego i Esperanzy de la Vegów - wyjaśniła dziewczyna i przerwała, by wysłuchać dalszych słów staruszki. - Mówi, że była pani nianią. Wieszala kwiaty na pani kołysce, kiedy pani była jeszcze niemowlęciem.

Elena wyciągnęła ku niej szal drżącymi rękami.

- Proszę, powiedz jej, że nie mogę przyjąć tego podarunku.



Staruszka pokręciła odmownie głową i zniknęła na tyłach straganu.

- On teraz należy do pani - powiedziała dziewczyna. - Musi go pani zatrzymać.

Jadąc konno do jaskini, Alejandro opowiedział Diego o swych przeżyciach w kopalni i o ostatnim spotkaniu z Harrisonem Love'em. Diego starał się przekonać go, że zachował się roztropnie w obydwu przypadkach i że jest z niego dumny, ale nie było mu łatwo ukoić gniew i frustrację młodzieńca. Po powrocie do jaskini Alejandro począł przechadzać się tam i z powrotem w jej wnętrzu, jak zamknięte w klatce dzikie zwierzę, mrużąc do siebie, co zrobi z kapitanem Love'em przy najbliższej okazji. Diego w końcu musiał zastąpić mu drogę, by nakłonić go do wysłuchania swych argumentów.

- Czy sądzisz, że mógłbyś odtworzyć drogę do kopalni?

Alejandro pokręcił głową w roztargnieniu.

- Montero zadbał o to, żebyśmy nic nie widzieli.

- Więc musisz wejść dziś w nocy do domu Montero i zabrać wszelkie papiery, jakie zdołasz, z kufra w jego gabinecie. Poszukaj mapy. Musimy dowiedzieć się wszystkiego o jego korespondencji z Santa Anną i o warunkach, na jakich się ułożyli. Nic innego nie ma teraz znaczenia.

- Ten dzban ma znaczenie - rzucił Alejandro. - Będę go widział do końca życia...

- Zanim zobaczyłeś ten dzban, twój brat nie żył już od dawna. Musisz spróbować usunąć te myśli aż do czasu, kiedy zdemaskujemy okrucieństwo i zdradę Montero. - Diego przerwał na chwilę i dodał, łagodząc ton głosu: - Często tracimy tych, których kochamy, Alejandro, i nawet zemsta nie jest w stanie tego zmienić.

Położył dłoń na ramieniu swego ucznia i wskazał na posadzkę. Stali w

najbliższym środka wewnętrznym kręgu.

- Jesteś gotów. Nadszedł czas na powrót Zorro.

Wzrok Alejandro wyrażał jedynie wielki ból.

- Może byłem kiedyś gotów, ale teraz już nie. Ludzie codziennie giną w tej kopalni, a ja nie potrafię myśleć o niczym innym, jak tylko o zabiciu Love'a.

- Już wkrótce będziesz miał okazję, żeby to zrobić - zapewnił go Diego. - Sam wejdzie do twego kręgu, Alejandro. Nie ma potrzeby go ścigać.

Alejandro głęboko zaczerpnął oddechu.

- Powiedziałeś mi, że Zorro był sługą ludu. Ale jak mogę pamiętać o interesie ludu, kiedy serce mam przepełnione nienawiścią?!

Diego wziął do ręki maskę Zorro - nie tę czarną chustę podziurawioną przez nóż Alejandro, a potem rozdartą biczem przez Diego - ale oryginalną maskę, którą wykonał ponad dwadzieścia lat temu.

- To ci pomoże - rzekł, unosząc ją do góry i nakładając na głowę Alejandro niczym w ceremoniale koronacji. - Ukryj swój ból i nienawiść za tą maską.

- Dziękuję - powiedział Alejandro już spokojnym tonem. - Dziękuję za twoje zaufanie.

Diego uściśnął jego ramię ojcowskim gestem.

- Zasłużyłeś na nie. Teraz musimy szybko jechać do domu Montero. Wejdiesz przez mur na mój sygnał.

- Jaki to sygnał?

- Dowiesz się, kiedy przyjdzie na to czas.

Ruiny domostwa rodziny de la Vegów stały na urwisku, z którego rozciągał się widok na ocean. Osmalone ściany z suszonej na słońcu cegły wznosiły się wśród jeżyn i ostrych traw. Roślinność porosła wszystko przez ostatnie

dwadzieścia lat, jakie minęły od pożaru, który, jak podawano, pochłonął życie trojga ludzi z tej rodziny. Według słów Metysa, który zgodził się zaprowadzić Elenę do ruin, ofiarą pożaru padli Diego, Esperanza i niemowlę o imieniu Esmeralda albo Elena.

Metys nie chciał iść dalej, jak tylko do prowadzącej na plażę ścieżki. Czując jakiś wewnętrzny niepokój, Elena też już prawie zrezygnowała z podejścia, ale w końcu jej ciekawość zwyciężyła i teraz była już wśród ruin, przechodząc z pokoju do pokoju i odszukując przejścia pomiędzy chwastami i krzewami.

Ramiona okryła podarowanym przez Indiankę szalem, a w uszach nadal dźwięczały jej słowa staruszki. Jednak, gdyby chociaż na chwilę przyjęła, że jest rzeczywiście córką de la Vegów, oznaczałoby to, że ojciec miał jakieś powody, by kłamać, gdy mówił, że jej matka zmarła przy porodzie. Przed dwudziestu laty był comandante pueblo Los Angeles. Czy to możliwe, że miał wtedy romans z Esperanzą de la Vega?! Jednak nawet takie wytłumaczenie nie zgadzało się ze słowami Indianki, twierdzącej, że dziecko, za które z pewnością przez pomyłkę wzięła ją sama, było córką Esperanzy i Diego de la Vegów. No oczywiście, chyba że Diego nie wiedział o romansie, jaki jego żona miała z Rafaelem Montero... Po kolejnych namowach jej przewodnik wyznał także, że według niego dziecko de la Vegów nie zginęło w pożarze, ale zostało wywiezione z Kalifornii.

Elena krążyła po ruinach, mając nadzieję natknąć się na jakiś klucz do tej zagadki, ale poczerniałe ściany i resztki drewnianej konstrukcji i schodów nic jej nie powiedziały. Zatrzymując się w miejscu, gdzie z pewnością było okno, z którego rozpościerał się widok na wody oceanu, poczuła jednak jakiś znajomy zapach niesiony wiejącą od lądu bryzą i od razu rozpoznała, że pochodzi on od wysokiego kwitnącego krzewu, rosnącego wprost pod oknem. Kwiaty tego

krzewu były takie same jak te w bukicie, który otrzymała na plaży.

Ktoś powiedział, że nazywają się romania.

Targana wątpliwościami, poczuła, że ogarnia ją nagła słabość, przysiadła więc na resztkach ściany i ukryła twarz w dłoniach. Potem otoczyła ramionami kolana i zaczęła wdychać zapach, przypominając sobie, nie wiadomo dlaczego, melodyjny głos Bernardo, sługi don Alejandro.

## 17

### *Zorro uderza!*

Love i Luiz odchyłili się na krzesłach przy okrągłym stole stojącym na prywatnym dziedzińcu Montero i z zadowoleniem zaciągnęli się cygarami, kiedy ich gospodarz ledwie się opanowywał, by spokojnie usiedzieć. Powierzchnia stołu zasłana była dokumentami i listami, które Montero wydobył z kufra w gabinecie i pośród których była również mapa kopalni.

- Santa Anna zgodził się spotkać z nami jutro po południu - oświadczył Luiz. - Dziesięć mil na wschód od Los Angeles. Mamy mu wtedy dostarczyć złoto.

- No więc cóż? - odezwał się Montero, spoglądając na kapitana Love'a. Love rzucił okiem na mapę i skinął głową.

- Złoto będzie ostemplowane i przygotowane. Nie widzę żadnego problemu.

- Wyślij wiadomość do Santa Anny - polecił Montero Luizowi. - Przekaż mu, że zgadzamy się na jego warunki. Jutro w południe dostanie swoje złoto.

Luiz podniósł się, dopił resztkę swojej brandy i opuścił dziedziniec. Montero odczekał, aż odejdzie, i wtedy dodał:

- A ja będę miał Kalifornię.

Uśmiechając się dumnie, uniósł szklaneczkę z brandy w toaście za swój sukces.

Teksańczyk również uniósł szklaneczkę, by odwzajemnić toast, ale zaledwie otworzył usta, żeby wygłosić odpowiedź, kiedy z okolic kuchni dobiegły okrzyki:

- Pali się! Pali się!

Obydwaj, pierwszy Love, a za nim Montero, rzucili się do wnętrza domu. W szerokim korytarzu wcale nie było czuć dymu, a kiedy wpadli do kuchni, nie znaleźli tam niczego poza kucharzami zajętymi swymi piekarnikami i garnkami. Kiedy jednak znowu dobiegły ich te same okrzyki, pośpieszyli do najbliższego okna i otworzyli okiennice, mając nadzieję zlokalizować źródło zagrożenia.

Na trawiastym zboczu wzgórza płomienny zygzak olbrzymiej litery „Z” rozświetlał mroki nocy.

Przyczajony na murze otaczającym hacjendę Alejandro, przyodziany w jedwabno-aksamitny strój Zorro, patrzył, jak oddział żołnierzy rusza galopem w kierunku ognia wzniesionego przez Diego na wzgórzu. Kiedy już oddalili się na pewną odległość, wskoczył na balkon na wschodnim skrzydle budynku i przedostał się przez nie zamknięte drzwi balkonowe do ciemnego pokoju. Idąc ku drzwiom, widocznym po przeciwległej stronie pokoju, rzucił okiem przez okno wychodzące na prywatny dziedziniec Montero i ujrzał ozdobiony płasko-rzeźbą okrągły stół zasłany papierami, wśród których wyróżniała się mapa Los Angeles i otaczającego go terytorium.

Wrócił na balkon i spuścił się z niego na dziedziniec. Już zmierzał do stołu, kiedy usłyszał kroki i ujrzał Montero wychodzącego spod krużganków i zmierzającego na przeciwległy skraj dziedzińca. Alejandro podskoczył wysoko

bez chwili wahania, uchwycił się głowicy kolumny, która wspierała biegnący nad dziedzińcem taras, i podciągnął się do góry, gdy Montero już ruszył ku stółowi.

Montero, zbyt zajęty, by podnieść wzrok do góry, pośpiesznie zbierał dokumenty, kiedy Alejandro wisiał na palcach rąk zaledwie dwa metry nad nim. Próbując poprawić chwyt, Alejandro przypadkiem potrącił doniczkę z kwiatem, która zachwiała się i spadła z krawędzi tarasu. Opuścił błyskawicznie jedną rękę, utrzymując się tylko na drugiej, i chwycił kwiat, w ostatniej chwili zapobiegając jego upadkowi na ziemię. Jednak delikatne korzenie rośliny zaczęły się rwać, grożąc upadkiem doniczki. Montero zawahał się przez chwilę, być może wyczuwając, że coś jest nie w porządku, i rozejrzał się czujnie po dziedzińcu. Jednak patrzył wszędzie, tylko nie w górę. Uspokoiwszy swe obawy, zebrał resztę dokumentów łącznie z mapą i pośpieszył do wnętrza domu.

Zaledwie zniknął w środku, kiedy ciężar doniczki okazał się jednak zbyt duży dla słabych korzeni rośliny. Doniczka spadła, roztrzaskując się na bruku. Alejandro zeskoczył w ślad za nią i cicho jak cień ruszył tropem Montero.

Skradając się słabo oświetlonym, pustym korytarzem, natrafił na gabinet, który opisał Diego. Uchylone drzwi ukazywały pusty pokój. Na ścianie za biurkiem wisiał wielki obraz kobiety, którą Alejandro początkowo wziął za Elenę, ale przyjrząwszy mu się bliżej, zrozumiał, że jest to portret jej matki namalowany, kiedy nie miała jeszcze chyba dwudziestu lat. Podobieństwo między nimi dwiema było uderzające. Wtem usłyszał dochodzące z korytarza głosy dwóch mężczyzn. Rozejrzał się pośpiesznie dookoła, usiłując znaleźć jakąś kryjówkę, i w końcu, przypomniawszy sobie swój fortel na dziedzińcu, spojrzał do góry i stwierdził, że jest w stanie dosięgnąć biegnącej pod sufitem belki.

Podskoczył do góry i chwyciwszy rękoma jej krawędź, przerzucił przez

nią stopy. Wylądował na jednej z belek brzuchem, stopami podpierając się o drugą. W tymże momencie do gabinetu weszli Love i Montero.

- Czy posłał pan żołnierzy na wzgórze? - zapytał wyraźnie poruszony Montero.

- Są już w drodze - odparł Love.

- Więc proszę podwoić straż na murze.

- Zajmę się tym.

Przeszli przez pokój do biurka i Montero położył na nim mapę i dokumenty.

- Niech pan nie zapomina jednak, że mówimy tylko o jednym człowieku - dodał Love.

- My nie mówimy o człowieku! - przerwał mu Montero. - Mówimy o Zorro. - Podeszedł do okna i wyjrzał w kierunku płonącego znaku „Z”. - W dodatku on wie.

Love podążył za nim do okna.

Kiedy obydwoj stali plecami do biurka, Alejandro cicho wydobył szpadę i ostrożnie opuścił ją, aż dotknął czubkiem mapy. Wystarczyło małe pchnięcie i czubek szpady przebił pergamin, nadziewając go na ostrze w ten sposób, że zdołał unieść mapę z biurka.

- Santa Anna ma przybyć za dwa dni - powiedział Montero - a Zorro jest tu dzisiaj. To coś więcej niż zbieg okoliczności, kapitanie Love. Popełniłem błąd, nie nakazując go zabić dawno temu.

- On nas nie powstrzyma - odparł Love pewnym siebie tonem. - Ma pan na to moje słowo.

Montero obrócił się gwałtownie ku niemu.

- Jaką wartość mają dla mnie pańskie słowa?! Sprowadziłem pana tutaj, żeby ochraniał pan moje działania, a tu nagle Zorro zagraża całej mojej przy-

szłości. Czego doznałem od powrotu do Kalifornii poza niepowodzeniami? - zapytał, wskazując za okno. - Niech pan uważa na to, co mówię, Love. Diego de la Vega jest na wolności i chce zniweczyć moje plany albo mnie zabić!

- Nie ma dowodu na to, że to de la Vega - sprzeciwił się Love.

- Mówi pan: „nie ma dowodu”?! A co w takim razie powie pan o więźniu, który uciekł z Talamantes?! A ten strażnik, który stał przed moim gabinetem i który oświadczył, że wczoraj w nocy ktoś go uderzył, pozbawiając przytomności?! - zapytał Montero tonem pełnym irytacji.

Love parsknął krótkim śmiechem.

- Nie wierzę w to. Z tego, co widziałem, strażnik wlał w siebie ze dwadzieścia kielichów wina, upił się, a potem upadł, uderzając się w głowę.

Montero zaciskał nerwowo dłonie, nie słuchając słów kapitana.

- A co będzie, jeśli Santa Anna się dowie, co robiłem pod jego nosem przez ostatnie dwadzieścia lat?! - rzekł, blednąc na twarzy. - Co będzie, jeżeli jedzie w tej chwili na północ nie z umową kupna, ale z armią okupacyjną?!

- Słyszał pan słowa dona Luiza - powiedział Love, kręcąc głową. - Santa Anna jedzie tutaj po złoto.

- Ale założmy, że dowie się o kopalni po transakcji?! Co go może powstrzymać przed złamaniem warunków umowy i zbrojnym najazdem?! Na pewno nie zabarykaduję się w presidio jak ci dumie w Alamo.

Love zastanowił się chwilę.

- Jeżeli to wszystko pana martwi, dlaczego nie pozbedzie się pan dowodów?! Kopalnia i tak jest już wyeksploatowana. Nie trzeba robić niczego więcej, jak tylko rozłożyć odpowiednio ładunki wybuchowe i pogrzebać całość.

Montero skrzywił się.

- Nie zdołamy przed jutrzejszym południem ewakuować setek robotników.



- Więc niech pan ich nie wyprowadza - rzekł Love i znowu zamilkł na chwilę. - Niech pan nie zostawia żadnych świadków.

Montero spochmurniał, lecz zaraz odezwał się już spokojniejszym głosem:

- Jestem rozczarowany pana ciągłymi niepowodzeniami w pościgu za Zorro. A może jest pan w tajemnicy sojusznikiem Diego de la Vegi, zdrajcą w środku mojego obozu?! Jeżeli tak, jeśli pan mnie zdradził, to obiecuję panu taką śmierć, że w najbardziej szalonych...

- Myli się pan, kwestionując moją lojalność - przerwał mu ostrym tonem Love. - Mam równie wiele do stracenia. Jeśli pan straci swoje terytorium, ja stracę dowodzenie armią.

Montero nie zaprzeczył jego słowom. Zebrał dokumenty z biurka i podał je wszystkie kapitanowi.

- Niech pan je zamknie w swoim gabinecie. Muszę porozmawiać z Eleną.
- A co z kopalnią?
- Niech zrobi pan wszystko, co według pana jest potrzebne.

Love odprowadził Montero wzrokiem i po chwili sam wyszedł energicznym krokiem z gabinetu. Alejandro opuścił się cicho na podłogę, złożył mapę i wsunął ją za pas. Wyjrzawszy przez okno, zobaczył, że cały teren hacjendy pełen jest żołnierzy.

Love szedł korytarzem pełen gniewu. Po tym wszystkim, co zrobił w kopalni i gdzie indziej, oskarżano go o zdradę. Było to dla niego nie do zniesienia. Cóż innego, jeśli nie lojalność, powstrzymało go przed uszczknięciem części złota lub też rozpowszechnieniem informacji o jego istnieniu? Lojalność i wiara w obietnice Montero, że w przyszłości zostanie dowódcą armii Kalifornii, która miała się stać jednym z najbogatszych krajów obydwu Ameryk.

Porządkując mechanicznie dokumenty, które wziął z gabinetu, przeklinał

się w duchu za to, że nie przewidział takiej reakcji ze strony Montero, jeśli chodzi o Zorro. Przed trzema laty, na krótko przed przybyciem do Los Angeles, dotarły do niego pierwsze plotki o tym, jak legendarny przestępca podkopywał rządy Montero, odbierając to, co gubernator zrabował peonom, siejąc ducha buntu i przy każdej okazji przechytrzając swego wroga. Dopiero pod koniec swoich rządów Montero odkrył, że jego rywalem był ogólnie poważany arystokrata o nazwisku Diego de la Vega. W tajemnicy przed wszystkimi Montero zebrał garstkę oddanych sobie żołnierzy i uwięził de la Vegę, ale duch Liisa prześladował go przez ostatnie dwadzieścia lat. A teraz ktoś przebrany za Zorro usiłował zaszkodzić Montero, wycinając na murach „Z” i wzniecając płonący znak na wzgórzach. Love nie chciał uwierzyć, że to de la Vega, który uciekł z Talamantes. Jednak nie miało to większego znaczenia: bandyta musiał być powstrzymany.

Nagle przerwał przekładanie dokumentów i z uwagą zaczął się im przyglądać na nowo. Brakowało mapy. Było możliwe, że Montero wziął ją ze sobą, ale... Odwrócił się gwałtownie i rzucił do gabinetu, wołając na żołnierzy, by podążyli za nim. Otworzywszy błyskawicznie drzwi, stanął twarzą w twarz z zamaskowaną postacią, która jakby wychynęła wprost z ciemności. Zanim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, czubek szpady napastnika już dotykał jego gardła.

- Rób, co ci każę, bo jak nie, to twoja matka straci syna - powiedział Zorro, popychając go ku ścianie korytarza i odbierając mu szablę.

- Ruszaj - polecił, kierując go naciśnięciem szpady w głąb korytarza.

Zorro nie odsuwał szpady od gardła Teksańczyka, a u jego boku zwiślała teraz odebrana jego jeńcowi szabla. Love spojrział wprost w oczy napastnika, usiłując odkryć rysy jego twarzy przesłoniętej maską.

Zorro podprowadził go do rogu korytarza i raptownie kazał się zatrzymać. Love domyślił się, że weszli wprost na linię ognia strażników, którzy pośpieszyli na jego wezwanie.

Zorro wciągnął go z powrotem za róg, a sam przycisnął się plecami do ściany.

- Wasz kapitan nie jest odporny na kule! - zawołał do strażników. - Odłóż broń i podejść!

Kiedy żołnierze się zawahali, Zorro docisnął szpadę, kalecząc Teksanczyka w szyję.

- Powiedz im - rozkazał gniewnym tonem.

- Róbcie, co mówi! - polecił Love, zgrzytając zębami.

Usłyszeli szcęk strzelb uderzających o posadzkę, a potem zbliżające się kroki.

- Stać! - powiedział Zorro, kiedy dwaj żołnierze dotarli do wysokiego okna wychodzącego na wewnętrzny dziedziniec. - Teraz odwróćcie się twarzami do okna.

Kiedy żołnierze usłuchali, Zorro znowu wyprowadził swego jeńca za róg korytarza i kazał mu się zatrzymać.

- Pochylcie się i dotknijcie rękami stóp - polecił żołnierzom z nutą wesołości w głosie. - Wiem, że to jest trudne z takimi dobrze odżywionymi brzuchami, ale się postarajcie.

Jeszcze raz szyja kapitana zapłaciła cenę za wahanie strażników.

- Róbcie, co mówi! - powtórzył Love.

Żołnierze pochylili się, wypinając zady w stronę korytarza. Przyłożyli twarze do przeszklonych okien. Zorro podprowadził jeńca tak, że stanął pomiędzy strażnikami, i nie odsuwając szpady od szyi kapitana, kopnięciem najpierw prawej, a potem lewej nogi wyrzucił strażników głowami do przodu

przez okna. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i trzask pękających ram, a do uszu kapitana dobiegły jęki obydwu żołnierzy, którzy spadli na bruk dziedzińca. Zorro nadusił nieco na szpadę, kierując go w przeciwną stronę.

Kiedy doszli do rzuconych przez strażników strzelb, Zorro rozkazał mu się odwrócić i stanąć twarzą do siebie.

Spojrząwszy na wiszące na ścianie lustro w mosiężnej ramie, Love dostrzegł, że Lis wsuwa swą szpadę do pochwy i pochyła się, by podnieść strzelby. Dalej, za plecami Zorro, zobaczył trzech kolejnych żołnierzy, którzy pojawili się na końcu korytarza i zaczęli w biegu podnosić strzelby do ramion.

Zorro dojrzał ich odbicie w lustrze i nie odwracając się, położył dwie strzelby na ramionach, wypalając z nich jednocześnie.

Dwaj żołnierze upadli na plecy w tym samym momencie, kiedy ich broń wypaliła. Kule uderzyły o sufit korytarza, odbijając gipsowe ozdoby i odrywając od sufitu kandelabr, który spadł na głowę trzeciego żołnierza. Love nie wahał się ani chwili. Odwróciwszy się błyskawicznie na pięcie, uderzył Zorro, obalając go na podłogę, i skoczył w kierunku leżących żołnierzy. Miał zamiar chwycić jedną ze strzelb, ale zobaczywszy, że Zorro rzuca się za nim, chwycił szablę pierwszego z nich, postanawiając stawić czoło napastnikowi.

Ostrza ich broni spotkały się z przeszywającym szczękiem. Zorro sprawnie używał swej szpady, ale Love miał przewagę cięższej szabli, co mu wystarczyło, by począć spychać Lisa w dół korytarza.

Zbliżywszy się do Zorro na krótki dystans, Love uderzył go ręką w twarz, rzucając na ścianę. W tej samej chwili zza rogu korytarza ukazał się Montero, również uzbrojony w szablę. Pobladł na twarzy ze strachu, kiedy ujrzał przed sobą zjawę z nawiedzających go koszmarów. Jednak jego przerażenie trwało tylko chwilę. Otrząsnąwszy się, śmiało wzniósł broń i szybko podbiegł do Teksańczyka, by go wspomóc w walce.

Mając przed sobą dwóch przeciwników, Zorro wydobył zawieszoną przy pasie szablę Love'a i trzymając w każdej ręce broń, parował ciosy zadawane mu raz po raz przez nich obydwu. Wiedział, że nie będzie w stanie długo się bronić, więc korzystając z dostrzeżonej okazji, rzucił się do tyłu przez otwarte drzwi do ciemnego pokoju.

Przeciwnicy podążyli za nim, jednak kiedy rozejrzeli się w środku, od razu zrozumieli, że stracili przewagę, jaką chwilowo zyskali. W słabym odbłasku świec docierającym z korytarza w pokoju można było dostrzec tylko niewyraźne kontury przedmiotów. Czy to jest krzesło w kącie, czy czający się człowiek? Jakiś cień pada na okno, ale czy pada z wewnątrz, czy z zewnątrz?

Love obracał się ku dobiegającym go co chwila ze wszystkich stron dźwiękom i ruchom. Wtem czyjaś broń uderzyła w jego szablę, niemalże wytrącając mu ją z ręki, i walka rozgorzała na nowo.

Naprzeciw niego ktoś wpadł na kanapę i przewrócił się na podłogę. Zanim Love zdążył dojrzeć, kto to jest, jego własne stopy zaczepiły o dywan i upadł, trzymając szpadę w wyciągniętej przed siebie ręce. Nagły ruch po jego lewej stronie zmusił go do gwałtownego obrotu. W ostatniej chwili zdołał sparować potężne cięcie, przetoczył się w bok, poderwał na nogi i przypuścił kontratak za pomocą serii gwałtownych uderzeń, które odrzuciły jego przeciwnika pod ścianę i w końcu posłały go na podłogę.

- Więc legendarny Lis spotkał godnego siebie przeciwnika - rzekł Love triumfalnym tonem.

Szukał właśnie szablą odsłoniętego miejsca na ciele leżącego przeciwnika, kiedy do pokoju wbiegło trzech kolejnych strażników. Jeden z nich trzymał w ręce pochodnię, która oświetliła chwiejnym blaskiem pokój i leżącego u jego stóp Montero.

- Ty głupcze! - wyrzucił z siebie poszarzały na twarzy Montero. - On

uciekł!

## 18

### *Flirt z niebezpieczeństwem*

Kiedy broń Love'a i Montero szczekała w ciemności, Alejandro przedostał się do przyległego pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi. Rozpoznawszy, gdzie jest, pośpieszył na balkon, który wychodził na prywatny dziedziniec, akurat w porę, by zobaczyć, że wprost na niego wybiega kapral Lopez na czele czterech żołnierzy.

Odwrócił się w kierunku korytarza, ale i stamtąd dobiegły go odgłosy zbliżającej się innej grupy żołnierzy. Jedynym rozwiązaniem była próba ucieczki przez balkon. Przytulając się do muru hacjendy, wydostał się na zewnątrz w kilka sekund, nim drzwi do pokoju otworzyły się z hukiem. Rezygnując ze wszelkich środków ostrożności, rzucił się w przeciwny koniec balkonu po to tylko, by ujrzeć kolejnych żołnierzy z szablami w dłoniach zbiegających po schodach na dziedziniec. Zobaczywszy go, obie grupy żołdaków rzuciły się ku niemu. Alejandro błyskawicznie ocenił, którzy z nich dotrą do niego pierwsi.

- Przepraszam, panowie - powiedział - ale muszę wyjść, by zaczerpnąć powietrza.

Odczekał do ostatniej chwili i rzucił się przez balustradę na dziedziniec. Żołnierze zderzyli się ze sobą, tworząc kłębowisko rąk, nóg i szabel.

Lądowanie Zorro, chociaż zwinne, nie było zbyt ciche. Kapral Lopez i jego żołdacy odwrócili się ku usłyszanemu hałasowi i natarli od razu, spychając Alejandro ku okrągłemu stołowi Montero. Wykonawszy unik, Alejandro

uderzył jednego z żołnierzy w głowę rękojeścią szabli i wykorzystał jego leżące ciało jako punkt odbicia, aby wskoczyć na stół. Stanąwszy na nim, zaśmiał się, unosząc głowę.

- Piękna noc na to, żeby kogoś przeszyć szpadą, co, kapralu?! - skierował ostrze szpady ku raptownie przestraszonym żołnierzom. - Który z was chciałby być pierwszy?!

Rzucili się na niego gromadą, otaczając go ze wszystkich stron i zmuszając nie tylko do walki, lecz i do tańca, kiedy uskakiwał przed syczącymi ostrzami, odbijając inne ostrza błyskawicznymi blokadami. Wreszcie podskoczył do góry i uchwycił się jedną ręką gałęzi drzewa, postanowił wykorzystać w walce również nogi.

Nadal zwisał na jednej ręce z gałęzi, zadając ciosy szpadą i obydwoma nogami, kiedy na dziedziniec wpadli Love i Montero. Potężnym wymachem Alejandro przerzucił się nad głowami żołnierzy i wylądował przy płóciennej mapie wyimaginowanej Republiki Kalifornii. Kiedy Montero i Love przypuścili atak, Zorro obrócił się i przeciął liny podtrzymujące mapę, która składając się, spadła na obydwu przeciwników.

Kryjąc się w cieniach wschodniej kolumnady, Alejandro podbiegł do zewnętrznego muru, mając nadzieję, że Tornado czeka gdzieś tam na niego po drugiej stronie. Zobaczywszy drabinę opartą o krawędź dachu, podbiegł do niej, nadal ścigany przez żołnierzy. Biegący tuż za nim stary wojak usiłował go trafić ciągle ponawianymi ciosami, kiedy Alejandro szybko zaczął wspinać się po szczeblach. Zacisnąwszy dłonie na drabinie, Alejandro szarpnął nią mocno, przerzucając ją w ten sposób, że nagle zawisł u jej dolnej strony.

Wisząc na drabinie, odrzucił kopniakiem drugiego żołnierza, chociaż pierwszy nadal usiłował go trafić. Przerzucił drabinę z powrotem na drugą stronę, odrzucając pierwszego z wojaków i trafiając kolejnego butem wprost w

twarz. Przedostawszy się na dach, podbiegł do szczytu muru i zagwizdał na Tornado. Jednak koń nie zareagował, być może go nie usłyszał. Alejandro rzucił się w kierunku stajni, biegnąc po szczycie muru jak cyrkowy artysta.

Stojące w boksach konie zaczęły parskać na jego widok. Przyłgnąwszy do ściany, począł przyglądać się wierzchowcom, aby ocenić, który okaże się najszybszy. Zatrzymał właśnie wzrok na jednym z nich, kiedy drzwi frontowe otworzyły się raptownie i z zewnątrz dobiegły stłumione okrzyki pościgu. Alejandro wydobył szpadę i zajął pozycję, oczekując, kiedy ukaże się ścigający go człowiek. Ku swemu zaskoczeniu ujrzał, że tą osobą jest ubrana w nocny strój i trzymająca w ręce szpadę Elena.

- Dobry wieczór, señorita - powiedział, schylając głowę w ukłonie. -

Znowu się spotykamy.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Dobry wieczór, señor.

- Jeszcze raz muszę panią ostrzec, żeby pani uważała. Tu się kręcą niebezpieczni ludzie.

Elena zacisnęła usta.

- Na przykład ludzie, którzy udają zakonników?!

- Ach, któż nie chciał w jakimś momencie życia poświęcić się kościołowi?

- Kościół nie jest miejscem dla złodziei, señor - powiedziała, wysuwając rękę. - Chcę, aby oddał pan to, co zostało skradzione mojemu ojcu.

Alejandro roześmiał się, ale zaledwie dał krok do przodu, Elena uniosła szpadę, celując w jego serce.

- Och, señorita, czy musimy się spierać?

- Nie, jeżeli zwróci pan własność mojego ojca.

Natarła na niego z gniewem w sprawny i śmiertelnie groźny sposób. Za-



skoczony Alejandro uniósł szpadę i odskoczył, cofając się przed nią.

- Mógłbym powiedzieć parę interesujących rzeczy o pani ojcu, señorita, ale nie mam na to czasu. Nie mam też czasu, by pouczać panią, jak prawidłowo używa się szpady.

Elena poczęła zataczać w powietrzu małe kółeczka czubkiem szpady.

- Raczej nie potrzebuję pańskich pouczeń, señor. Miewam w ręku szpadę od czasu, kiedy skończyłam cztery lata.

Wykonawszy sprawny zwód, ruszyła do przodu i udało się jej przeciąć jego koszulę. Alejandro znowu się cofnął, dotykając cięcia dłonią.

- Podziwiam pani umiejętności, ale przestrzegam przed nadmierną pewnością siebie.

Znowu natarła, odpowiadając na jego uderzenia doskonałymi blokadami i błyskawicznymi ripostami. Walczyli przez kilka chwil, zanim cofnęli się od siebie. Alejandro widział, że szlafrok spowalnia jej ruchy, jednak zaskoczyła go niezmiernie, kiedy ujrzał, że zrzuca go z siebie i staje przed nim w długiej nocnej koszuli na szerokich ramiączkach.

- Odkrywa się pani przede mną w więcej niż jeden sposób, señorita - powiedział.

Ruszył do przodu, markując atak, po to tylko, by ją wyminąć i obróciwszy się, rozciął czubkiem szpady jej koszulę tak, że odsłonił gładką krągłość jej lewego biodra.

- Dobra robota - pochwaliła go.

- Zgadza się - odparł, patrząc na jej odsłonięte ciało.

Nie zniechęcona, znowu podjęła natarcie, ale została powstrzymana przez jego glisady i kontruderzenia. Alejandro przeciął jedno z ramiączek jej koszuli, która osunęła się, odsłaniając górną wypukłość piersi.

- Ma pani kłopoty z utrzymaniem broni - powiedział. - Niedługo będzie

pani całkiem odsłonięta i gotowa do rozbrowienia.

Wychylił się ku niej i skradł całusa. Oburzona Elena wznowiła natarcie, podniósłszy przedtem szlafrok, który poczęła wykorzystywać do parowania jego pchnięć. Potrząsała nim nawet wprost przed jego twarzą, by go zmylić. Wystarczyła jednak krótka seria szybkich cięć, i szlafrok został pozbawiony jednego rękawa.

- Całkiem godne podziwu - zauważył.

Elena spojrzała wprost na niego.

- Rzeczywiście - odparła.

Alejandro znowu skradł jej całusa, jeszcze bardziej ją wzburzając. Natarła, spychając go pod stos siana, a kiedy usiłował wejść w zwarcie, chwyciła klingę jego szpady przez trzymany w ręku "szlafrok, wyrwała mu ją z ręki i cisnęła na drugą stronę stajni.

- To może skomplikować sprawy - zauważył Alejandro, podobnie jak ona zaskoczony takim obrotem rzeczy.

Elena ruszyła na niego, odsłaniając zęby w uśmiechu. Znalazłszy się w potrzasku, Alejandro padł do tyłu na siano, gubiąc kapelusz i jednocześnie parując jej cios piętami oraz ostrogami. Z ostróg posypały się iskry, lecz udało mu się uwiezić między nimi jej szpadę. Przetoczywszy się z boku na bok, wyrwał broń z ręki Eleny, która szybko chwyciła jego własną broń i ponowiła atak.

Cieężko oddychając, wymierzył ku niej ostrze jej szpady.

- Lżejsza - zauważył. - Aż pływa w ręce.

Elena zatrzymała się, by otrzeć pot z czoła. Jej piersi falowały, poruszane gwałtownym oddechem. Zaczęła poprawiać koszulę, by odzyskać nieco powagi.

- Jestem pewna, że będzie pan winił szpadę za swą porażkę - powiedziała

przesłodzonym tonem.

Natarła na niego gwałtownie, chociaż niezbyt zręcznie. Alejandro wybił trzymaną przez nią szpadę, która poszybowała w powietrzu, utkwiała w drewnianym słupie, sprężynując w górę i w dół, jak gdyby do nich machając. Potem uśmiechając się chytrze, zadał masę precyzyjnych uderzeń, które jeszcze bardziej umniejszały skąpe przyrodzenie, jakie na niej jeszcze pozostało. W końcu jej nocna koszula opadła na podłogę.

- Walczyła pani dzielnie, señorita, ale wyraźnie została pani pokonana.

Nie bacząc na swą nagość, Elena patrzyła zaczepnie wprost w jego oczy. W jej spojrzeniu było coś niemal zapraszającego. Wymierzył w nią szpadę i kiedy podciągnęła na powrót na siebie swój strój, zaczął spychać ją w kierunku stosu siana. Zbliżywszy się do niej tak bardzo, że mogła poczuć na szyi jego gorący oddech, Alejandro przycisnął ją do stogu. Nie mogła się już cofnąć, więc tylko odchyliła się do tyłu, a promień światła księżycowego wnikający przez wysoko umieszczone okno oświetlił jej twarz i płonące gorąco oczy.

- Czy poddaje się pani? - zapytał.

- Ostrzegam pana, señor. Nadal jestem uzbrojona w krzyk.

Jej głos brzmiał nieco szorstko, zarówno ze strachu, jak i z podniecenia.

- Czasami działałam w ten sposób na kobiety.

Pochylił się, by ją pocałować, i nie napotkał większego oporu. Jej wilgotne wargi rozchyliły się, a kiedy uniósł się po pocałunku, zobaczył, że ona patrzy mu wprost w oczy. Pochylił się jeszcze raz, a kiedy wysunęła usta do kolejnego pocałunku, nagle odstał w bok, podniósł swój kapelusz z podłogi i nakładając go, wycofał się.

- Dobranoc, señorita - powiedział, dotykając szpadą krawędzi kapelusza.

Wyrwał swoją szpadę ze słupa, wbił w to samo miejsce jej broń, skoczył na drabinę i wdrapawszy się na poddasze, zniknął z jej oczu.

Elena zadawała sobie w duchu pytanie, czy jej rozczarowanie wynika bardziej z tego, że została pokonana, czy z tego, że została porzucona. Nadal oddychała ciężko i poprawiała na sobie strój, kiedy drzwi stajni otworzyły się i do wnętrza wbiegł jej ojciec, a za nim kapitan Love, kapral Lopez i kilku żołnierzy.

Zaskoczony widokiem potarganego ubioru Eleny, Montero podszedł, by osłonić ją przed wzrokiem pozostałych.

- Co tu robisz?! - zapytał zaniepokojony. - Co się stało?!

- Zorro - powiedziała głośno, przełykając ślinę. - Przybiegłam tu za nim z dziedzińca, walczyłam z nim, ale mnie przemógł.

- To znaczy... - zaczął wstrząśnięty, otwierając szeroko oczy.

- Przemógł mnie tylko szpada. A potem uciekł. Montero stał nieruchomo przez chwilę, niepomny na frustrację w jej głosie.

- Czy rozpoznałaś go?! Czy był człowiekiem w moim wieku?!

Elena wyrwała szpadę ze słupa i przecięła nią w złości powietrze.

- Nie, ojczu. Był młody i... żywiołowy. Bardzo żywiołowy.

Montero spojrział na nią zdziwiony i odwrócił się w kierunku zbliżającego się dźwięku końskich kopyt. To powracał oddział żołnierzy, który wysłano, by sprawdzili płonący znak na wzgórzu.

- Ani śladu nikogo - usłyszała Elena głos sierżanta składającego meldunek kapitanowi Love'owi.

- Mieliśmy tu intruza - odparł Love. - Weź swoich ludzi i jedź na most, by odciąć mu drogę ucieczki - rozkazał, a potem zwrócił się do kaprała Lopeza: - Przeszukać las. Strzelać do wszystkiego, co się poruszy. Nawet gdybyście nie byli pewni, że to jest Zorro.

Słyszając okrutny rozkaz kapitana, Elena poczuła, jak przeszywa ją zimny dreszcz. Spojrzała na ojca, myśląc nad tym, jakiego rodzaju rzeczy Zorro mógł

powiedzieć jej o nim.

Kiedy Lopez ze swoim oddziałem opuszczał pełnym galopem teren hacjendy, kierując się do zalesionej rozpadliny leżącej na jej wschodnich obrzeżach, Tornado nadal nie odpowiadał na wezwanie Zorro. Żołnierze rozproszyli się na linii drzew, przeszukując porośnięty wierzbami, krzewami bawełny i dębami teren, a potem uformowali tyralierę, by dokładnie przeczesać zarośla.

- Trzymać się razem! - rozkazał Lopez. - Nie zostawiać za dużych odstępów.

Alejandro, który do tego czasu zdołał dotrzeć zaledwie do zarośli na bliższym stoku rozpadliny, odczekał, aż jeźdźcy znikną pomiędzy drzewami, i znowu wyczołgał się na otwartą przestrzeń, aby zagwizdać na Tornado. Tym razem wierzchowiec zaskoczył go, reagując niezwłocznie na wezwanie. Wychnął z rozpadliny szybkim truchtem i zatrzymał się o parę metrów od niego, jednak Lopez również usłyszał gwizd i rozkazał żołnierzom, by zawrócili konie i wydostali się z wąwozu. Alejandro pobiegł ku Tornado, słysząc narastający grzmot kopyt.

- Czas, żebyś udowodnił, iż jesteś nie tylko ładny - powiedział do andaluzyjczyka. - Ruszamy.

Zgodnie z poleceniem Tornado ruszył, ale zrobił to, gdy jego pan dopiero zdążył sięgnąć do lęku, więc przeciągnął go kilka metrów po ziemi i znowu porzucił w zaroślach. Pędząc za pozbawionym jeźdźcą koniem, oddział Lopeza przegalopował obok tego miejsca, lecz Alejandro się nie poddawał. Przebiegł po pniu zwalonego przez piorun drzewa i rzucił się na ostatniego konia w szyku, lądując za jego siodłem. Kiedy żołnierz obejrzał się, Alejandro wysadził go z siodła i chwycił za wodze.

Przynaglając konia ostrogami, zrównał się z następnym żołnierzem i w podobny sposób wysadził go z siodła. Przeskakując z konia na konia i zrzuca-

jąc na ziemię kolejnych jeźdźców, przesunął się na czoło oddziału tuż za kaprała Lopeza, nieświadomego, co się dzieje za jego plecami.

Kiedy jeden z pozbawionych jeźdźców koni zaczął się zrównywać z kapralem, Alejandro przechylił się, chwycił jego wodze i stając na siodle swojego konia, postawił jedną stopę na siodle biegnącego obok wierzchowca. Wyprzedził Lopeza, przejeżdżając nad nim w rozkroku i zasłaniając przed jego oczami nisko zwisającą gałąź, która przegradzała im drogę. Alejandro wypuścił wodze obydwu koni, przeskoczył przez gałąź i znowu wylądował stopami na siodłach obydwu wierzchowców. Nieszczęsny Lopez uderzył z całej siły w gałąź i spadł z konia.

Alejandro zrównał się z Tornado tuż przed mostem łączącym dwa brzegi rzeki i przeskoczył w biegu na jego siodło. Koń jak wichur dopadł mostu, ale gdy przebiegł pół jego długości, zatrzymał się, parskając i wspinając na tylne nogi. Na przeciwległym końcu mostu stało około pół tuzina żołnierzy na koniach. Dudniąc kopytami o deski, Tornado zawrócił i ruszył z powrotem, ale i z tego końca mostu pojawiło się czterech szybko zbliżających się wojaków.

Tornado znowu zawrócił, zdezorientowany, a Alejandro dobył swej szpady.

- Siedmiu po jednej stronie i czterech po drugiej! - krzyknął. - Którymi się zajmiemy?!

Tornado zarżał i runął w kierunku większej grupy.

- A więc chcesz, by to była uczciwa walka.

Ogier zatrzymał się gwałtownie, jakby reagując na słowa swego pana. Kładąc uszy po sobie i otwierając szeroko przerażone oczy, zawrócił i ruszył ku czwórce żołnierzy.

- Zdecyduj się wreszcie! - wrzasnął Alejandro.

Tornado zadreptał w miejscu, obrócił się ku barierze i skoczył ponad nią

w płynące w dole wzburzone nurty rzeki.

Godzinę później na hacjendzie były comandante słuchał z niedowierzaniem meldunków żołnierzy.

- Co zrobił?! - zapytał w końcu dowodzącego oddziałem sierżanta.

- To prawda, *patrón*\*. On i czarny ogier skoczyli z mostu. Patrzyliśmy przez dłuższą chwilę, ale żaden nie pokazał się na powierzchni.

\* *Patrón* - protektor.

- To naprawdę syn szatana - powiedział Lopez spod pokrywających jego głowę skrwawionych bandaży.

Montero spojrzał ostro na kapitana Love'a.

- A mapa?! Tekszańczyk pokręcił głową.

- Kapitanie, pamięta pan naszą rozmowę dotyczącą prac w kopalni?

- Pamiętam.

- Więc chcę, żeby się pan zajął jak najszybciej usunięciem dowodów.

- Zajmę się tym - oświadczył Love, kiwając głową.

## *Oślepiiony żądzą zemsty*

Kiedy Alejandro zdejmował swe mokre ubranie, Diego zajął się studium namokniętej mapy.

- *Caballo loco!*\* - zawołał gniewnie Alejandro pod adresem swego wierzchowca, który spokojnie gryzł owies w stajni u wejścia do jaskini. - Już nigdy mi tego nie rób! Mogłeś zabić nas obydwu. A przede wszystkim - dodał, odrywając od ciała swą pozbawioną jednego rękawa koszulę - Zorro nie lubi być mokry!

\* *Caballo loco* - szalony koń.

- Przestań już zajmować się swoim strojem - powiedział Diego, rozkładając mapę, by Alejandro mógł się jej przyjrzeć. - Opowiedz mi jeszcze raz o tej kopalni.

Alejandro przetarł oczy i przystawił palec do jednego z licznych tajemniczych symboli umieszczonych na mapie.

- W tym miejscu znaleźli złotonośną żyłę. Na północny wschód od publo, mniej więcej w połowie drogi do kanionu San Felicia.

- Znam ten teren - rzekł Diego, kiwając głową.

- W kopalni jest mniej niż dwudziestu strażników. To nic dla Zorro - powiedział Alejandro, szczerząc zęby w uśmiechu. - Albo, prawdę mówiąc, dla dwóch Zorro.

Nie reagując na jego słowa, Diego złożył mapę i odszedł od stołu.

- Więźniowie są osłabieni z braku jedzenia i przez ciągłą pracę na gorącym słońcu - ciągnął Alejandro - ale na pewno przyłączą się do walki, kiedy



zostaną uwolnieni.

- Nie pojedę do kopalni - powiedział Diego, patrząc na niego.

Alejandro zmarszczył brwi.

- Co mówisz? Przecież to oczywiste, że pojedziesz.

- Jest pewna rzecz, którą się muszę zająć - odparł Diego. - Czekałem dwadzieścia lat, żeby to naprawić.

- To, co mówisz, nie ma sensu. A co będzie z ludźmi, których Montero uwięził i teraz chce pogrzebać?!

Wyraz twarzy Diego nieco złagodniał.

- Teraz mają ciebie.

- Mnie?! - zapytał Alejandro, patrząc na niego zdziwiony. - Nie dam sobie rady! Sam przeciwko dwudziestu ludziom?! Poza tym to ty jesteś prawdziwym Zorro. Ty byłeś ich rzeczywistym obrońcą. Tobie wierzyli. Nie możesz teraz odwrócić się od nich plecami. Twoje osobiste sprawy mogą poczekać.

- Nie mów mi, co ja mogę, a czego nie mogę zrobić! - krzyknął Diego. - Oddałem tym ludziom moje życie! - W jego głosie w miejsce gniewu pojawiła się nuta bólu. - Ty myślisz, że być Zorro to tylko przygody i bohaterskie wyczyny! Ja utraciłem wszystko, Alejandro. Moją żonę zamordowano na moich oczach. Moje dziecko zostało ukradzione i wychowane przez najbardziej zniechęconego przeze mnie wroga...

- Twoja córka?! - powiedział Alejandro, otwierając szeroko oczy. - Chcesz powiedzieć, że Elena...

Diego przerwał mu skinieniem głowy.

Wstrząśnięty Alejandro podszedł do stołu, by się o niego oprzeć.

- Nie wiedziałem o tym. Powinienem być, ale... - pokręcił głową i spojrzał na Diego. - Więc teraz chcesz zemścić się na Rafaelu Montero.

- Odzyskam to, co jest moje - odparł Diego.

- Pamiętasz, co mówiłeś mi nie dalej jak dwa dni temu? - rzucił Alejandro. - Powiedziałeś, że nie można zmienić przeszłości, że zemstą nie można przywrócić martwych do życia. Czy to były tylko puste słowa?

- Jesteś zbyt młody, by to zrozumieć.

- Żeby co zrozumieć?! Zdradę?! Cała ta praca, nauka, wszystkie mądre słowa. Po co to było?! Po to, żebym nauczył się uśmiechać, patrząc w twarz zabójcy mojego brata, kiedy ty będziesz snuł swoje własne plany?! Powiedziałeś mi, że muszę poczekać, aż Love wejdzie do mojego kręgu, zanim podejmę z nim walkę. Czy to samo nie dotyczy ciebie i Montero?! Czy tu nie chodzi o coś więcej niż samą zemstę?!

Diego uderzył mapą o otwartą dłoń.

- Ta mapa daje mi argument, jakiego potrzebuję przeciwko Montero. Chcąc zrealizować swoje marzenie o niepodległej Kalifornii, zrobi wszystko, czego zażądam, aby nie ryzykować tego, że mapa wpadnie w ręce Santa Anny. On sam powie Elenie prawdę o jej przeszłości.

- I co będzie wtedy? - zapytał Alejandro. - Pozwolisz Montero zrealizować ten potworny plan, wiedząc, co on zrobi z tymi niewolnikami, kiedy transakcja zostanie już przeprowadzona?!

- Nauczyłem cię wszystkiego, czego trzeba, abyś temu zapobiegł!

- Zrobiłeś ze mnie swą własną broń, tak?! Jestem bronią, której nie możesz utrzymać w swej dłoni, bo jesteś za słaby!

Diego spojrział na niego, podnosząc głowę.

- Muszę słuchać mojego serca. Moja córka jest całym moim życiem i zrobię wszystko, co trzeba, aby ochronić ją przed krwawą łaźnią, jaka nastąpi, kiedy Santa Anna przejrzy zdradę Montero.

- Ja także kocham twoją córkę, ale nawet jej życia nie mogę przedłożyć nad życie aż tak wielu - rzucił Alejandro, dobywając szpady. - Teraz przeko-

namy się, czy jeszcze potrafisz walczyć.

Diego zawahał się, spojrzawszy na ustawione na stojaku liczne szpady, jednak nie ruszył ku nim, jedynie odwrócił się, by spojrzeć bez słowa na Alejandro.

- Może kiedyś byłeś świetnym szermierzem! - warknął Alejandro. Obdarzył Diego ostatnim gorzkim spojrzeniem, a potem odwrócił się i opuścił w gniewie jaskinię.

Montero i Love spędzili dzień na dopracowywaniu planu przewozu złota. Wysłany przez dona Luiza kurier przybył z wiadomością, że Santa Anna nie zgadza się na żadne opóźnienia. Wieczorem na swym prywatnym dziedzińcu Montero zapatrzył się na połataną i zawieszoną na nowo mapę krainy. Kiedy Love zszedł z balkonu po schodach, zastał go przed nią, jakby wpatrywał się w przyszłość.

- Mamy obstawiony każdy kawałek terenu - zameldował Teksańczyk. - Od San Pedro po kanion San Felicia i od San Gabriel aż do Santa Barbara. Jeżeli on się pokaże... - Nie dokończył zdania, dostrzegając, że Montero go nie słucha. - Czy nic panu nie jest? - zapytał.

- Nadal nie ma mapy - powiedział Montero, stwierdzając z dziwnym spokojem rzecz oczywistą dla nich obydwu.

- Odzyskamy ją.

- Za mojego życia?! Co będzie, jeżeli Zorro pokaże mapę Santa Annie?!

Czy pana raczkująca armia będzie gotowa stawić mu czoło?!

- To będzie nasza ostatnia walka - mruknął Love.

- Więc dlaczego pyta mnie pan o takie błahostki jak to, czy dobrze się czuję?! - huknął Montero.

Love odczekał chwilę.

- Znajdziemy go - obiecał.

- Zaczynam myśleć, że mój koń lepiej dowodziłby armią niż pan - rzucił gniewnie Montero.

- Powiedziałem, że go znajdę - odparł Love. - A to znaczy, że tak się stanie.

Podchodzili akurat do otaczających dziedziniec krużganków, kiedy z ich cienia dobiegł ich czyjś głos.

- Może mógłbym oszczędzić wam tego kłopotu.

Z ciemności wychynęło ostrze szpady. Jej czubek dotknął miękkiego miejsca pod podbródkiem Montero, który zatrzymał się z grymasem na twarzy. Love błyskawicznie sięgnął po broń, ale znieruchomiał, kiedy zobaczył, że ostrze szpady napastnika naciska na szyję Montero.

- No proszę, niech pan wyciągnie broń, kapitanie - rzucił nieznajomy. Love cofnął rękę.

- Kim jesteś? - zapytał Montero. - Jak się tu dostałeś?

- Znam ten dom. Balkony, dziedzińce i twój osobisty gabinet..

- Odpowiedz mi! Kim jesteś?!

Stojący w ciemności człowiek parsknął krótkim śmiechem.

- Duchem, który cię prześladował przez pół życia, tym, który cię ostrzegł, że nigdy się go nie pozbędziesz.

Czubek szpady przesunął się do kołnierzyka Montero i odsunął go, odsłaniając zygzakowatą bliznę.

- De la Vega! - jęknął Montero.

- Zorro! - rzucił Love.

Diego powoli wynurzył się z ciemności.

- Znowu się spotykamy, Rafaelu.

Montero patrzył na niego, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

- Ty... ty nie jesteś tym Zorro, który był tutaj ostatniej nocy - zdołał wy-

krztusić z siebie.

- Jest wielu, którzy z przyjemnością włożyliby maskę Lisa, Rafaelu.

- I tak się spóźniłeś - rzekł Montero, podnosząc śmiało głowę. - Nawet ty nie możesz powstrzymać tego, co już zostało wprawione w ruch.

- Och, nie przybyłem tutaj, by cię powstrzymać, Rafaelu. Przyszedłem po Elenę. Poślij po nią. Chcę, żeby usłyszała prawdę z twoich własnych ust. Jeśli nie, to Santa Anna dowie się o wszystkim. Masz prosty wybór: Republika Kalifornii albo moja córka.

Wzrok Montero kipiał nienawiścią. Zdezorientowany Love spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- Poślij po nią - powtórzył Diego. - Bo jak nie, to już nigdy nikogo nie zawołasz.

Nacisnął nieco mocniej szpadę, nieomal przebijając mu skórę na szyi. Montero dał ręką znak kapitanowi.

- Znajdź Elenę. Przyrowadź ją tutaj.

- Jest pan pewien...

- Przyrowadź ją!

Love wycofał się niechętnie i zniknął pod krużgankami. Montero patrzył wprost w oczy Diego, wytrzymując jego wzrok.

- Jeżeli ja zginę, to prawda zginie razem ze mną - powiedział. - Zabij mnie, a wtedy pozbawisz Elenę jedyne go ojca, jakiego zna od dwudziestu lat - dodał ośmielony własnymi słowami. - Elena nigdy ci tego nie przebaczy.

- Już o tym myślałem - powiedział Diego, skinąwszy głową. - I jestem przygotowany na takie ryzyko - dodał, cofając nieco ostrze szpady. - Nie możesz sobie wyobrazić, ile wymyśliłem sposobów zabicia ciebie, Rafaelu, tortur, od których zrobiłoby się niedobrze markizowi de Sade'owi.

- Czyżby? - rzekł Montero obojętnym tonem. - Ja o tobie nigdy nie my-

ślałem.

Diego roześmiał się szyderczo i już miał odpowiedzieć, kiedy spod krzesełek zabrzmiał głos Eleny.

- Ojczy! - zawołała, wychodząc na dziedziniec.

Love podążył o krok za nią. Elena zatrzymała się, spoglądając najpierw na Montero, a potem na Diego.

- Bernardo! Co ty tu robisz? Odłóż natychmiast szpadę.

- Powiedz jej, Rafaelu - rzekł Diego, spoglądając na Montero.

Montero milczał, zaciskając usta.

- Co masz mi powiedzieć?! - zapytała Elena z niepokojem. - Proszę, uświadomijcie mi, co tu się właściwie dzieje!

- Powiedz jej! - warknął Diego, wzmacniając swe słowa naciskiem szpady. - Powiedz, kto jest jej prawdziwym ojcem.

- Ojczy?! O czym on mówi?!

Zdawało się, że Montero już ulegnie, kiedy na jego ustach pojawił się ironiczny uśmiech.

- Eleno, ten człowiek jest szalony. Jego córka zmarła dawno temu i teraz on chce, żebyś ty należała do niego. Nie dalej jak wczoraj domagał się tego samego od córki dona Hectora...

- Powiedz jej, jak zginęła jej matka - przerwał mu Diego.

- Twoja córka nie żyje, de la Vega - odparł Montero, spoglądając na niego. - Musisz zapomnieć o przeszłości.

- De la Vega?! - powtórzyła zaskoczona Elena.

Obydwaj, Montero i Diego, spojrzeli na nią.

- Pewna Indianka na targu powiedziała mi...

- Eleno! - zawołał Montero. - Zostaw nas natychmiast! Słyszysz mnie?!

Elena bez ruchu patrzyła na Diego.

- Ta Indianka powiedziała, że Diego de la Vega był moim ojcem. Powiedziała mi, że moja niñera wieszała coś przy mojej kołysce.

- Eleno! - zawołał wzruszony Diego. - Tak... Twoja matka kazała jej zawieszać na kołysce świeże kwiaty.

Elena spojrzała na niego w konfuzji.

- Ale ty twierdziłeś, że jesteś... - spoglądała na niego przez wzbierające w jej oczach łzy. - Tak samo jesteś sługą, jak Alejandro jest caballero. Dlaczego mnie oszukiwaliście?!

- Eleno - powtórzył Diego, opuszczając nieco niżej szpadę.

Love, który cały czas czujnie obserwował całą scenę, sięgnął po rewolwer. Dojrawszy to kątem oka, Elena rzuciła się do przodu, przesłaniając sobą Diego, tak samo jak zrobiła Esperanza owej tragicznej nocy wiele lat temu. Zarówno Montero, jak i Diego rzucili się do Teksaszczyka, lecz Montero dopadł go pierwszy. Podbił mu rękę i kula znacznie chybiła celu. Nie mogąc opanować gniewu, Montero uderzył go grzbietem dłoni w twarz. Diego wziął w objęcia Elenę, by ją osłonić, a Love zatoczył się do tyłu nie tyle z bólu, co z zaskoczenia. Zaalarmowani odgłosem strzału trzej żołnierze wbiegli na dziedzińiec. Diego odsunął się od Eleny, znowu unosząc broń.

- Opuść szpadę - syknął ostrzegawczo Montero - albo nie będę miał wyboru i każę im cię zastrzelić, nawet na oczach mojej córki.

Elena spojrzała na Diego.

- Proszę, zrób, co ci każe.

Diego popatrzył jej prosto w oczy, a potem skinął głową i opuścił szpadę. Dwaj żołdacy pochwycili go, a trzeci podjął z posadzki jego broń.

- Kwiaty - powiedział Diego odprowadzany przez żołnierzy. - Romania!

Elena zadrżała na dźwięk tego słowa.

- Ona wie! - krzyknął Diego głośno, tak by Montero go usłyszał.

- Ty już nie żyjesz - odparł szeptem Montero.

Podszedł szybko do Eleny i wziął ją w ramiona.

- Boże, bałem się, że cię stracę - powiedział wstrząśnięty.

Elena odsunęła go od siebie, patrząc z gniewem na kapitana Love'a.

- Zabiłby pan człowieka za to, że pielęgnuje w sobie jakąś iluzję, kapitanie?! - zapytała, odsuwając się od Montero i spoglądając mu prosto w oczy. - A może w słowach don Diego jest więcej prawdy, niż chcesz przyznać, ojczcze?! Żądam prawdy!

- Słyszałaś prawdę, dziecko. Ten człowiek jest szalony. Teraz idź do swojego pokoju. Porozmawiamy o tym wszystkim rano.

Elena pokręciła głową.

- Nie odejdę, dopóki mi nie odpowiesz. Czy Diego de la Vega jest moim ojcem?!

- Ja jestem twoim ojcem i zawsze nim będę - odparł Montero ostrym tonem. - A teraz wracaj do domu.

Elena odwróciła się i łkając, podążyła ku krużgankom.

Przebiegła krużgankiem zaledwie pięć metrów i stanęła, by się ukryć za jednym z filarów podpierających łukowate sklepienie. Ocierając łzy z oczu, zaczęła z ukrycia obserwować znajdujących się na dziedzińcu kapitana Love'a i jej ojca.

- ...jeszcze raz zagrozi mojej córce - mówił jej ojciec, starając się zapamiętać nad furia - to zabiję pana osobiście.

Reakcja kapitana pozbawiona była jakiegokolwiek pokory.

- A gdybym dopuścił do tego, żeby on powiedział jej dzisiaj prawdę?! Boże, człowieku, dlaczego przynajmniej mnie pan nie powiedział, kim ona jest?!

Jej ojciec nic nie odpowiedział. Podszedł do schodów wiodących na bal-



kon i począł wydawać polecenia.

- Przygotować konie. Wyjeżdżamy zaraz do kopalni.

- Rozważniej byłoby poczekać do świtu - odparł Love uspokajającym tonem. - Mamy jeszcze dość czasu.

- Pan nadal nic nie rozumie, kapitanie. Zorro jest na wolności, więc tam będzie.

Elena odczekała w ukryciu, aż weszli na schody. Na dziedzińcu zapadła cisza, zakłócana tylko bezustannym szelestem cykad i innych nocnych stworzeń. Uniosła wzrok ku gwiazdom, pytając się w duchu o to, co Diego de la Vega i kapitan Love mieli na myśli, mówiąc o „tamtej nocy”. Instynktownie zrozumiała, że jej własne życie doszło do punktu zwrotnego. Usiłowała ogarnąć myślami to, co teraz będzie musiała zrobić, by prowadzić normalne życie. Nie wiedziała nawet, czy to w ogóle będzie możliwe.

## *Maska Zorro*

Montero i Love przybyli do kanionu tuż przed świtem. Wkrótce słońce poczęło się wznosić pod lazurową kopułą nieba, wydobywając z mroku rusztowania i platformy. Oświetlony przez poranne promienie słońca wóz, załadowany złotymi sztabkami, błyszczał, jakby płonął niebiańskim ogniem. Montero i Love przyjrzeni się terenowi z krawędzi kanionu, uznając z zadowoleniem, że wszystko przebiega zgodnie z ich planem.

- Jeżeli towarzysz de la Vegi jest tutaj, to jest przebrany za kogoś innego niż Zorro - zauważył Love, patrząc przez lunetę na robotników i strażę.

Montero skinął głową bez przekonania i rzucił okiem na swój zegarek kieszonkowy.

- Jeżeli mamy się spotkać z Santa Anną w południe, to za pół godziny musimy być w drodze. Dopóki to nie nastąpi, nie widzę powodów do radości.

Pozostawiwszy Montero przy wozie, Love zszedł na dno kanionu, by nadzorować więźniów, którzy wynosili resztki sztabek z magazynu. Złoto umieszczano w wózku zawieszonym na wyciągu, który był poruszany za pomocą napędzanego przez wodę koła łopatkowego, umieszczonego na szczycie rusztowania. Ci ze strażników, którzy nie poganiali robotników batami i kolbami strzelb, rozeszli się po kanionie, żeby rozwinąć lonty prowadzące do ładunków dynamitu umieszczonych w każdym z czterech tuneli. Wszystkie lonty zbiegały się w jedną wiązkę, którą Love miał osobiście zapalić w stosownym momencie.

W jednym z tuneli idący robotnicy i strażnicy musieli zwolnić, gdyż któryś z Indian padł z wyczerpania na spąg. Leżał teraz, nie reagując nawet na liczne razy zadawane rękami i biczami. Kiedy strażnik zrozumiał, że sam nie

da rady odciągnąć go z drogi, zawołał na pomoc franciszkanina, który donosił w wiadrze wodę potrzebującym. Zakonnik podszedł do leżącego mężczyzny i przyłożył do jego wyschniętych ust łyżkę z wodą. Indianin poruszył się i zaczął łapczywie pić, a kiedy uniósł wzrok na twarz swojego dobroczyńcy, zobaczył nad sobą maskę Zorro.

Zorro przyłożył palec do swych ust, nakazując Indianinowi spokój, i pomógł mu wstać. Dwaj współtowarzysze Indianina pomogli mu przejść resztę drogi.

Zorro zauważył, że może utknąć w tłumie więźniów wypędzanych z tunelu, więc wlokąc się z tyłu, przykucnął za wózkiem z rudą, gdzie ściągnął kaptur z głowy i zrzucił habit. Przyciskając się do ściany tunelu, wysunął się ostrożnie na rusztowanie. W dole strażnicy wtłaczali dziesiątki więźniów do trzech klatek, które służyły za ich cele. Nieco dalej ostatni ładunek sztabek złota zbliżał się, wciągany przez koło wyciągu, do pomostu zbudowanego na krawędzi kanionu. Stojący tam Montero spojrział na zegarek i dał ręką sygnał Harrisonowi Love'owi.

Love odpowiedział na jego znak z dołu kanionu i przycisnąwszy ostrogi do boków konia, ruszył ku miejscu, gdzie cztery lonty łączyły się w grubą wiązkę. Tam zeskoczył z konia i zapalił połączony lont dobrze wymierzonym strzałem ze swego colta.

Kiedy Love i pozostali strażnicy wskoczyli na konie i zaczęli się oddalać, więźniowie zrozumieli nagle, że zostaną pogrzebani żywcem przez mające nastąpić eksplozje. Wszyscy poczęli krzyczeć w przerażeniu i rzucać się na kraty swych klatek. Widząc, że nie zdąży przeciąć w porę płonącego lontu, Zorro postanowił nakłonić do tego kapitana. Musiał tylko zrobić coś, co zagroziłoby transportowi cennego ładunku Montero.

Wyskakując z ukrycia, pobiegł śmiało ku lontowi, zwracając na siebie

uwagę dwóch żołnierzy, którzy unieśli do ramion strzelby i dali ognia. Przy wtórze rykoszetujących wokół niego pocisków Zorro zeskoczył ze stojącej przy rusztowaniu drabiny w bezpieczne schronienie otwierające się w pobliżu tunelu.

Love, który zatrzymał konia, oglądał się właśnie przez ramię, gdy Zorro pokazał się znowu. Biegł ku drabinie, która prowadziła do koła wyciągu, ściągany przez dwóch strażników.

Love ruszył galopem do płonącego lontu i przeciął go sprawnie pojedynczym uderzeniem szabli. Więźniowie odsunęli się w uldze od krat, a Teksaszczyk zaczął wspinać się po rusztowaniu ku Montero i wozowi z kruszczem.

- Chronić wóz! - polecił Montero strażnikom, a jego głos poniósł się echem, odbijając się od ścian kanionu. - Zachować czujność.

Kule z pół tuzina strzelb zaryły się w piach tuż pod stopami Zorro, kiedy dotarł do szczytu rusztowania i podbiegł do osi koła wyciągarki. Montero chwycił strzelbę od jednego z żołnierzy i dołączył swój wystrzał do kanonady.

- On jest przy kole! Powstrzymać go!

Zanim strażnicy zdążyli dobiec do drabiny, która prowadziła do pomostu przy osi koła, Zorro podciągnął ją i wsunął pomiędzy szprychy. Napędzane wodą urządzenie zazgrzytało i zamarło w bezruchu, a załadowany złotem wózek zawisł w powietrzu, kołysząc się dwadzieścia metrów poniżej krawędzi kanionu. Zorro zdawał sobie sprawę z tego, że zdołał tylko nieco zyskać na czasie, tym bardziej że widział, jak Montero i strażnicy zaczynają popychać koło, by je uruchomić i ukarać tego, który je zatrzymał. Kiedy dwaj strażnicy wdrapali się na platformę, Zorro zsunął się ku nim po jednej ze szprych i strącił obydwu do kanionu.

Widząc go znowu, Montero i strażnicy, którzy zdążyli już na nowo załadować broń, otworzyli ogień. Tym razem jednak Zorro przełożył szpadę przez

linę naciągową przymocowaną do rusztowania i trzymając się jej, ześliznął się zręcznie w dół. Wylądował na pomoście akurat w ostatniej chwili, żeby stawić czoło dwóm strażnikom, którzy w końcu zdołali wdrapać się z dna kanionu.

Montero podszedł do krawędzi platformy, przyłożył mocno kolbę strzelby do ramienia i wycelował broń.

- Teraz to już koniec! - mruknął.

Nagle coś podbiło mu broń od dołu i kula poszybowała ponad celem. Drugi cios, nie wiadomo skąd, obalił go na ziemię. Odwrócił się, wywijając spod niespodziewanego ataku, i zamarł, rozpoznając napastnika.

- De la Vega!

Poderwał się na nogi, dobywając szpady, gotów do walki, jednak za swym odwiecznym wrogiem zobaczył Elenę. Stała z pistoletem zatkniętym za pas.

- Tak, to ja uwolniłam go z lochu - potwierdziła jego podejrzenia. - Mógł uciekać, ale powiedział, że ma tutaj nie dokończoną sprawę.

Montero zacisnął dłoń na rękojeści szpady i ruszył ku Diego.

- A więc na śmierć i życie! - warknął.

Stojąc na rusztowaniu, Zorro parował ciosy dwóch strażników, którzy dotarli w pościgu za nim na krawędź kanionu. Wytrąciwszy jednemu broń, chwycił go i rzucił na następnego, a potem się obrócił i zaczął wspinaczkę po drewnianym korycie, które doprowadzało wodę ze zbiornika do systemu śluz. Obydwaj strażnicy, których przed chwilą pokonał, wspomagani przez jeszcze jednego, natychmiast podążyli za nim. Zorro miał dość przewagi nad nimi, by skoczyć ku łańcuchowi otwierającemu zbiornik wody, podczas gdy jego prześladowcy byli zaledwie w połowie koryta. Wylewający się, wzburzony strumień wody natychmiast wypełnił koryto, zmywając strażników do jego wylotu, a potem całkiem strącając ich z rusztowania.

Kołysząc się na łańcuchu, Zorro przeskoczył obok zbiornika na następną część rusztowania. Zaledwie jednak stanął na deskach, kiedy kolejny strażnik ruszył na niego, trzymając w rękach topór o dwóch ostrzach. Zorro przykucnął, kiedy topór śmignął obok niego i zarył się z łomotem w jeden ze słupów podtrzymujących zbiornik. Strażnik rzucił się na niego, ale Zorro łatwo wykorzystał jego wściekłą szarżę przeciwko niemu samemu. Uskoczył, obracając się wokół własnej osi, i uderzył strażnika w plecy, rzucając go na ten sam słup, w którym tkwił jego topór. Strażnik nadzieiał się na wystające ostrze topora, zeszywniał we wściekłym zdziwieniu, a potem osunął się, jakby nagle uszło z niego powietrze.

Słyszając dudnienie gwałtownych kroków, Zorro odwrócił się, aby stanąć na wprost biegnącego ku niemu z uniesioną w ręku szablą kapitanowi Love'owi.

- Tylko jedno pytanie, kapitanie Love - powiedział, szykując się do obrony. - Gdzie mam wystawić pana głowę?!

Love natarł, zaciskając zęby. Zorro parował jego potężne uderzenia, ale nie był w stanie podjąć skutecznego kontrnatarcia. Przyciśnięty do słupa podpierającego zbiornik, uchylił się akurat w porę, by uniknąć straszego pchnięcia szablą Tekszańczyka. Kiedy Love zadał kolejny cios, Zorro przetoczył się po ziemi, gubiąc kapelusz, ale zwinnie poderwał się na nogi, by stawić czoło przeciwnikowi, który parł do przodu, siekąc szablą bez ustanku. Wtem ostrza ich broni spotkały się, zastygając w powietrzu. Stali twarzą w twarz, napierając na siebie, gdy nagle Zorro pchnął mocniej, odrzucając przeciwnika na skraj pomostu.

Love zakreślił się w miejscu, rozpaczliwie usiłując odzyskać równowagę, ale, pokonany siłą bezwładności, spadł z pomostu i stoczył się po zboczu, zatrzymując się dopiero na ścianie szopy, w której wytapiano rudę. Zorro odpro-

wadził go przez chwilę wzrokiem, a kiedy spojrział na dno kanionu, zobaczył grupę strażników, którzy biegli ku rusztowaniu. Zerknął znowu w kierunku szopy, ale Love zniknął już gdzieś za licznymi kołami zamachowymi i urządzeniami kontrolnymi kotła parowego, więc sam rzucił się na zbocze. Zbiegł wielkimi krokami po osypujących się drobnych kamykach, aż zatrzymał się na bocznej ścianie szopy.

Skoczył ku jej drzwiom, by schronić się przed kulami strażników, wy dobył sztylet i ostrożnie wśliznął się do środka. Od razu uderzył go podmuch gorąca z pieca i kadzi wypełnionej płynnym żużlem. Skądś dobiegł piskliwy odgłos zakręcanego zaworu i nagle kocioł parowy zaczął drżeć na swych posadach. Zorro rzucił się ku drzwiom i zaczął z powrotem wspinać się na rusztowanie. Zdażył na kilka sekund przed potężną eksplozją, która zburzyła frontową ścianę budynku, grzebiąc pod jej gruzami czterech strażników.

Zorro skoczył śmiało do koryta doprowadzającego wodę i ześliznął się nim, przebijając się przez deszcz płonących okruchów, które poczęły wzniecać ogień w różnych punktach rusztowania. Wylądował na pokrytej rudą rampie tuż obok wagonika. Poderwał się błyskawicznie na nogi, aby zobaczyć, że z obu stron jest zablokowany przez strażników.

Rzucili się ku niemu, lecz on skoczył ku grubej linie wyciągu, z której zwieszała się wielka skrzynia pełna skalnych okruchów, i przeciął ją, zanim zdolali go dopaść. Skrzynia spadła na tory, uderzając w nie z taką siłą, że dwaj strażnicy, którzy znajdowali się na końcu rampy, wylecieli w powietrze jak z katapulty i przeleciawszy nad jego głową, wpadli do wagonika z rudą. Zorro naparł na wagonik barkiem i zepchnął go na drugi koniec rampy wprost na pozostałych strażników, zmuszając ich do zeskoczenia z rusztowania.

Podniósłszy wzrok do góry, zobaczył, że Love wybiega z ruin szopy, kierując się na rusztowanie o jeden poziom powyżej niego. Podstawa rusztowania

płoneła, posyłając w niebo kłęby dymu.

Nie wiedząc, co robić, Elena jak sparaliżowana obserwowała pojedynek Montero i Diego. Zaciśnęła drżącą rękę na rękojeści pistoletu, ale nie będąc pewna, kto powinien być jej celem, nie potrafiła zdobyć się na strzał. Ojciec, którego znała, walczył z człowiekiem, który pojawił się z mroków przeszłości, by oświadczyć, że ona jest jego dzieckiem... Czy Diego był ofiarą swej chorej wyobraźni, tak jak twierdził Montero, czy też była oszukiwana przez całe życie?! Znowu powróciły do niej w pamięci słowa Indianki oraz niejasne skojarzenia, które sprowokował zapach kwiatów romanii. Nie mogła też zapomnieć dźwięku głosu Diego, który wywoływał w jej wyobraźni urwane obrazy - być może obrazy z jej własnej przeszłości... Ale nawet te fakty nie rozstrzygały kwestii jej pochodzenia. Diego i Esperanza byli mężem i żoną, ale to przecież nie oznaczało, że Montero nie mógł być jej ojcem. Może dziecko o nazwisku de la Vega nie zginęło w pożarze, który zniszczył hacjendę, ale skoro Diego również ocalał, to jak mogło dojść do tego, że ona została wychowana przez Montero, a poza tym gdzie był Diego przez ostatnie dwadzieścia lat?!

Jadąc w pośpiechu do kopalni, nie mogli pozwolić sobie na nic więcej poza urywanymi okrzykami. Zatrzymali się wprawdzie dwa razy, żeby napić konie, ale kiedy prosiła go o jakieś wyjaśnienie, usłyszała jedynie, że powinna je usłyszeć z ust Montero, że tylko on może wszystko wyjaśnić do końca. Dowiedziała się jedynie o umowie Montero z Santa Anną dotyczącej zakupu Kalifornii za złoto zdobyte krwią niewolników.

To, że nie mogła zdecydować się, którego z nich popierać, mówiło, jak głębokie są jej instynktowne uczucia dla Diego i jak bardzo ucierpiało uczucie wiążące ją z Montero. Wiedziała też jednak, słuchając szczęku śmiertelnej broni, że to wszystko może skończyć się tak, iż nigdy nie dowie się prawdy.

Chociaż Diego wyglądał na słabego i starego, było oczywiste dla niej, iż



to właśnie on jest lepszym szermierzem. Jego szpada śmigła tak, że nawet nie mogła nadążyć za nią wzrokiem i była wprost zdziwiona tym, iż Montero jest w stanie się obronić. W końcu jednak Montero nie sprostał szermierczym umiejętnościom i sile ciosów przeciwnika. Szpada wypadła mu z ręki.

Diego przystawił ostrze swojej szpady do jego piersi. Napięta ręka drżała.

- Teraz nareszcie mogę cię zabić - powiedział, z trudem opanowując wściekłość.

- Nie! - zawołała Elena, podbiegając do boku Montero. - Proszę. Nie!

Diego rzucił na nią okiem, naciskając ostrzem szpady na pierś Montero, i po chwili cofnął broń.

Elena zaryzykowała jeszcze jeden krok ku Montero. Chciała prosić go, by ujawnił wszystko, co wie, lecz on chwycił ją za szyję i zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, wyrwał jej zza pasa pistolet i przystawił go do jej głowy. Teraz już wiedziała, jaka jest prawda.

- Rzuć szpadę - rozkazał Montero.

Diego usłuchał bez wahania, poświęcając więcej uwagi jej niż swojemu wrogowi. Elena ujrzała w jego twarzy prawdziwą ojcowską miłość, a nie nadopiekuńczą czujność, która według Montero miała uchodzić za miłość.

- Jesteś głupcem, de la Vega! - parsknął Montero. - Nigdy bym jej nie skrzywdził!

- A ja nigdy nie naraziłbym jej na takie ryzyko! Montero odsunął Elenę i skierował pistolet ku Diego.

- Nie! - zawołała rozpaczliwie, rzucając się ku Montero, by uniemożliwić mu oddanie celnego strzału.

Jednak spóźniła się nieco, gdyż Diego, ugodzony kulą w bok, obrócił się wokół własnej osi i padł na ziemię.

Patrząc na nią strasznym wzrokiem, Montero odwrócił ją od siebie i

pchnął tak mocno, że zatrzymała się aż na poręczy platformy, uderzając o coś głową. Jak przez mgłę ujrzała, że Diego podnosi się ciężko na nogi ze szpadą w dłoni. Jego koszula była mokra od krwi. Nie miała już teraz wątpliwości, o czyje zwycięstwo powinna się modlić.

Gęsty, duszący dym, który wznosił się od podstawy rusztowania, począł dosięgać uwieczonych robotników. Zorro zrezygnował z szukania kapitana Love'a i ruszył w dół po rusztowaniu ku najbliższej z klatek, gdy wtem tamten wyskoczył z ukrycia i rzucił się na niego od tyłu. Walczyli zaciekle, przesuwając się to w tę, to w tamtą stronę, aż w końcu dotarli na koniec drewnianej kładki, poniżej której wisiał unieruchomiony na wyciągu wózek ze złotem. Szalejący pożar odcinał już im drogę odwrotu.

Zorro zadał cios, rozcinając policzek przeciwnika, i powtórzył podobne cięcie jeszcze dwa razy. Po każdym z nich Tekskańczyk cofał się po kołyszących się deskach, ale nie czując bólu, natarł na Zorro, który zadał mu kolejne cięcie. Zaskoczony Love zatrzymał się, przykładając dłoń do policzka. Kiedy odsunął rękę, ujrzał na dłoni odbity krwią znak.

- To jest „M” - powiedział Zorro. - To znaczy Murieta.

Love wyszczerzył zęby w szaleńczym uśmiechu.

- Arystokrata, renegat i bandyta. Trzy tożsamości, ale jedna śmierć.

Zorro uderzył Tekskańczyka ręką szpady, obalając go na ziemię, jednak Love nie wypuścił broni z ręki. Kiedy Zorro ruszył na niego, Love ciął szablą, nie mierzając jednak w przeciwnika, lecz w linę, która podtrzymywała koniec kładki. Jedna z desek poszybowała do góry, uderzając Alejandro w twarz i rzucając go do tyłu na skraj rusztowania. Zorro podskoczył w ostatnim momencie i zdołał wylądować na zawieszonym w powietrzu wózku, gubiąc przy tym szpadę.

Odzyskawszy pewność siebie, Love skoczył za nim z szablą w dłoni.

- Tym razem, na Boga, będę miał twoją głowę - powiedział, stając tuż przy Zorro.

- Bardzo wątpię, czy Bóg cię wysłucha - odparł Zorro. Love rzucił się na niego.

Zaciskając obydwie dłonie na poręczy platformy, Elena podciągnęła się na nogi. Kilka metrów od niej Diego - jej prawdziwy ojciec - i Montero zwarli się w pojedynku. Poniżej Zorro i Love walczyli na kołyszącym się w powietrzu wózku. Jeszcze niżej płomienie pędziły ku uwięzionym robotnikom, których krzyki o pomoc słychać było aż na krawędzi kanionu.

- Eleno! - krzyknął Diego, nie przerywając walki. - Musisz zrobić, co się da, by ich uwolnić!

Potrząsnęła głową, by wydobyć się z oszołomienia, i ruszyła w dół po rusztowaniu. Schodząc, czuła, jak ogarnia ją coraz większe gorąco i gęsty dym. W pewnej chwili wielki fragment drewnianej konstrukcji, wraz z kładkami, torami, drabinami i schodkami, runął, rozbijając się w płonącym stosie na dole kanionu. Spadające kawałki płonącego drewna zapaliły na nowo wiązkę lontów, którą Love niedawno przeciął szablą. Niemal natychmiast pryskające iskrami języki ognia pomknęły w czterech kierunkach, zbliżając się do tuneli.

Oslabiony przez utratę krwi Diego ledwie trzymał szpadę w ręce, kiedy Montero siekł potężnymi ciosami. Broniąc się, upadł na jedno kolano obok wozu ze złotem i w końcu znalazł się na ziemi. Montero zadawał tak straszliwe ciosy, jakby chciał go raz na zawsze w nią wdeptać, i w końcu szpada wypadła z dłoni Diego.

Przycisnął się do wozu, gdy dostrzegł, że Montero chce zadać śmiertelny cios. Uprzedzając jego cięcie, Diego uchylił się w ostatnim momencie i szabla Montero zamiast ciała de la Vegi przecięła skórzane postronki wozu. Przerazo-

ne konie wspięły się na tylne nogi i runęły do przodu. Diego wciągnął się na ławkę wozu, a Montero znów uniósł szablę, rzucając się do przodu, przekonany, że de la Vega jest na jego łasce i niełasce.

Diego przetoczył się w bok i ostrze szabli zaryło się głęboko w drewnianym siedzeniu. Montero wyrwał szablę i począł nią dźgać w przeciwnika, ale ten za każdym razem zdołał uchylić się w porę. Zepchnięty na koniec ławki, Diego rzucił się rozpaczliwie do ręcznego hamulca wozu i zdołał go zwolnić. Obciążony wóz natychmiast począł się staczać do tyłu, umykając poza zasięg szabli Montero.

Przez chwilę Montero patrzył na odjeżdżający wóz jakby w niedowierzaniu i rozbawieniu, a potem rzucił się śmiało za nim, nie spostrzegając, że przecięty rzemień uprząży zaplątał się wokół jego stóp. Wóz podskoczył nagle, trafiając w duży głaz, i wtedy Montero poczuł, jak potężne szarpnięcie za nogi obala go na ziemię. Usiłując wczepić się palcami w grunt, zaczął przeraźliwie krzyczeć, gdy nabierający rozpędu wóz potoczył się ku krawędzi kanionu...

Umykając przed szalonymi cięciami szabli ścigającego go Tekszańczyka, Zorro przykucnął raptownie i wyrzucając błyskawicznie prawą stopę, przewrócił przeciwnika na plecy. Love jęknął i wypuścił szablę z dłoni. Broń upadła na dach wózka i przesunąwszy się po nim, spadła z jego krawędzi, ale Zorro przetoczył się za nią i wyciągając rękę, zdołał chwycić szablę w powietrzu.

Zaślepiiony nienawiścią Love ryknął i poderwał się na nogi. Widząc Zorro leżącego na plecach z jedną ręką przewieszoną poza krawędź wózka, rzucił się na niego w szaleńczym ataku akurat wtedy, gdy Alejandro wystawił przed siebie przechwyconą szablę. Love zastygł w bezruchu, chwytając dłońmi ostrze swej własnej szabli, która wbiła się w jego ciało tuż pod sercem. Stał przez chwilę z twarzą skrzywioną z szoku i bólu, chwiejąc się na nogach i chwytając za linę wyciągu. Jego przepelnione nienawiścią oczy patrzyły

wprost na widoczne spod maski pozornie obojętne oczy Zorro. Nagle uszła z niego resztką życia i osunął się na kolana.

Zorro mógł sycić się swym zwycięstwem nie dłużej niż tylko ułamek sekundy. Słyszając klekoczący hałas dobiegający z góry, podniósł głowę, aby zobaczyć syjący deszczem złotych sztabek wóz, przelatujący przez krawędź kanionu.

W ślad za wozem ukazał się wleczony za nogi, blady jak upiór i wrzeszczący Montero. Zorro wypuścił szablę z dłoni i wyszarpnął zza pasa bicz. Trzasnął biczem, zawijając go wokół jednej z belek rusztowania, i wyskoczył w powietrze. Tuż potem wóz uderzył w platformę wyciągu, posyłając ją na dno kanionu wraz z Love'em i Montero.

Uzbrojona w dwa jednostrzałowe pistolety, które zabrała martwym żołnierzom, Elena dotarła w końcu na dół płonącego rusztowania. Dyszała ciężko z wysiłku, dusił ją dym, a kurz i sadza przesłaniały twarz. Gdzieś daleko z tyłu coś ciężkiego uderzyło z łomotem o dno kanionu, jednak ona nie traciła czasu na sprawdzanie, co się stało. Cztery przesuwające się szybko płomienie były już w połowie drogi do tuneli, zbliżając się niebezpiecznie do ładunków dynamitu. Więźniowie szaleli z przerażenia.

Elena dobiegła do najbliższej klatki i otworzyła jej zamek strzałem z pistoletu. Więźniowie rzucili się przez otwarte drzwi, omal jej nie zdeptując w panicznej ucieczce przed zagrożeniem. Elena wyrwała się spośród nich, podbiegła do kolejnej klatki i wypaliła z drugiego pistoletu. Znowu więźniowie wylali się przez drzwi jak fala, unosząc ją ze sobą, ale i tym razem udało się jej wyrwać i rzucić ku ostatniej klatce.

Rozejrzała się pośpiesznie na boki, by stwierdzić, iż cztery płomienie lontów już zniknęły we wlotach do tuneli. Nie mogła już użyć pistoletów, więc poczęła gwałtownie szukać jakiegoś sposobu otworzenia trzeciej klatki. Zdając

sobie sprawę z rosnącej beznadziejności sytuacji, zaczęła uderzać o zamek drewnianą rękojeścią pistoletu, ale na próżno. Wtem zobaczyła młot spadający nie wiadomo skąd na żelazny zamek, który rozpadł się na kawałki. Kiedy podniosła twarz, zobaczyła stojącego nad sobą uśmiechniętego Zorro.

Spojrząwszy z bijącym szaleńczo sercem w jego ciemne oczy, dojrzała w nich coś znajomego.

- Alejandro?! - spytała.

- Nie ma czasu do stracenia - rzekł, podając jej rękę.

Biegli już wśród więźniów w szaleńczej ucieczce w bezpieczne miejsce, kiedy płomienie dotarły po lontach do celu, a ogłuszający huragan skał i pyłu ogarnął cały kanion.



## *Przeznaczenie*

Zniszczone rusztowanie zostało pogrzebane pod tonami kamieni, więc z trudnością pokonali długą drogę wiodącą do krawędzi kanionu. Złoto również zostało pogrzebane w rumowisku. Ta sama ziemia, z której zostało wydobyte, pochłoneła je na nowo.

Powietrze nadal było przepelnione pyłem, gdy desperackie poszukiwania Eleny i Alejandro zakończyły się wreszcie powodzeniem - Diego leżał blisko krawędzi kanionu, nieopodal miejsca, gdzie załadowany złotem wóz runął w przepaść. Elena uklękła przy swym śmiertelnie rannym ojcu, uniosła jego głowę i przytknęła mu do ust naczynie z wodą. Diego upił łyk, a potem odsunął naczynie, by spojrzeć na Alejandro.

- Czy już po wszystkim? - zapytał słabym głosem.

Alejandro skinął ponuro głową.

- Tak, po wszystkim.

Diego uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Ale nie dla Zorro, Alejandro. Nie jest tak łatwo usunąć zło z tego świata. W Kalifornii pojawią się inni podobni do Montero. Twoim przekleństwem i zarazem przeznaczeniem jest stawić im czoło, kiedy się pojawią.

Alejandro wbił wzrok w dal - na drugą stronę kanionu. Patrząc na tę rozległą krainę, gdzie łatwo było zobaczyć drogę, którą się przebyło, i tę, która została jeszcze do przebycia, jak przeszłość i przyszłość, Alejandro poczuł, że zaczyna go przytłaczać ciężar minionych wypadków. Straciwszy wszystkich, którzy byli mu bliscy, najpierw Joaquina i Jacka, a teraz Diego: mistrza, o którego nigdy nie prosił, i ojca, którego nigdy nie miał - Alejandro nie wiedział, co teraz ze sobą począć. Ostatnie dwadzieścia lat nagle wydały mu się niemal

snem. Miał takie wrażenie, jakby duch przeszłości sięgnął w teraźniejszość, aby naprawić nieprawości i rozwiązać problemy, z którymi nikt wcześniej się nie uporał. Na moment przeszłość i teraźniejszość zlały się ze sobą, by stworzyć przyszłość, której w innym wypadku mogłoby nie być wcale. Alejandro rozumiał, że został przekuty na narzędzie sprawiedliwości i że ostatnio postępował szlachetnie, nie dbając o swój własny interes, tak jak go nauczył don Diego. Dzięki temu jego życie nabrało znaczenia, ujrzał cel, jakiego poprzednio nie miał.

- A więc niech tak będzie - odrzekł. Diego przeniósł wzrok na Elenę.

- Los zakpił z nas, moja piękna córko. Zaledwie cię odnalazłem, a już znowu cię tracę.

Elena pokręciła głową, a łzy spłynęły jej po policzkach.

- Nigdy mnie nie stracisz, ojciec.

Diego przesunął koniuszkami palców po jej policzku.

- Niczego nie pragnąłem bardziej niż usłyszeć od ciebie te słowa.

Elena ujęła go za rękę i przysunęła ją sobie do ust. Błady uśmiech Diego pojaśniał.

- Miałaś rację, mówiąc o swojej matce, *querida*. Tak bardzo ją przypominasz... Jej oczy, jej uśmiech i charakter. Wiem także, że jest coś, czego ona pragnęłaby dla ciebie - powiedział, kładąc dłoń Eleny na dłoni Alejandro.

Straciwszy nie jednego, ale dwóch ojców, Elena czuła się tak, jakby pozbawiono ją życiowej ostoji, i chociaż mogła się nieco pocieszyć faktem, że poznała prawdę o sobie, czuła się opuszczona, osierocona, niepewna, co ma robić na czekającej ją długiej drodze życia. Spojrzała ostrożnie na Alejandro, myśląc, że on być może jest tym, z którym mogłaby wyruszyć w nową drogę.

Diego zakaszlał chrapliwie.

- Ludzie zawsze będą potrzebowali bohatera, za którym będą mogli po-



dążyć. Noś tę maskę z dumą, a kiedy nadejdzie czas, przekaz ją temu, którego uznasz za godnego jej, tak jak ja to zrobiłem - rzekł Diego cichnącym głosem.

Wtem z jego piersi wydobył się odgłos chrapliwego oddechu i zmarł w ramionach swej córki płaczącej nad jego ciałem i nad swoim życiem, nad tym, jakie mogłoby być naprawdę...

Ze ściągniętą z żalu twarzą Alejandro podtrzymywał Elenę, płacząc w duchu wraz z nią. Obejmując się, koili swój ból, wiedząc już, że to oni dwoje mają przed sobą nową przyszłość.

Więźniowie, którzy poczęli wyruszać na wielkie pustkowie, kierując się ku Los Angeles, przechodzili obok nich, wymieniając uśmiechy. Niebo nad nimi było tak olśniewająco czyste, że zdawało się, iż można patrzeć w przyszłość bez końca.



## Epilog

Błyskawica rozdarła niebo, a grzmot wstrząsnął ziemią i po chwili wszystko ucichło - mówił Alejandro najbardziej dramatycznym tonem, na jaki mógł się zdobyć. - Wielki rycerz znany jako El Zorro odszedł. Ludność królestwa urządziła mu pogrzeb godny bohatera, najświetniejszy, jaki kiedykolwiek widziano.

Alejandro rzucił okiem na kołyskę, by zobaczyć, czy jego syn nadal go słucha. Dziecko poruszyło się pod okryciem i jakby z irytacją pomachało małą rączką w powietrzu.

- Ach, nie martw się, maleńki Joaquinie - rzekł Alejandro, opuszczając szpadę i przyklękając przy kołysce. - Twój dziadek będzie żył dopóty, dopóki ludzie wspominać będą bohaterskie czyny. Zawsze musi być jakiś Zorro. I kiedyś, gdy będzie potrzebny, znowu go zobaczymy.

Od czasu śmierci Diego de la Vegi w Los Angeles panował pokój. Nie otrzymawszy pochłoniętego przez ziemię złota, które spodziewał się dostać od Rafaela Montero, i stawiając czoło coraz groźniejszym problemom w kraju, prezydent Santa Anna stracił wszelkie zainteresowanie przyszłością Nowej Kalifornii. Kiedy natomiast rozeszły się wieści o bohaterskich czynach Zorro w kopalni, don Peralta i inni donowie uświadomili sobie podłość swych czynów i rezygnując ze swych krótkotrwałych marzeń o niepodległej Kalifornii, powrócili do dawnego, normalnego życia spokojnych ranczerów i hacendados.

Odziedziczywszy leżące w Los Angeles posiadłości Montero, a także posiadłości rodziny de la Vegów, Elena została jedną z najbogatszych posiadaczek ziemskich w tej części kraju i po bardzo krótkich, według wszelkich standardów, zalotach poślubiła Alejandro. Rok później urodził się Joaquin.

Świetne ubiory Alejandro i siodło o srebrnych lękach uważane były przez

wielu za dowód sukcesu Eleny, jeśli chodzi o przerobienie byłego złodzieja koni w prawdziwego caballero, jednak sama Elena byłaby pierwszą, która przed sobą przyznawała, że nowy ubiór nie wystarczał, by okiełznać zuchwałego ducha jej męża.

Alejandro wyprostował się i uśmiechnął do syna.

- Na swym wspaniałym rumaku o imieniu Tornado Zorro przemierzał krainę wzdłuż i wszerz, wyszukując złoczyńców - ciągnął głośno, pokazując gestami szaleńczy galop przez pustynne zarośla. - Mknąc jak wichur, unosił w ręce błyszczącą w słońcu szpadę - podniósł szpadę i skoczył zręcznie na stojące obok krzesło. - Skakał na swym koniu, unosząc się w powietrzu! - Rzucił się z krzesła i chwycił za zasłonę, okręcił się wokół niej, a wzięwszy zamach wyładował w połowie pokoju, by zaatakować szpadą niewidocznych wrogów.

- Walczył jak lew! Jak tygrys!

Wykonując wąski obrót i doskonale pchnięcie w kierunku drzwi, Alejandro ujrzał Elenę parującą jego cios sceptycznym spojrzeniem.

- Walczył... na tyle bezpiecznie, na ile to było możliwe - skończył pokorniejszym tonem, opuszczając czubek szpady ku podłodze.

Elena rzuciła okiem na Joaquina i uniosła brwi.

- To jest twój sposób na usypianie dziecka?

Z udawaną potulnością Alejandro powrócił do kołyski, nachylił się nad nią i pocałował syna w czoło.

- Dobrych snów, synu - szepnął i podszedł do Eleny.

- Tobie też życzę dobrych snów, moja piękna żono - powiedział, dotykając pieśczośliwie jej policzka.

Elena odsunęła się, przerywając jego czuły pocałunek, i obdarzyła go wesółym uśmiechem.

- A kiedy już zasnę, jaką twarz mam przypisać w sennych marzeniach

temu śmiałemu hultajowi, El Zorro?

Alejandro spoważniał.

- Postać Zorro przybierał niejedyn człowiek. To prawda. Ale każdy z nich kochał cię tak jak on.

- A ten, który teraz nosi maskę... Czy wiesz, gdzie można go spotkać?

Alejandro uśmiechnął się do niej.

- Wiesz, jaki jest Zorro, *querida*. On może być wszędzie.

